TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 18 – 24 listopada 2026 | nr 47 (4037)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Chcemy spokoju, politycy niekoniecznie

Teologia traumy: jak ból zmienia obraz Boga

Kobieta w kraju talibów. Reportaż z Kabulu

Anna Jagiellonka, której nie znacie

GTA VI: kulturalne wydarzenie roku

Miasto ma moc

JAK TERROR PRZEMIENIŁ WSPÓLNOTY I PRZESTRZEŃ

KIM BYŁ ZAMACHOWIEC

CZEMU GO NIE WIDZIELIŚMY



Ekstra strony

Nagroda BONUS

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

WODOCIĄGI
Miasta Krakowa

125 lat! *Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.*



125 lat
Wodociągów Miasta Krakowa

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Złudne nadzieje
WOJCIECH KONOŃCZUK

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Luka samotności
AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI: *Kim był sprawca zamachu w Krakowie i dlaczego jego portret jest tak ważny?*

22 Jak Polak z Polakiem
MAREK KĘSKRAWIEC: *Polska wspólnota i podziały po Święcie Niepodległości*

24 Czyja jest ta krew, czyj jest ten las
ZENON KRUCZYŃSKI: *Czy myśliwska weekendowa pasja zabijania jest silniejsza od woli większości społeczeństwa?*

■ ■ ŚWIAT

44 Kilka słów o miłości
AGNIESZKA PIKULICKA: *Życie afgańskich kobiet pod rządami talibów*

48 Królestwo na nowo
IGOR KUŚMIERSKI *o zmianach na szczytach władzy w Arabii Saudyjskiej*

50 Niepodległość w poczekalni
SEBASTIAN JABŁOŃSKI: *Bougainville: tak się rodzi nowe państwo*

52 Pokój w cieniu drzewa mango
ROZMOWA Z BP. DARIUSZEM KAŁUŻĄ, ORDYNARIUSZEM BOUGAINVILLE

■ ■ WIARA

54 Oddech jak modlitwa



MICHAEL D. SPENCER

ROZMOWA Z SHELLY RAMBO, AMERYKAŃSKĄ TEOLOŻKĄ TRAUMY: *Kościoły mogą dać przestrzeń do przepracowywania tragedii takich jak ta z Krakowa*

58 Kościół i bar
MATTEO MATZUZZI: *Tak młodzi budują wspólnotę wiary*

61 Siedmioletni mnich tęskni za mamą
MARTA ZABŁOCKA *o codzienności dzieci-mnichów w jednym z buddyjskich klasztorów w Birmie*

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Miasto ma moc
MARCIN ŻYŁA

To nie czas leczy rany.
Leczymy je sobie nawzajem.
Na miejscu – tu, gdzie żyjemy.



■ DODATEK ■

29 LAUREACI NAGRODY BONUS

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o garnkach konstytucyjnych*

28 OLGA DRENDA *o przypadku*

43 NATALIA DE BARBARO *o kruchości*

53 ELIZA KĄCKA *o chowaniu*

65 ZUZANNA RADZIK *o wspólnocie*

92 PAWEŁ BRAVO *o żalu po architekturze*

98 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o manipulacji doskonałej*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

64 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

66 Spermagedon
KASPER KALINOWSKI: *W ciągu kilku dekad znacząco spadła liczba i jakość produkowanych przez mężczyzn plemników*

70 Zakochani w wizji
MONIKA A. KOPERSKA: *Jak uwodzi nas perspektywa przełomowych wynalazków*

■ ■ HISTORIA

74 Orzechy od królowej



ARCHIWUM PRYWATNE

ROZMOWA Z DR AGNIESZKĄ PAWŁOWSKĄ-KUBIK, HISTORYCZKĄ: *Interweniowała w sprawie poddanych, pomagała pogorzelcom, dbała o posagi dwórek. Jaka była naprawdę Anna Jagiellonka?*

■ ■ KULTURA

78 M jak miłość
ROZMOWA Z PATRYKIEM RÓŻYCKIM, ARTYSTĄ: *Pokazując historię rodziny, opowiadam o doświadczeniach, które są udziałem wielu domów*

82 Sztuka życia
PATRYCJA BUKALSKA: *Irlandia wypłaca artystom stałe wynagrodzenia. Po pilotażowym programie przeliczono, że korzyści dla państwa wyniosły ponad sto milionów euro*

86 Świat w lustrze
MICHAŁ WALKIEWICZ *o GTA, grze, która zawładnęła naszą wyobraźnią*

89 Polecamy

90 Zobaczyć Neapol
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Gradiva" Marine Atlan*

91 Równanie
LEKTOR *o książce „Pytanie numer siedem" Richarda Flanagana*

■ ■ PSYCHE

94 Chcemy dobrze
ROZMOWA Z MARIOLĄ PARUZEL-CZACHURĄ, PSYCHOLOŻKĄ: *Jak to możliwe, że wszyscy uważamy się za moralnych?*

KS. ADAM

Boniecki: *Cisza na Rynku*



GRAŻYNA MAKARA

O zamachu Michała Oksińskiego powiedziano już dużo, choć – przynajmniej kiedy to piszę – o motywach zamachowca wciąż wiadomo niewiele. Absurdalność tej czy raczej tych zbrodni bije w oczy. I nawet gdyby ofiar było mniej, nie byłaby ona mniejsza. Takie akcje zwykle nie zmieniają biegu wydarzeń, a jeśli zmieniają, to nigdy na korzyść zamachowca. Społeczeństwo, w które mierzył, poczuło się solidarne, policja zbiera zasłużone słowa uznania, rodziny zabitych są przedmiotem współczucia i troski. On sam zmarł w szpitalu, postrzelony przez bohaterskiego policjanta.

Terrorystycznych ataków było już wiele, przypominamy je zresztą na kolejnych stronach tego numeru. Nie mówię o zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza (w grudniu 1922 r.) czy Pawła Adamowicza (w styczniu 2019 r.), gdzie morderca wiedział dokładnie, kogo zamierza pozbawić życia, ale o morderstwach bez wyboru ofiar, jak choćby w Madrycie, gdzie w marcu 2004 r. zginęło blisko 200 osób, czy w Oslo i na wyspie Utøya, gdzie w lipcu roku 2011 ofiar było 77, nie zapominając o zamachach na World Trade Center i Pentagon, gdzie 11 września 2001 r. śmierć poniosło blisko trzy tysiące osób. Czy można o nich mówić w innych kategoriach niż szaleństwo?

Wspomniałem, że o motywach zamachowca wiemy niewiele – znacznie

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Dobre wiadomości*



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

To zadziwiające, w jakim tempie jedne złe wieści wypierają inne – nawet te pozornie wiecznotrwałe.

„Estonia zamyka wszystkie przejścia graniczne z Rosją”. W Rumunii klęska piłkarzy, ale też „ponad 100 Polaków zatrzymanych”. Nad Wisłą „znaleziono ciało kobiety”, „nie mógł wyłączyć silnika, grozi mu więzienie”, zaś w nieodległym Wilnie „zdjął z krzyża figurkę Jezusa i rozbił ją na ulicy”. I jeszcze z rzeczy transgeograficznych i ponadczasowych: „Jest jak zaciskający się pierścień, może dotyczyć kilku milionów mężczyzn” (to o przeroście prostaty).

Tak wyglądał obraz świata złożony z siedmiu pierwszych, czyli chyba też najważniejszych newsów na portalu popularnej telewizji w niedzielę, nieco ponad tydzień po zamachu w Krakowie (ósma, dziewiąta i kolejne wiadomości też były złe, ale postanowiłem się zatrzymać w trosce o Państwa i swój dobrostan). Telewizji nieuchodzącej za szczególnie żerującą na sensacji: epidemia złych wieści opanowała nas wszak tak skutecznie, że te dobre trzeba dziś wyłuskiwać niczym w PRL-u prawdziwe – spomiędzy wierszy.

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 15

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

więcej wiemy o reakcjach ludzi. Wiemy, że ofiar mogłoby być więcej, gdyby nie skuteczna obecność policji – ale też błyskawiczna akcja ratunkowa oraz przytomność umysłu pracowników otwartych wówczas na Rynku sklepów, kawiarni czy muzeów. Wiemy o wsparciu, jakiego udzielali sobie nawzajem przechodnie.

To, co było potem, stało się już krakowską tradycją: spotkanie na Rynku. Tysiące ludzi zgromadzonych, by oddać hołd zmarłym, by pomyśleć o konsekwencjach, by okazać solidarność zwłaszcza z tymi, którzy cierpią po stracie. Tłumy, wypełniony Rynek. I cisza. Kardynał Ryś – obecny wśród ludzi – inicjujący krótką modlitwę. To było bardziej wymowne niż jakiekolwiek przemowy: tłum, cisza, skupienie.

Patrząc na tych wszystkich ludzi, zadawałem sobie pytanie: o czym myśleli? Czy i o tym, że sami mogli bardzo łatwo znaleźć się wśród zastrzelonych? Czy była to godzina myśli o końcu życia, który każdego z nas czeka – i o tym, że zwykle długo nie jesteśmy tego świadomi? Długo albo nigdy?

Była więc modlitwa i było milczenie. Były myśli o tym, o czym się zwykle nie myśli. Oby także o tym, że choć są między nami różnice, to zawsze będą takie sprawy, które łączą. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”.

I choćby dlatego nadchodzące powoli Święta to dobry wynalazek również z tego, błahego na pozór powodu: to w ich czasowym sąsiedztwie wśród informacji o rzeziach, wojnach, mordach, przypadkach wypadnięć z okien, rosnących cenach i kryzysach, dostajemy też nieśmiałe doniesienia o tym, że człowiek bywa dobry. Pomagają okoliczności: np. startująca w tych dniach jedna z dwóch najgłośniejszych akcji charytatywnych – „Szlachetna Paczka”, jednocząca tysiące ludzi chcących zrobić coś szlachetnego.

W tym numerze „Tygodnika” zobaczycie Państwo efekty naszych wewnętrznych, redakcyjnych zmagań o przynajmniej zerowe saldo między portretowaniem zła i dobra. I nie chodzi tylko o to, że **MARCIN ŻYŁA**, **AGATA KAŹMIERSKA**, **MICHAŁ KUŹMIŃSKI** i felietoniści próbują znaleźć sygnały i obrazy nadziei w krajobrazie po krakowskiej masakrze.

W tym wydaniu „TP” dobro to jeden z wiodących tematów. Wywiady z laureatami Nagrody BONUS, pomieszczony w tym samym dodatku miniraport **KAROLINY PRZEWROCKIEJ-ADERET** o polskiej dobroczynności, wywiad z dr hab. **MARIOLĄ PARUZEL-CZACHURĄ** o tym, dlaczego każdy z nas chce uchodzić za istotę moralną – to tylko kilka przykładów. W „Tygodniku” dobrych wieści nie musicie Państwo wyłuskiwać spomiędzy wierszy.

Dobrej lektury! ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MARCIN KĘDZIERSKI:
Jakie mamy szanse w kończących się unijnych negocjacjach budżetowych? Czy jesteśmy przygotowani na mniejsze pieniądze, i czy to wzmocni tendencje polexitowe?

ADWENT:
jak się nie spieszyć w zagonionym świecie.

GISÈLE PELICOT:
Kiedy ujawniono moją historię, okropną i niewiarygodną, myślałam, że coś takiego spotkało tylko mnie. Dziś wiem, że mężczyźni dokonują podobnych przestępstw na całym świecie. Ja odbudowałam swoje życie na zgliszczach, znów jestem sobą.

DODATEK „TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU”

- **relacja z krakowskiego spotkania „Tygodnika Trzeciego Wieku”, organizowanego przez naszą redakcję**
- **muzyka na zdrowie – rozmowa z Bartłomiejem Majzlem o dobroczynnym wpływie muzyki na nasze ciało i samopoczucie, w każdym wieku.**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

8–15 LISTOPADA 2026

SPRAWCA KRAKOWSKIEGO ZAMACHU (bilans strzelaniny na Rynku to 6 ofiar śmiertelnych i 15 rannych) zmarł w szpitalu. Prokuratura podała, że w jego komputerze znaleziono treści, które wskazują na zainteresowanie seryjnymi zabójcami i skrajnymi ideologiami, śledczy nie sprecyzowali jednak: prawicowymi czy lewicowymi. W mieście odbył się Marsz Ciszy, z udziałem m.in. prezydenta Nawrockiego i premiera Tuska. ■■■ **ROZMOWY** przedstawicieli Ukrainy, Rosji i USA w Abu Zabi (pierwsze od lutego w tym formacie) nie przyniosły przełomu, choć strony uzgodniły wymianę jeńców. Po ich zakończeniu amerykańscy negocjatorzy spotkali się w Moskwie z Władimirem Putinem i w Dublinie z Wołodymyrem Zełenskim. Ten ostatni ujawnił, że USA postawiły przed Ukrainą możliwość przystąpienia do NATO w zamian za wycofanie się z Donbasu. Dziennik „Bild" twierdzi, że wśród żądań Moskwy było – oprócz oddania jej Donbasu – wycofanie sił NATO z krajów bałtyckich oraz wystąpienie Finlandii z Sojuszu. Kolejna runda rozmów ma być rozszerzona o przedstawicieli UE, a także Polski, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Włoch. ■■■ **PARALIŻ RUCHU LOTNICZEGO W USA:** awaria przestarzałego systemu łączności spowodowała odwołanie lub opóźnienie ponad 15 tys. lotów. ■■■ **GLOBALNA AWARIA** w Microsofcie pozbawiła miliony osób dostępu do poczty i narzędzi biurowych. ■■■ **SZEF NVIDII** – amerykańskiego potentata w produkcji procesorów graficznych i kluczowego dostawcy infrastruktury dla AI – zrezygnował ze stanowiska po doniesieniach o romansie z kobietą podejrzaną o szpiegostwo dla Chin. ■■■ **ESTONIA** – w odpowiedzi na próbę podpalenia miejscowej fabryki dronów, o którą obwinia GRU – zdecydowała o zamknięciu od 1 grudnia wszystkich przejść granicznych z Rosją. ■■■ **ABW** zatrzymała dwóch obywateli Ukrainy podejrzanych o szpiegostwo i dywersję na zlecenie rosyjskich służb. ■■■ **NA WARSZAWSKICH POMNIKACH**: Żołnierzy 1. Armii i Bohaterów Getta wymalowano napis „Slava UPA". „Patrząc na skalę podobnych incydentów w innych miastach, musimy brać pod uwagę, że mamy do czynienia z zaplanowaną prowokacją" – ocenił Rafał Trzaskowski. ■■■ **MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI**, z udziałem m.in. prezydenta Nawrockiego, przeszedł ulicami Warszawy. Frekwencja spokojnej w tym roku imprezy była rekordowa: udział wzięło co najmniej ćwierć miliona osób. ■■■ **KAROL NAWROCKI** kolejny raz zawetował rządowy projekt wdrożenia aktu o usługach cyfrowych (DSA), który miał umożliwić blokowanie nielegalnych treści w internecie. Rząd zamierza przygotować kolejną wersję przepisów, a prezydent uważa, że państwo już ma możliwości chronienia obywateli przed przestępcami i dodaje, że „w normalnych warunkach [ustawa] mogłaby trafić do oceny przez Trybunał Konstytucyjny". ■■■ **RZĄD ZAMRAŻA CENY GAZU** na rok 2027 – stosowne przepisy trafiły już do prac legislacyjnych. ■■■ **W GORLICACH** powstanie Muzeum I Wojny Światowej – zapowiedziała minister kultury Marta Cienkowska, deklarując, że opowie ono nie tylko o wielkich bitwach (jedna z nich miała miejsce właśnie tu), ale przede wszystkim o ludziach. ©℗



VIACHESLAV PROKOFEV / ZUMA PRESS / FORUM

ZŁUDNE NADZIEJE

Rozmowy w Abu Zabi rozbudziły nadzieje na rychłe zakończenie wojny. Niesłusznie. Rosja nie szuka porozumienia, ale wciąż dąży do narzucenia swoich warunków – Ukrainie i Zachodowi.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Po dziewięciomiesięcznej przerwie przedstawiciele Ukrainy, Rosji i USA ponownie spotkali się, aby rozmawiać o możliwym końcu trwającej już niemal pięć lat wojny. Jednak cele stron są diametralnie różne.

Ukraina jest coraz bardziej wycieńczona, w szczególności atakami na jej infrastrukturę krytyczną, i dąży przynajmniej do zawieszenia ognia. Gotowa jest do kompromisu, ale nie kapitulacji, która w istocie oznaczałaby koniec jej suwerenności.

Rosja uważa, że może odnieść pełne zwycięstwo, rozumiane jako realizacja jej maksymalistycznych żądań wobec Ukrainy i Europy, zawartych w dokumencie z grudnia 2021 r. i regularnie powtarzanych. W największym skrócie oznaczałoby to wasalizację państwa ukraińskiego i wywrócenie porządku europejskiego, przy braku jakichkolwiek rosyjskich ustępstw.

Z kolei administracja Donalda Trumpa chce mieć sukces na miarę Nagrody Nobla i jest gotowa do pewnych koncesji wobec Rosji, choć ich zakres pozostaje publicznie nieokreślony. Otoczenie biznesowe Trumpa, umiejętnie kuszone przez Kreml, liczy też na miliardowe projekty gospodarcze.



Do pełnego obrazu brakuje tu jeszcze Europy, która zachowuje się jak należy – rozumie, że wojna toczy się nie tylko o przyszłość Ukrainy. Europejczycy wspierają Kijów militarnie i finansowo, odrzucając zarazem rosyjskie żądania. W odpowiedzi Kreml odmawia dopuszczenia ich do rozmów, uważając, że czas przyniesie zmianę rządów w kluczowych stolicach europejskich, a tym samym w końcu dojdzie do prorosyjskiego zwrotu w postawie Europy.

SUKCES ROSJI | Spotkanie w Abu Zabi nie przyniosło żadnych konkretnych ustaleń poza generalną zgodą na wymianę około tysiąca jeńców (co wymaga jednak jeszcze uzgodnienia szczegółów). A jednak można je uznać za sukces Moskwy, gdyż po długich zabiegach udało się jej uzyskać zgodę Amerykanów na włączenie do rozmów tematu architektury bezpieczeństwa w Europie – co od dawna jest rosyjskim celem i zarazem obsesją.

Rosja uznaje bowiem, że powstały po rozpadzie Związku Sowieckiego układ międzynarodowy w Europie jest niesprawiedliwy, gdyż NATO rozszerzyło się na wschód i północ, marginalizując możliwości Moskwy. W praktyce Kreml domaga się utworzenia strefy buforowej w środkowej, wschodniej i północnej Europie, co sprawiłoby, że położone tam państwa stałyby się członkami NATO drugiej kategorii.

Wojna, ostatnie dni:

- **10-11.11.** | W Abu Zabi rozmowy USA–Ukraina–Rosja (pierwsze od lutego), bez przełomu. Obecni są (ale nie przy głównym stole) przedstawiciele UE. Ukraińskie ataki na zakłady w Rosji, m.in. remontu samolotów w Nowogrodzie.
- **12.11.** | Witkoff i Kushner spotykają się z Putinem (na zdjęciu). W Dublinie szczyt Europejskiej Wspólnoty Politycznej. Zełenski rozmawia z liderami europejskimi, potem z Witkoffem i Kushnerem.
- **13.11.** | Nieformalny szczyt UE. Ustalenie, że Europę ma reprezentować E5 (Anglia, Francja, Niemcy, Włochy, Polska) wraz z instytucjami UE. Luka w finansowaniu Ukrainy w 2027 r. to 70 mld euro; decyzja o jej pokryciu ma zapaść 26-27.11. w Brukseli. Na froncie: jak co dzień naloty na ukraińskie miasta. Niemiecki „Bild" pisze o nowych żądaniach Putina wobec Zachodu. Następnego dnia o skali żądań Kremla pisze „New York Times" (to m.in. likwidacja baz NATO w Europie Środkowej).
- **14.11.** | Estonia: udaremniono podpalenie firmy dronowej Threod Systems. Tallin oskarża o to GRU; ośmioro podpalaczy zatrzymanych.
- **15-16.11.** | W reakcji na próbę podpalenia Threod Systems, Estonia ogłasza, że od 1.12. zamyka wszystkie przejścia graniczne z Rosją. Ukraina uderza w rosyjskie zakłady rakietowe i chemiczne. Rosja wysłała nad Ukrainę 132 drony. Na froncie lokalne ukraińskie kontrataki.

Maksymalizm tych żądań wpisuje się w podejście Kremla do międzynarodowych negocjacji: zakłada ono, że albo wszystko, albo nic. Władimir Medinski, szef delegacji rosyjskiej w Abu Zabi, bez ogródek stwierdził, że Rosja domaga się „nowej Jałty".

FRONT I DYPLOMACJA | Trzeba przy tym zauważyć, że rosyjskiej ofensywie dyplomatycznej towarzyszy impas na froncie. Rosja bezskutecznie próbuje doprowadzić do przełamania pozycji ukraińskich, ale nic nie wskazuje, by miało się jej to udać w dającej się przewidzieć przyszłości. Ceną szaleństw Kremla jest życie co najmniej 450 tys. żołnierzy rosyjskich – tylu miało ich już zginąć, według danych wykradzionych ostatnio przez hakerów z rosyjskiego urzędu statystycznego.

Po spotkaniu w Abu Zabi amerykańscy negocjatorzy, Steve Witkoff i Jared Kushner, polecieli do Moskwy na rozmowy z Putinem, a następnie do Dublina na spotkanie z europejskimi przywódcami i prezydentem Zełenskim. Tam też doszło do uzgodnienia, że Europę w przyszłych negocjacjach o zakończeniu wojny reprezentować będą liderzy Francji, Niemiec, Polski, Wielkiej Brytanii, Włoch, a także przedstawiciele instytucji UE. Kreml dotąd na to nie zareagował, choć wcześniej odrzucał możliwość rozmów z „niekonstruktywną Europą". Nie jest też jasne, kiedy mogłoby dojść do kolejnych rozmów pokojowych.

POMOC EUROPY | Rozważaniom i dyskusjom na temat zakończenia wojny towarzyszy wiele złudnych nadziei oraz niezrozumienie sposobu myślenia i działania Rosji. Kreml wierzy, że – mimo wszystkich problemów – jest w stanie rozstrzygnąć wojnę na swoją korzyść, i że czas przyniesie załamanie ukraińskiej obrony i woli walki oraz zmianę postawy Europy. Bez jej pomocy Kijów już dawno nie mógłby się skutecznie bronić.

Między Europejczykami trwają zresztą trudne rozmowy o dalszym wspieraniu Ukrainy i nie ma co liczyć, że staną się one łatwiejsze. Na stole jest niedawna propozycja kanclerza Merza, by do nowego budżetu UE włączyć wspólne i stałe finansowanie Kijowa. W ten sposób Berlin chce zmniejszyć swoje własne obciążenia, pozostając dziś najważniejszym donorem Ukrainy. Propozycja ta nie budzi jednak entuzjazmu wśród państw Europy.

GRA POZORÓW | Putin doskonale widzi problemy Unii i Ukrainy, i to one każą mu myśleć, że rosyjska konsekwencja, w połączeniu z nieustanną presją na froncie oraz tzw. działaniami hybrydowymi przeciw Europie w końcu przyniosą upragniony sukces. Putin i duża część rosyjskich elit są przekonani, że to wojna o przyszłość Rosji oraz o ich miejsce w historii, i że nie mogą sobie pozwolić na przegraną.

Ważne jest, aby rosyjską politykę czytać bez złudzeń – aby widzieć rosyjską grę pozorów i nie doszukiwać się rzekomej dobrej woli Kremla tam, gdzie jej nie ma. Być może w przyszłości Rosja zasiądzie do stołu negocjacji z realną wolą do kompromisu, oznaczającego koniec wojny na warunkach do przyjęcia dla Ukrainy. Ale na razie do tego momentu jest daleko. Nie dojdzie do niego, dopóki nie pozbawimy Rosji nadziei na to, że może tę wojnę wygrać. ©

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie.



Trump i afera Nvidii

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

W LISTOPADZIE 1986 R., tuż przed wyborami do Kongresu USA, pewien libański tygodnik ujawnił, że Biały Dom potajemnie sprzedawał broń Iranowi (oficjalnie wrogiemu), a ekipa prezydenta Reagana przekazywała zyski antykomunistycznym partyzantom w Nikaragui. Demokraci odzyskali Senat, a krętactwa Reagana tylko zaogniły aferę.

40 lat później, znów tuż przed wyborami, „New York Times" ujawnił, że Jensen Huang – prezes koncernu Nvidia, hegemona rynku procesorów do AI – miał romans z menedżerką singapurskiego klienta Nvidii, która według wywiadu USA jest chińskim szpiegiem. Jej firma kupiła sprzęt z chipami Nvidii za co najmniej 4,8 mld dolarów. Według „NYT" śledztwo Departamentu Handlu w tej sprawie wstrzymano po interwencji prawnika Nvidii. Donald Trump mówi, że jest zaskoczony, choć według prasy wiedział o wszystkim od miesięcy.

Różnica jest jedna, ale wymowna: to, co ludzie Reagana robili po kryjomu, Trump zrobił jawnie i za prowizję. Zgodził się na sprzedaż Chinom zaawansowanych procesorów H200 w zamian za 25 proc. przychodów dla budżetu USA.

Nvidia była dotąd nieformalnym ministerstwem spraw zagranicznych do spraw krzemu. Huang leciał z Trumpem do Pekinu, siedział z Xi przy stole w Białym Domu, a jego lobbyści rozmiękczali ograniczenia eksportowe. Teraz wahadło idzie w drugą stronę: zmiany kursu chcą zwycięscy Demokraci i część Republikanów. Najlepszym argumentem za limitami eksportu są zdjęcia Huanga z kochanką, pijących wino w restauracji w Szanghaju.

Pekin mówi o oszczerstwach, ale przygotowuje się na odcięcie od Amerykanów. 600 tys. sztuk czipów H200 czeka w Hongkongu na zgodę władz na import: Chiny najwyraźniej chcą zmniejszyć zależność od technologii USA, choć na razie ich czipy ustępują produktom Nvidii. Afera jest więc na rękę jastrzębiom w obu krajach.

Na zaostrzeniu konfliktu USA–Chiny może stracić Europa. Kongres chce zmusić sojuszników, by ograniczyli sprzedaż Chinom maszyn do produkcji chipów, co uderzyłoby głównie w holenderską firmę ASML. Jednocześnie europejskie fabryki AI, o które zabiega też Polska, mają korzystać z procesorów Nvidii. Administracja Bidena chciała objąć Polskę limitami na te chipy. Nowy Kongres może wrócić do tego pomysłu.

Ale największy wstrząs przeżywa sama Nvidia. Huang zrezygnował ze stanowiska, a koncern stracił ponad bilion dolarów wartości giełdowej. Jedna z dwóch najcenniejszych firm świata, wyceniana niedawno na prawie 6 bln dolarów, okazała się zależna od jednego człowieka. Tak wygląda infrastruktura krytyczna wieku XXI: prywatna, skoncentrowana, personalizowana. Na niej Trump oparł politykę wobec Chin, lekceważąc ostrzeżenia własnych służb. Romans prezesa był sprawą prywatną. Wybór prezydenta już nie. ©



JULIA DEMAREE NIKHINSON / / AP PHOTO / EAST NEWS

Huang często pojawiał się w towarzystwie Trumpa. Tu podczas wręczenia Huangowi Narodowego Medalu Nauki (National Medal of Science) w Instytucie Pokoju im. Donalda J. Trumpa. Waszyngton, 8 października 2026 r.



Bob misjonarz

KASPER M. KAPROŃ

WITAJ W DOMU, PADRE BOB" – TAK JEDEN Z REPORTERÓW rozpoczął relację z przylotu Leona XIV do Chiclayo – diecezji, którą Robert Prevost kierował 9 lat. Na lotnisku papież podchodził do księży, sióstr zakonnych i świeckich, obejmując każdego z nich po kolei. Ceremoniał ustąpił miejsca zwyczajnym gestom. Tak wraca się do swoich, kiedy wśród czekających twarzy rozpoznaje się ludzi, z którymi dzieliło się życie.

Tłumy ludzi na ulicach Urugwaju, Argentyny i Peru, które odwiedził Leon, wydają się przeczyć coraz powszechniejszej opinii, że Kościół umiera. Może warto raczej zapytać, co obumiera w Kościele? Czy nie więź między pasterzami a ludźmi, zwłaszcza tam, gdzie pasterze zapominają, że sami należą do ludu, któremu służą?

Prezydent Peru Keiko Fujimori przypominała na lotnisku, jak w 1985 r. młody augustianin z Chicago przyjechał po raz pierwszy do Peru, w którym spędził w sumie ponad 20 lat. Mówiła o jego uśmiechu i spokoju. O tym, że umiał słuchać i być blisko, kiedy go potrzebowano. Papież z kolei wspominał domy, które przed nim otwierano, wspólny stół i dobre *ceviche*. Mówił, że część jego własnej historii należy również do tego kraju, którego obywatelstwo przyjął w 2015 roku.

Podobną chwilę bliskości przyniosło pożegnanie na lotnisku Ezeiza niedaleko Buneos Aires, gdzie wzruszony prezydent Javier Milei prosił papieża o modlitwę. Zapraszając papieża, Milei podjął ryzyko, bo słowa Leona o gospodarce służącej ludziom stały się częścią sporu o politykę prezydenta Argentyny. Zastanawiając się, kto na wizycie więcej zyskał, warto pamiętać o tej zwyczajnej prośbie na pożegnanie.

W Chiclayo Leon XIV mówił o synodalności, o której łatwo się dyskutuje, ale trudniej wprowadzić w życie, bo wymaga, by wszyscy – poczynając od pasterzy – przyjrzeli się własnym postawom. Mówił o współodpowiedzialności za misję Kościoła, wynikającą z chrztu. Mówił o radach duszpasterskich – to przy ich stole wspólnota może opowiedzieć o swoim życiu i mieć udział w rozeznawaniu, co parafia powinna zrobić.

Myślę o tym także jako polski ksiądz. W naszych parafiach wciąż łatwo uznać, że skoro proboszcz odpowiada za parafię, to wie najlepiej, czego ludziom potrzeba. Znam tę pokusę. Ale wiem też, ile można się dowiedzieć przy parafialnym stole w rozmowie z tymi, którzy są na co dzień po drugiej stronie ambony. I ile dzięki takim rozmowom można wspólnie zrobić. Może właśnie od takiej rozmowy zaczyna się droga, po której kiedyś i do nas ktoś powie: „Witaj w domu". ©

Pamięć historyczna jako źródło naszej odporności



JAKUB KACZMARCZYK / PAP

Historia Polski nie należy do żadnej partii, jest naszym wspólnym dziedzictwem. Na zdjęciu: tegoroczny Korowód Świętego Marcina, tradycyjny element obchodów święta 11 Listopada w Poznaniu.

PAŃSTWO ■ Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło strategię polityki pamięci. To pierwszy całościowy dokument pokazujący kierunki działań państwa w kwestii, która od dawna jest przedmiotem sporów. Zaczyna się od deklaracji: „Historia Polski nie należy do żadnej partii politycznej, żadnego środowiska ani jednego pokolenia. Jest naszym wspólnym dziedzictwem".

Uznane polityki pamięci za jedno ze strategicznych zadań obecnej władzy to ważna zmiana. Polityka pamięci uchodziła dotąd za domenę prawicy. Środowiska liberalne i lewicowe oddawały to pole, nie chcąc zauważyć np. faktu, że najważniejsze (obok Muzeum Powstania Warszawskiego) nowe instytucje poświęcone polskiej pamięci – jak Muzeum II Wojny, Europejskie Centrum Solidarności czy Muzeum Emigracji – nie są dziełem środowisk prawicowych.

Środowiska te prowadziły zatem politykę pamięci, ale nie potrafiły lub nie chciały o tym mówić. Dziś to się zmienia, a za strategią mają iść konkretne działania, np. budowa Muzeum I Wojny Światowej w Gorlicach. Sama zaś strategia może posłużyć do stworzenia innego niż prawicowy języka, by opowiadać o tożsamości i patriotyzmie.

Ministerstwo deklaruje, że chce prowadzić taką politykę pamięci, która łączy, a nie dzieli. Ma godzić tożsamość narodową z lokalną, pamięć polską z europejską. Zarazem ma brać pod uwagę przemiany cywilizacyjne, w tym rewolucję cyfrową i fakt, że po 80 latach Polska znów staje się państwem wielokulturowym. Wszystko to ma budować wspólnotę.

Aby tak się stało, konieczne jest stworzenie minimum konsensu wokół przedstawionych założeń. Temu zapewne miało służyć zaproszenie do prac nad strategią ludzi z różnych środowisk, jak m.in. Michał Łuczewski, Hanna Radziejowska, Robert Traba, Dariusz Stola i Andrzej Zybertowicz. Zauważmy też, że strategię przygotowano pod kierunkiem Marcina Napiórkowskiego, który na stanowisku dyrektora Muzeum Historii Polski zastąpił Roberta Kostrę – osobę, która wokół tego muzeum potrafiła zbudować środowisko wychodzące poza podziały polityczne i ideowe.

Tylko czy możliwe jest zbudowanie szerszego porozumienia wokół polityki pamięci w sytuacji, gdy na polaryzację grają liderzy głównych partii, a historia jest narzędziem do jej kreowania? Co więcej, spór jest głębszy i dotyczy samego modelu pamięci. Twórcy strategii piszą np., że chcą takiej polityki, która „potrafi oddać sprawiedliwość bohaterom, ale nie boi się zadawać trudnych pytań". Taką, w której jest miejsce i na bohaterstwo na Westerplatte, i na zbrodnię w Jedwabnem. Tymczasem taki model jest odrzucany przez prawicę jako rzekomo zagrażający polskiej tożsamości. A poruszanie trudnych tematów (by przywołać gdańską wystawę „Nasi chłopcy") wywołuje polityczną burzę.

Nie stać nas jednak na rezygnację z polityki pamięci. Twórcy strategii przypominają bowiem, że pamięć jest także istotnym elementem budowania odporności społecznej. Może wspierać spójność wspólnoty i odporność także na dezinformację, z którą dziś mamy do czynienia – historia jest stale wykorzystywana przez putinowską Rosję do antagonizowania Polski i Ukrainy. Wiedza i zdolności do krytycznego myślenia mogą pomóc w obnażaniu takich manipulacji. A przede wszystkim: odpowiedzialnie prowadzona polityka pamięci może scalać naszą wspólnotę. © PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



TEMAT TYGODNIKA

MIASTO MA MOC

To nie czas leczy rany.
Leczymy je sobie nawzajem.
Na miejscu – tu, gdzie żyjemy.

TEKST: MARCIN ŻYŁA | ILUSTRACJA: NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

Każdy atak był inny, poruszył inne struny.

W Manchesterze zginęły dzieci i nastolatkowie, w żałobie znalazło się wielu dorosłych. W Paryżu i Saint-Denis straciło życie aż 137 osób. Hanau było spokojnym miastem; akurat tutaj mało kto myślał, że celem mogą być imigranci. W Pradze zabójca strzelał do studentów – w salach wykładowych.

Świąteczny jarmark. Redakcja magazynu satyrycznego. Koncert idolki nastolatków. Wyspa, na której spotkali się młodzi, by rozmawiać o demokracji. Deptak, metro, plac handlowy. Lista miejsc w Europie, w których w ciągu ostatnich lat doszło do zamachów terrorystycznych i masowych strzelanin, sporo mówi o tym, jak żyjemy.

7 listopada do tych miejsc dołączył Kraków.

Czy jest mniej bezpiecznie

Michał Oksiński zabił na Rynku sześć przypadkowych osób. Wcześniej, w Ostrowcu Świętokrzyskim, zastrzelił rodziców, siostrę i domowe zwierzęta.

Prof. Anna Niedźwiedź – antropolożka kulturowa i dyrektorka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ, Krakowianka – przyszła tu nazajutrz, gdy tylko znów otworzono Rynek. Zaszedł już gęstą wieczorną mgłą. Stoliki kawiarniane na linii A-B były jeszcze nieposprzątane. Nadgryziony pieróg, nieskończona butelka szampana, porzucone rękawiczki. Ludzie podrywali się stąd w sekundę, by uciec.

– Czułam potrzebę zostawienia kwiatka na „Adasiu" – mówi. – Były tu już inne kwiaty i znicze. Następnego dnia przeszedł Marsz Ciszy. Był więc rytuał prywatny i ten wspólny. Ważne było dla mnie, aby być na miejscu. Rynek i przyległe ulice to nie tylko trasa turystów. Kraków sprzyja, a nawet wymusza na mieszkańcach chodzenie czy jazdę rowerem. Jest tu bardzo fizyczny kontakt z miastem – masz poczucie, że znasz te kamienie, że siedziałeś na tej ławce. Skracają się przestrzeń i czas: moja mama była na Rynku 45 minut przed zamachem.

W 2017 r. – po serii głośnych zamachów na kontynencie – Komisja Europejska zwróciła uwagę na zmianę w doborze celów przez terrorystów. W zaleceniach dotyczących ochrony przestrzeni miejskiej pojawiło się określenie: „cele miękkie". Czyli: miejsca otwarte, ogólnodostępne, których nie da się zabezpieczyć bez naruszenia ich publicznego charakteru.

W Krakowie już trzy dni po ataku na ulicach prowadzących do Rynku ustawiono bariery. Są tymczasowe. Chodzi o ochronę rozpoczynającego się 27 listopada jarmarku świątecznego, ważnej atrakcji miasta. Później zastąpią je bariery wysuwane, zdolne do zatrzymania rozpędzonej ciężarówki.

Zaczęły się pytania. Bariery chronią budynki i drogi dojazdu, zwiększają jednak, równocześnie, poczucie życia w oblężonej twierdzy. Zawsze jest też ostatnie miejsce „przed barierkami", wciąż narażone na ataki.

A może nie trzeba zmieniać nic? Po zamachu w Krakowie widać, że wszystkie procedury zadziałały. To naturalny odruch, aby myśleć: zabezpieczmy się bardziej. A może – jakkolwiek źle by to brzmiało – takie ataki są nie do powstrzymania? Może po 7 listopada miasto wcale nie jest mniej bezpieczne?

Dziesięć lat później

Kiedy w maju 2017 r. zamachowiec samobójca wysadził się w powietrze podczas koncertu Ariany Grande w hali Manchester Arena, Jenni Willbourn wiedziała już, że wśród mieszkańców skutki tego zamachu będą niemożliwe do przewidzenia.

Zginęły 22 osoby, wśród nich wiele dzieci i nastolatków. Setki odniosły rany. Prowadzone później badania osób korzystających z pomocy psychologicznej wykazały, że psychiczne skutki zamachu utrzymywały się przez wiele lat. Właśnie dlatego powstał Manchester Resilience Hub, ufundowane przez miasto centrum koordynacji wsparcia psychicznego i społecznego.

– Dynamika potrzeb ofiar takich wydarzeń jest nietypowa – mówi „Tygodnikowi" Willbourn, do dziś szefowa zespołu terapeutów pracujących z poszkodowanymi w zamachu. – Oczywiście, wielu ludzi potrzebuje pomocy przede wszystkim w pierwszych dniach po ataku. Większość dostaje wsparcie ↦

↦ ze strony rodziny, przyjaciół czy sąsiadów i szybko zdrowieje. Jednak nie każdy chce wrócić na miejsce zamachu albo znów odwiedzać centrum miasta. Wielu mieszkańców Manchesteru dopiero po jakimś czasie zgłosiło się na terapię. Nagle pojawiły się koszmary senne i flashbacki.

Podczas pierwszych czterech lat swojej działalności Manchester Resillence Hub objął pomocą psychologiczną ponad 4 tys. osób. Ostatnio zgłoszeń znów przybywa. Poszkodowanymi w Manchester Arena byli w dużej mierze czternasto- i piętnastolatkowie. Teraz zakładają rodziny, zaczynają pracę. I właśnie w tym momencie życia zdają sobie sprawę z tego, że zamach utrudnia, a nawet uniemożliwia im sprawne funkcjonowanie. – Szykujemy się też na zgłoszenia od służb ratunkowych czy medyków, którzy opiekowali się ofiarami. Z doświadczenia Londynu wynika, że proszą o pomoc po ok. 10 latach od zdarzenia – mówi Jenni Willbourn. Manchester szykuje się właśnie do takiej rocznicy.

Tuż po zamachu wszystkie place centrum Manchesteru wypełniły się balonami, kartkami, misiami pluszowymi. Tamta tragedia pozwoliła zobaczyć miasto jako wspólnotę. Miesiąc po nim Ariana Grande zorganizowała już koncert One Love Manchester. Ale takie wspólne emocje zawsze się kończą.

Jenni Willbourn: – Manchester Resilience Hub powstał głównie po to, aby opieka nad potrzebującymi nie ograniczyła się do pierwszych dni po zamachu. Kilka tygodni po ataku wszystkie jednostki pomocy psychiatrycznej publicznej służby zdrowia z rejonu Wielkiego Manchesteru zostały połączone. Podobnie jak po zamachach w Londynie w 2005 r., mieliśmy dostęp do państwowych baz danych. Sami wytypowaliśmy potencjalnych potrzebujących. Wysyłaliśmy im kwestionariusze, każdemu siedmiokrotnie, od 3 do nawet 36 miesięcy po zamachu. Miasto samo szukało potrzebujących wsparcia.

Pamięć także fizyczna

Inne miasta europejskie, w których doszło do ataków, uruchomiły programy edukacji obywatelskiej, pomagają w odbudowie lokalnych więzi, przekształcają miejsca tragedii w spokojne, przyjazne dla ludzi przestrzenie.

W lipcu 2011 r. Anders Breivik zdetonował bombę w centrum Oslo, zabijając osiem osób. Następnie zamordował na wyspie Utøya 69 uczestników obozu młodzieżówki norweskiej Partii Pracy. Pięć lat później na wyspie otwarto Hegnhuset, czyli centrum edukacyjne i miejsce pamięci w jednym. Wewnątrz zachowano fragmenty dawnej stołówki, w której zginęło kilkanaście osób. Architektura nawiązuje do tego, co się tu wydarzyło – dach podtrzymuje 69 masywnych kolumn. Co roku przyjeżdżają na wyspę tysiące młodych z Norwegii i innych państw. Uczestniczą w warsztatach poświęconych demokracji – o pamięci, nauce i zaangażowaniu.

Po zamachach w Paryżu i Saint-Denis (13 listopada 2015) powstały dwa stowarzyszenia ocalałych: Life for Paris oraz 13onze15–Fraternité et Vérité. Ich początkowe cele były praktyczne: integrować ofiary i ich rodziny, ułatwiać dostęp do pomocy psychologicznej, pomagać w sprawach administracyjnych i prawnych. Z czasem zaczęły wpływać na rozwiązania systemowe. Uczestniczyły np. w reformie funduszu gwarancyjnego dla ofiar i powołaniu specjalnego urzędu zajmującego się odszkodowaniami.

W Berlinie – gdzie w grudniu 2016 r. 24-letni Tunezyjczyk wjechał ciężarówką w tłum na jarmarku bożonarodzeniowym – szybko zorientowano się, że pomoc dla ofiar jest rozproszona pomiędzy liczne instytucje, a poszkodowani zostają w ich labiryncie sami. Powołano więc jeden punkt kontaktowy dla ofiar zamachów terrorystycznych i innych dużych katastrof.

Po zamachach w Barcelonie i Cambrils (17-18 sierpnia 2017) pracownicy miejskiego archiwum zebrali pozostawione przez mieszkańców kwiaty, znicze i rysunki – i udostępnili je w formie cyfrowej. Podobnie władze Paryża uznały, że te spontaniczne ślady żałoby są częścią historii miasta i nie powinny po prostu zniknąć wraz z uprzątnięciem ulic. Tu też trafiły do archiwum.

Prof. Anna Niedźwiedź: – Jako wspólnota sami wybieramy, co i jak chcemy pamiętać. Zastanawiam się, co w Krakowie zostanie wybrane jako dziedzictwo,

REKLAMA



bo właśnie to słowo z pewnością będzie się pojawiało. Na pewno zostaną emocje. Bo pamięć to rzecz wyobraźni, ale nie tylko. Jest też ucieleśniona, złączona z konkretną przestrzenią.

Niech decydują mieszkańcy

Z europejskich doświadczeń wiadomo, że dotkniętej traumą lokalnej społeczności pomaga stworzenie stałego, fizycznego miejsca wsparcia. Włączenie mieszkańców i rodzin ofiar w podejmowanie decyzji o sposobach upamiętniania. Edukowanie, tworzenie miejsc, które będą służyły wszystkim mieszkańcom.

Tak było w niemieckim Hanau, gdzie w lutym 2020 r. skrajnie prawicowy zamachowiec zastrzelił 9 osób. Ofiarami byli mieszkańcy w większości wywodzący się ze środowisk imigranckich.

Rodziny ofiar, ocalali i ich sojusznicy stworzyli oddolną inicjatywę, której celem było nie tylko upamiętnienie zamordowanych, ale także walka o wyjaśnienie okoliczności zamachu i ustalenie, czy i które instytucje zawiodły. Fizyczna przestrzeń spotkań to spory lokal w pobliżu jednego z miejsc zamachu. Lokal, w którym rodziny mogą wspólnie przeżywać żałobę, rozmawiać z innymi poszkodowanymi, organizować pomoc i działania społeczne. Budynek powstał w centrum miasta, między dwoma miejscami zamachu. Nazwano go: Dom Demokracji i Różnorodności.

Jenni Willbourn: – Sposób upamiętnienia powinien zawsze wynikać z decyzji mieszkańców. W Manchesterze do zamachu doszło w środku hali koncertowej, na terenie prywatnym. Nie jest to publiczna, dostępna dla wszystkich przestrzeń. Wśród ludzi nie było zresztą zgody, czy pozostawiać ślady po ataku. Przecież – mówili – nie chcemy pamiętać zbrodni. Chcemy pamiętać tych, którzy zginęli, i wspólnotę, która ich wspierała.

Psycholożka z Manchester Resilience Hub dodaje: – Pod Areną jest stacja, nazywa się Victoria Station. Tu ludzie spontanicznie wciąż przynoszą zdjęcia i kwiaty, dziewięć lat po ataku. Wielu wcześniej bało się jeździć do centrum, odpoczywać, umawiać w pubach. Miasta są jednak ludne, tłumne i szybkie. Wciąż odbywają się tu koncerty, mecze, jarmarki świąteczne. Dziś przestrzenie Manchesteru są w użyciu tak jak przed zamachem.

Zamach w Krakowie: serwis specjalny „TP”

W sytuacjach esktremalnych zwykli ludzie zdobywają się na bohaterstwo. To reguła, nie wyjątek – napisała AGATA SIKORA.

O tym, co wydarzyło się w naszym mieście 7 listopada, piszemy od pierwszych godzin, a na stronie internetowej uruchomiliśmy serwis specjalny, w którym – oprócz tekstu autorki książki „Wolność, równość, przemoc” – znajdą Państwo także komentarze i analizy Wojciecha Bonowicza, Bogdana de Barbaro, ks. Jacka Prusaka, Marka Rabija, Karoliny Przewrockiej-Aderet i Agaty Kaźmierskiej.

TygodnikPowszechny.pl/zamach-w-krakowie

Przyroda zamiast patosu

W 2022 r. w centrum Manchesteru otwarto Grade of Light – ogród pamięci. Jego głównym elementem jest biały marmurowy pierścień, na którym umieszczono nazwiska 22 ofiar. Są tu indywidualne „kapsuły pamięci” z osobistymi przedmiotami ofiar i spisanymi przez rodziny wspomnieniami. To spokojna, zielona przestrzeń przeznaczona do odpoczynku i refleksji.

Także na paryskim Place Saint-Gervais, niedaleko ratusza, otwarto przed rokiem podobne miejsce. Łączy zieleń i spokojną architekturę. Przyciąga, zaprasza mieszkańców.

Również Nowy Jork, miejsce najbardziej spektakularnego zamachu terrorystycznego ostatnich dekad, postawił na przyrodę. W miejscu wież zniszczonego World Trade Center umieszczono dwa kwadratowe zbiorniki z wodą, która spływa po czterech ścianach do głębokiego otworu pośrodku. Nie widać dna ani miejsca, w którym woda znika.

– Przyroda nie banalizuje – mówi prof. Niedźwiedź. – Tym, co banalizuje pamięć, jest monumentalizacja. Wielkie słowa i patos, w Polsce zresztą już nieco osłabione za sprawą licznych i w większości niezbyt udanych pomników Jana Pawła II. Doświadczenie Nowego Jorku jest zmysłowe; jest tu dźwięk wody, jest drzewo pamięci. Są miejsca, w których można się pomodlić, nawet niekoniecznie nazywając to modlitwą. Ludzie różnych religii i ludzie niereligijni przychodzą i zatrzymują się z pytaniem o to, co jest ponad nimi.

W Krakowie po ataku do miejsc, gdzie zginęli ludzie, przychodzi zakonnica z różańcem w ręku. Są hasła nawiązujące do 11 listopada, ale i symbol tęczy. Trwa spotkanie ludzi, którzy odmiennie interpretują rzeczywistość.

Nowa krakowska opowieść

Według Anny Niedźwiedź, siła społecznych powiązań nie zawsze zależy od wielkości miasta: – Nowy Jork to wielka metropolia, ale sieci powiązań są ścisłe, ludzie znają się w swoich środowiskach – od akademii po osoby żyjące na ulicy. W Krakowie, który jest dużo mniejszy, połowa ludzi zna pewnie przynajmniej z nazwiska jednego z chirurgów, którzy pomagali rannemu policjantowi, ktoś pamięta, że ranny strażak grał w orkiestrze, którą słyszał, ktoś kogoś uczył, minął przy jakiejś okazji.

Na rogu Stradomskiej i Dietla, w miejscu, gdzie wszystko się zakończyło, szybko pojawiły się kwiaty, laurki z podziękowaniami, a nawet, choć nikt tu nie zginął (zamachowiec zmarł w szpitalu) – znicze. To miejsce inne niż Rynek: mniej historyczne i mniej zadbane. Kiedyś był w budynku obok bank. Może dzięki temu grube szyby wytrzymały strzały. Jest opuszczony sklep.

Wśród kartek zostawianych przez ludzi pojawiły się wiersze Szymborskiej i wizerunki Jana Pawła II. Ofiary ataku przedstawione z charakterystycznymi skrzydłami z „Anioła w Krakowie”, jednego z nielicznych filmów, w których Kraków jest podmiotem, a nie wyłącznie scenografią. A nawet „Święta Trójca” Rublowa. Świadkami ataku były dzieci – zostawiają w tym miejscu czekoladę i zabawki, np. samochód policyjny z lizakiem. Są napisy: „Kraków się nie podda”, „We will find love again” (Znów odnajdziemy miłość).

Prof. Niedźwiedź: – Meleksy z turystami też już się tu zatrzymują. Historia tego ataku stanie się kolejną z krakowskich opowieści. Właściwie wszyscy ↦

↦ demonstrują szacunek do tego miejsca. Zaskoczyło mnie jednak, że wśród niektórych mieszkańców pojawia się też potrzeba wymazania śladów po ataku. Są osoby, które podkreślają, że chcą pamiętać ofiary, tymczasem rany widoczne w tkance miasta nie dają im zapomnieć o sprawcy.

Trwa np. dyskusja, czy zachować ślady po kulach. Przy Sławkowskiej są bardzo charakterystyczne: pięć z serii, mocno odbitych w ścianie, dokładnie widać, jaka była moc wystrzału. Jeden z radnych chce zostawić tynk w tym stanie. Ale ostrzelana kawiarnia obok wymieniła już szyby.

W 2005 r., gdy zmarł Jan Paweł II, bratali się ze sobą kibice Cracovii i Wisły, a cały kraj zamarł. Ale badacze już wtedy mówili o „efemerycznych miejscach pamięci". Wtedy na koniec wjechała śmieciarka i pozostawione przez ludzi świadectwa trafiły na wysypiska śmieci. Teraz ma być inaczej.

W minioną sobotę pojawił się nowy napis – stylizowany na tabliczki z nazwami ulic: „Róg Starszych Posterunkowych Jakuba Kulika i Artura Morańskiego". Mieszkańcy nadali już nazwę. Ciekawe, czy zostanie.

Mieszkańcy już nadali temu miejscu nazwę: „Róg Starszych Posterunkowych Jakuba Kulika i Artura Morańskiego". Ciekawe, czy zostanie.

Miasto po krzywdzie

W medialnych komentarzach po dramacie eksperci ds. bezpieczeństwa mówili często, że atak w Krakowie przyniesie długofalowe skutki dla całego kraju. Że przybędzie tzw. samotnych wilków, czyli osób, które radykalizują się w izolacji i działają bez powiązań ze zorganizowanymi grupami. Że najmłodsze pokolenia, wychowywane z ekranami smartfonów, są szczególnie podatne na takie procesy. Szybko mieli pojawić się naśladowcy Michała Oksińskiego. A państwo – mówiono – powinno postawić na pokaz siły, powinno posyłać na ulice więcej policjantów z długą bronią.

Pojawiły się też głosy, że tragedia w Ostrowcu Świętokrzyskim i Krakowie to sygnał alarmowy – o samotności młodych, alienacji, podatności na algorytmy promujące treści ze skrajną przemocą. I że śmierć zamachowca w krakowskim szpitalu sprawi, że nigdy nie dowiemy się, co pchnęło go do zbrodni.

Po ataku w Krakowie jeden z ministrów zawyrokował, że Oksińskiego fascynowały poglądy skrajnie prawicowe, co na czerwonych paskach od razu podchwyciły serwisy informacyjne. W warszawskich mediach zastanawiano się, jak w tych warunkach będzie wyglądał Marsz Niepodległości. A ściślej – jego transmitowane na żywo czoło, z politykami, ludźmi odpalającymi race i krzyczącymi, że Polska jest dla Polaków.

Ale im bliżej Rynku Głównego, tym było ciszej. W regionalnym radiu trwała rozmowa o tym, czy Oksiński, oprócz tego że zbrodniarzem, nie był też w pewnym sensie ofiarą, zagubionym dzieckiem. Ktoś przypomniał, że w Ostrowcu oprócz ludzi zginęły też dwa koty – może i takie istoty zasługują na zdanie upamiętnienia?

Wieczorem dzień po zamachu, tuż po tym, gdy na zamglony Rynek znów przyszli mieszkańcy i turyści, a korespondent telewizji austriackiej trząsł się z zimna przed łączeniem, kilka miejsc intensywnie pachniało chlorem. Był to nowy, nieznany tu zapach. Zmywano krew. Ludzie byli przeczuleni bodźcami. 10 kilometrów od Rynku, w tej samej mgle, usłyszano wystrzał. A to tylko pękło zawieszenie w autobusie.

Podrażnione po krzywdzie miasto reagowało jak budzące się z koszmaru dziecko. Żyło. ©℗ MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Justyna Kowalczyk-Tekieli, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI



SUBSKRYPCJA CYFROWA

Wszystkie treści bez ograniczeń

- Nieograniczony dostęp do wszystkich treści serwisu
- Newslettery i dodatkowe publikacje tylko dla subskrybentów

299 zł **rocznie**

–15% z kodem* LISTOPAD15

tygodnikpowszechny.pl/dostep/tp-online-dostep-roczny

Zeskanuj i subskrybuj



PRENUMERATA Z KURIEREM INPOST

Czytasz cały rok, płacisz co miesiąc

- Roczna prenumerata z płatnością miesięczną: 12 × 67 zł
- Darmowa dostawa: kurier InPost prosto pod Twoje drzwi

67 zł **miesięcznie**

tygodnikpowszechny.pl/oferta-raty-inpost

Zeskanuj i zamów



PRENUMERATA ŁĄCZONA

Dwa formaty, jedna prenumerata

- Subskrypcja cyfrowa + wydanie papierowe
- Darmowa dostawa: paczkomat InPost

983 zł **rocznie**

–15% z kodem* LISTOPAD15

tygodnikpowszechny.pl/oferta-laczona-inpost

Zeskanuj i zamów

* Kod LISTOPAD15 obniża cenę subskrypcji cyfrowej i prenumeraty łączonej o 15%. Ważny do 30 listopada 2026 r.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

LUKA SAMOTNOŚCI

Łatwiej by było, gdyby sprawca zamachu w Krakowie
był islamskim fundamentalistą, imigrantem,
albo chociaż wyznawał jakąś skrajną ideologię.
Moglibyśmy wtedy wytłumaczyć sobie,
że to nie był jeden z nas. Nic z tego.

AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI



Michał Oksiński miał 24 lata, pracę, rodzinę, pozwolenie na broń. Nie był karany. Wyrósł w Ostrowcu Świętokrzyskim. Nie mamy więc wygodnej wymówki, a skoro tak, to musimy zacząć zadawać trudne pytania. O to, skąd wzięła się jego przemoc i skąd w ogóle taka przemoc się bierze. O to, czy można jej zapobiegać. Ale przede wszystkim, czy potrafimy wyciągnąć z tej tragedii wnioski.

Przeźroczysty, przeciętny

Jakby zamachowców z Krakowa było dwóch. Pierwszy to ten z mediów, na czarno i w kapturze, który według chętnie cytowanej kobiety przedstawiającej się jako koleżanka z dawnej klasy, miał na lekcjach rysować wisielców. A później – wedle relacji kolegi z pracy – „rozmawiał cały czas o seryjnych mordercach" i znał ich historie „od A do Z".

Jest też Michał Oksiński, o którym opowiedzieli nam jego dawni nauczyciele i sąsiedzi z Ostrowca. Tak zwyczajny i nierzucający się w oczy, że ludzie z tej samej klatki schodowej zastanawiali się, czy się już nie wyprowadził. Przezroczysty.

– Lepiej niż Michała pamiętam jego samochód – przyznaje Marcin Sitarz, dyrektor szkoły, w której Oksiński się uczył, wspominając czarne Subaru. – Po tym samochodzie go poznałem, gdy to się stało. Wiecie państwo, najle-

piej pamięta się najlepszych i najbardziej problematycznych uczniów. A on był przeciętny. Nie sprawiał kłopotów. Przejrzałem całą dokumentację. Sześć pochwał, żadnych uwag. Frekwencja sto procent.

Również dla Anny Gębury, szkolnej pedagożki, to był zwyczajny, trochę wycofany nastolatek. – Inteligentny, nie sprawiał problemów. Ani razu nie wzywaliśmy jego rodziców na indywidualne rozmowy. Angażował się w akcje honorowego krwiodawstwa i zgłosił do programu oddawania szpiku. Wiem, że interesował się historią i z tego, co mówiła mi jego nauczycielka, był partnerem do rozmowy, ale nie próbował przekonywać do jakichś określonych ideologii – opowiada.

W szkole słyszymy jedno *dementi* za drugim: że żadnych rysunków z szubienicami, bo przecież ktoś by to zgłosił. Że wielu nastolatków ubiera się na czarno. Że nie był żadnym odludkiem i miał normalne relacje.

I jeszcze, parokrotnie, że szkoła nie miała żadnych zgłoszeń, żadnych powodów do interwencji.

Mężczyznę, który przez ostatni rok pracował z Oksińskim w jednym zakładzie, pytamy, czy w jego zachowaniu coś się ostatnio zmieniło. Może stał się bardziej zamknięty w sobie? – Ciężko by było, żeby był bardziej zamknięty – odpowiada. – On właściwie tylko „dzień dobry" mówił.

Jakby przemykał pod społecznymi radarami.

Zapalnik zbrodni

To żaden wyjątek, że po masowej zbrodni rodzą się dwie opowieści o sprawcy. I nie chodzi o to, że ktoś zmyśla, choć i to się zdarza. Anders Breivik (Norwegia, 77 zabitych) w oczach sąsiadów był uprzejmy, choć raczej nijaki, ale w sieci przez lata wypisywał nienawistne komentarze i kupował materiały do produkcji bomb. O Andreasie Lubitzu (rozbił samolot Germanwings, 149 ofiar) w rodzinnym Montabaur mówiono, że to spokojny chłopak, który spełnia marzenia o lataniu. Chorował psychicznie od lat, a dwa tygodnie przed zamachem lekarz chciał go wysłać do szpitala z podejrzeniem psychozy. Stephen Paddock (strzelanina w Las Vegas, 60 zabitych), „zwykły facet", miał około 50 sztuk broni (legalnej) i obsesyjnie obserwował miejsce przyszłego ataku.

Dwa obrazy Oksińskiego też nie muszą się wykluczać. – Mógł swobodnie rozmawiać z jednym kolegą o seryjnych mordercach, a jednocześnie nie odzywać się do 99 procent otoczenia. To psychologicznie spójne – uważa Jan Gołębiowski, psycholog kryminalny, biegły sądowy i profiler. Zastrzega, że na razie poruszamy się wśród fragmentarycznych informacji.

Niczego nie wiemy o życiu osobistym Oksińskiego, czy miał dziewczynę lub chłopaka, albo jak wyglądały jego relacje z siostrą i rodzicami. Śledczy próbują to zapewne ustalić. Podobnie jak to, co oznaczała dla niego żółta flaga Gadsdena z napisem „Nie depcz po mnie", która wisiała na ścianie jego pokoju. W USA wykorzystywana jest przez zwolenników dostępu do broni. Pojawia się też w popularnej grze komputerowej „Far Cry" (Oksiński był graczem). Równie dobrze jednak mógł to być komunikat – świadomy lub nie – do kogoś, kto po prostu do niego wchodził.

Otwarte, przynajmniej na razie, jest pytanie, co było bezpośrednim zapalnikiem zbrodni. Gołębiowski: – Musiało się wydarzyć coś, co uruchomiło ten mechanizm, bo zaatakował nie za tydzień, nie za miesiąc, lecz właśnie teraz. Może doszło do jakiejś rozmowy w domu? Wpływ mogły mieć również wcześniejsze przypadki przemocy. W październiku Polska mówiła o atakach nożowników w szkołach, a na początku roku głośno było o sprawcy, który nagrał zabójstwo ojczyma i prababci. ↦



BEATA ZAWRZEL / AP / EAST NEWS

Zamknięty przez policję i służby Rynek Główny w Krakowie w noc po zamachu z 7 listopada 2026 r.

↦ Jeśli interesował się podobnymi sprawami, pewnie słyszał o tych wydarzeniach i w jakiś sposób je przetwarzał.

Nie zostawił manifestu

Kryminologia wyróżnia tzw. morderców masowych. To ci, którzy atakują raz, a ich celem jest jak największa liczba ofiar. John Douglas, współtwórca profilowania kryminalnego i autor m.in. książki „Mindhunter", pisze, że motywacją takich sprawców jest wyłożenie (na swój makabryczny sposób) własnych racji. Ich zło to wybuchowa mieszanka słabej, chwiejnej osobowości, potężnego stresora, instytucji, które go w porę nie wyłapały oraz łatwego dostępu do broni i ofiar. Ofiary łączy tylko miejsce, które morderca wybrał, bo jest dla niego ważne – one zaś akurat się tam znalazły.

Do Warszawy Oksiński miał tak samo daleko, jak do Krakowa, do Kielc bliżej. Wybrał Kraków. Może dlatego, że znał miasto, gdzie jego siostra Magdalena studiowała na ASP.

Jednym z typów masowego mordercy jest tzw. pseudokomando. Długo planuje zbrodnię. Atakuje w biały dzień. Przeważnie zakłada, że zginie – jak pisze badacz tego zjawiska dr James L. Knoll IV – w perwersyjnie pojmowanym „blasku chwały". Czy Oksiński też to zakładał? Gołębiowski: – Może o tym świadczyć fakt, że zabił nie tylko rodzinę, ale też należące do niej dwa koty. To było jak wykasowanie wszystkiego, z czym był jakoś związany emocjonalnie.

Badania Paula E. Mullena, psychiatry i współautora koncepcji pseudokomando, wykazały, że w przeszłości takich sprawców pojawia się często skłonność do żywienia urazy i obwiniania świata. Z tego, czego w sobie nienawidzą lub czego się boją, składają postać zewnętrznego wroga zasługującego na odwet. Dlatego często zostawiają manifest, w którym wykładają swoje racje. Jak to ujmuje Knoll, „tego rodzaju słuszny gniew jest w rzeczywistości próżną, pozorną siłą, bo stanowi jedynie reakcję na nieznośne poczucie bezsilności".

Oksiński prawie pasuje do tego profilu. Prawie, bo nic nie wskazuje, by swoją fantasmagoryczną zemstę skierował przeciw konkretnej grupie. I, według oficjalnych informacji, nie zostawił manifestu. Gołębiowski: – Może się okazać, że zrobił to w jakiejś wąskiej grupie w sieci, ale ewidentnie nie chciał zostawić publicznego przekazu, choć jego działanie było manifestacyjne. Manifestem był jego uniform, jakby był na wojnie ze światem.

Psycholog kryminalny: zamachowiec nie chciał zostawić publicznego przekazu, choć jego działanie było manifestacyjne. Manifestem był jego uniform, **jakby był na wojnie ze światem.**

Kim się inspirował

Szef MSWiA Marcin Kierwiński w dniu zamachu stwierdził, że sprawca był zafascynowany ideologiami skrajnie prawicowymi. Później podano, że przez wiele tygodni szukał informacji o Charlesie Mansonie, Tedzie Kaczynskim i Breiviku. O ile ten ostatni był skrajnie prawicowym ekstremistą, a Manson chciał rozpętania wojny rasowej, to poglądy Kaczynskiego wymykają się podziałowi lewica–prawica i uznawane są za odrębną formę radykalizmu. Wymawiając słowo „prawicowy", Kierwiński wtłoczył jednak zamach w koleiny polskiej polaryzacji. Tymczasem może chodzić o zupełnie inne porządki.

Oksiński zostawił w szafce w pracy napis „GGER". Według ABW to skrót od „Good Game Elliot Rodger". Pierwsze dwa słowa to w slangu graczy komputerowych podziękowanie rywalom i sojusznikom za rozgrywkę. Elliot Rodger to morderca, który z nienawiści do kobiet w 2014 r. w Kalifornii zabił nożem trzy osoby i zastrzelił trzy kolejne. Jeżdżąc ulicami Isla Vista, strzelał do przechodniów i celowo ich potrącał. Ranił 14 osób, po czym popełnił samobójstwo. Dla części internetowej społeczności inceli (mężczyzn żyjących w przymusowym celibacie) stał się rodzajem świętego. Nazywają go „najwyższym dżentelmenem".

Przed rozpoczęciem strzelaniny, zza kierownicy swojego czarnego BMW Rodger nagrał manifest. Zdjęcie profilowe z jednego z kont w mediach społecznościowych Oksińskiego wydaje się stylizowane na kadr z tamtego nagrania. Według ustaleń prokuratury przeglądał on w internecie treści mizoginiczne.

Jeśli rzeczywiście inspirował się Rodgerem, nie był pierwszy. Udokumentowano dziesiątki inspirowanych nim ataków, w których zginęło ponad sto osób. Oksiński nie byłby też pierwszym zafascynowanym jednocześnie Rodgerem i Breivikiem. William Atchison, który w 2017 r. zabijał uczniów w swojej szkole, używał w internecie dziesiątek pseudonimów, wśród nich nazwisk obu morderców. Aresztowany w 2021 r. we Włoszech Andrea Cavallari do inspiracji Breivikiem i incelami dorzucił negowanie Holokaustu, a 14-latek z Singapuru czytał manifesty Breivika i Brentona Tarranta (zaatakował meczety w Christchurch, 51 zabitych), uwielbiał Rodgera, ale popierał też ISIS i Kim Dzong Una.

„To zjawisko, z którym zwalczając terroryzm, coraz częściej mamy do czynienia. Trochę tego, trochę tamtego, a tak naprawdę chodzi o przemoc" – zeznawał w kongresie w 2020 r. ówczesny dyrektor FBI Christopher Wray.

Gasnący Ostrowiec

Kilka godzin po ataku telewizje zaczęły pokazywać okno małego balkonu w bloku w Ostrowcu. Policjanci znaleźli tam trzy ciała. Rodziców i siostry, która przyjechała na weekend.

Być może, żeby zrozumieć choć część tej tragedii, należałoby odwrócić na chwilę wzrok od tego okna i spojrzeć w dół. Na mały plac zabaw przy bloku. Na starą karuzelę.

Oksińscy sprowadzili się tam przed dwiema dekadami. Po dzieciakach, które tu kiedyś mieszkały, zostało tylko kilka huśtawek. Ostrowiec należy dziś do najszybciej wyludniających się polskich miast. 20 lat temu mieszkało w nim ponad 70 tys. ludzi i choć czasy przemysłowej świetności miasto miało już za sobą, to wciąż żyło w cieniu sprawnie działającej huty.

Zakład zatrudnia dziś znacznie mniej ludzi. Kto kończy szkołę średnią, wyjeżdża. Na studia, za pracą, za innym życiem. ↦



M.LASYK / REPORTER

Zapory betonowe utrudniajace wjazd na Rynek Główny w Krakowie, 11 listopada 2026 r.

Betonowe bariery. Na co stać szóstą gospodarkę UE

Krwawy rajd Oksińskiego zakończył się na rogu ulic Stradom i Dietla. Starsi posterunkowi Jakub Kulik i Artur Morański podjęli pościg za jego Subaru 23 sekundy po zgłoszeniu. Zneutralizowali go w trzeciej minucie akcji.

KILKA RAZY W ROKU | – Mistrzostwo świata – tak o tempie ich działania mówi doświadczony policyjny negocjator mł. insp. Krzysztof Balcer, który w 2007 r. negocjował z Damianem Ciołkiem. Ten pierwszy polski masowy zabójca zastrzelił z więziennej wieżyczki w Sieradzu trzech policjantów. – Tam pojawiła się przestrzeń na negocjacje. W Krakowie jej nie było. Policjant widział broń automatyczną i napastnika ubranego jak Robocop. Nie miał pewności, że tamten nie wyciągnie spod kamizelki kolejnego gnata. To była walka o życie.

– Policjant miał prawo kontynuować użycie broni tak długo, jak długo napastnik stwarzał zagrożenie – wskazuje dr Damian Muszyński, oficer policji w stanie spoczynku, a obecnie adiunkt Uniwersytetu Szczecińskiego. – Sam fakt, że sprawca upadł na ziemię, nie oznacza jeszcze, że został skutecznie obezwładniony.

Podkreśla, że na korzyść policjantów zadziałał paradoksalnie ich krótki staż. – Policjant po kursie podstawowym jest dobrze „ostrzelany", gdyż szkolenie strzeleckie obejmuje 144 godziny, a większość to praktyka – tłumaczy. – Potem strzela się najwyżej kilka razy w roku. Spróbujcie myć zęby kilka razy do roku.

Muszyński jest autorem kursu strzeleckiego dla policjantów, zawierającego elementy podwyższonego stresu. – Tworząc go, przełamywałem olbrzymie opory instruktorów szkół policyjnych, których wyrywał z rutyny, jak również przełożonych, bo to kursy kosztowne amunicyjnie. 7 listopada zobaczyliśmy, dlaczego są tak potrzebne. Niestety, od policjantów wielokrotnie słyszałem, że czekają na nie latami. Na przeszkodzie doskonalenia policjantów stoją pieniądze, ale i problemy kadrowe: przełożony musi spiąć grafik: dniówki, nocki, urlopy, więc niechętnie pozbywa się ludzi, wysyłając ich na szkolenia.

KAMIZELKA ZA SWOJE | Są też problemy bardziej podstawowe: większość jednostek nie ma własnej strzelnicy, policjanci zaś często sami kupują sobie kamizelki taktyczne, stazy, wzmacniane rękawice. Jeśli funkcjonariusz chce zabierać broń służbową do domu, szafkę pancerną też musi kupić sobie sam.

Balcer gorzko zauważa, że po każdej podobnej tragedii wracamy szybko do przekonania, że Polska to kraj mimo wszystko wolny od terroru. – Już w 2003 r. Amerykanie mówili nam na szkoleniu w FBI, żebyśmy nie pytali, czy terroryzm do nas przyjdzie, lecz kiedy przyjdzie. Raptem po czterech latach był Sieradz. W 2012 r. Brunon Kwiecień planował zamach na Sejm, a w 2022 r. Karol M. chodził tak długo po kancelariach komorników, aż zabił. Ostatnio mieliśmy „krwawy piątek" i dzieciaki z nożami w szkołach. Mało? – pyta Balcer. – Więc czemu dopiero teraz politycy i media stwierdzają, że „skończyła się w Polsce wolność od terroru", równocześnie wciąż nakręcając w sferze publicznej wulgarną radykalność? A potem się dziwią atakom zradykalizowanych psychopatów, których to tylko inspiruje.

– Bardzo nie lubię przysłowia „Mądry Polak po szkodzie" – mówi Muszyński. – Następnego dnia po tragedii w Krakowie w niektórych miastach zaczęto montować betonowe bariery. Obawiam się, że gdybyśmy zasugerowali władzom miejskim tego typu rozwiązania jeszcze w piątek 6 listopada, najdelikatniej mówiąc, nie spotkałoby się to z entuzjazmem. Planowanie zabezpieczeń powinno się opierać na identyfikacji zagrożeń i ocenie ryzyka, a nie być jedynie reakcją na tragiczne wydarzenia.

KIEDY BROŃ DŁUGA | Po zamachu w Krakowie komendant główny policji gen. Marek Boroń zapewniał, że walczy o broń długą dla patroli, ale to wymaga szkoleń i zabezpieczeń, np. specjalnych kaset mocowanych w bagażnikach radiowozów. Czyli znowu koszty. Czy jednak naprawdę szóstej gospodarki UE na to nie stać?

Jak wskazuje Muszyński, jeżeli policjanci mieliby nosić broń długą przez całą służbę, byłaby to zwykła pokazówka. – W codziennej służbie patrolowej pistolet maszynowy jest tak przydatny, jak tupecik na wietrze. Nie oznacza to, że specjalnie zabezpieczona broń długa nie powinna się znajdować w radiowozie. Nie wspominając już o profesjonalnych apteczkach.

Muszyński obawia się jeszcze jednego: że gdy opadną emocje, zacznie się poszukiwanie błędów w interwencji krakowskich policjantów. Do prokuratury okręgowej w Krakowie wpłynęły już doniesienia w sprawie przekroczenia przez Jakuba Kulika uprawnień. Złożone m.in. przez... poszukiwanego przez policję Roberta Talarowskiego ps. Żarówa.

Na razie politycy i przedstawiciele organów ścigania stoją za policjantem murem. Czy później też tak będzie, przekonamy się po czasie.

© AK, MK

↦ W 2008 r. urodziło się tu 613 dzieci. W zeszłym – 221, a liczba ludności spadła poniżej 59 tys.

– Zostali przede wszystkim starsi, emeryci, i dla nich to naprawdę dobre miasto do życia – mówi lokalny dziennikarz Tomasz Barski, który mieszkał w tej samej klatce, co Oksińscy, i wciąż regularnie odwiedza tam rodziców. – Mówi się, że Michał z nikim z sąsiadów nie utrzymywał kontaktów, ale to przecież nie byli jego rówieśnicy.

Oksiński po maturze nie wyjechał. Jedna z jego nauczycielek powiedziała nam, że nie chciał studiować, lecz iść do pracy, by się uniezależnić. Ukończył technikum w klasie obrabiarek cyfrowych – oferty pracy dla ich operatorów za granicą obiecują kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie. Ostatnio pracował jednak w zakładzie, którego zabudowania wyglądają jak zrujnowany zamek Gargamela z dziecięcego koszmaru. – E, na zwykłej tokarce – macha ręką mężczyzna znający go z pracy.

To tylko hipoteza, ale można go sobie wyobrazić odciętego od rówieśników w wyludniającym się mieście, z poczuciem, że nie dostał od świata tego, co inni.

Wsparcie z sieci

– Cały czas brzmi mi to w uszach: „cichy człowiek, spokojny, dzień dobry mówił". To kolejny taki przypadek – mówi mł. inspektor Krzysztof Balcer, jeden z najbardziej doświadczonych negocjatorów policyjnych. – Takich ludzi się nie zauważa, a w nich może narastać przekonanie, że są lekceważeni, odtrącani. Narastać i narastać, aż wybuchnie.

Z badań wynika, że radykalizacja zwykle nie zaczyna się od ideologii, ale od emocji: upokorzenia, odrzucenia albo potrzeby, by coś znaczyć. Psychologowie Clark McCauley i Sophia Moskalenko opisali 12 takich mechanizmów. To m.in. poczucie osobistej krzywdy, stopniowe ześlizgiwanie się w przemoc, poszukiwanie statusu. Albo więź z kimś, kto już jest zradykalizowany.

Jeden z takich mechanizmów zaczyna się od rozpadu dotychczasowych więzi. Człowiek, który stracił oparcie, staje się otwarty na nowych znajomych i nowe idee, a tę lukę chętnie wypełniają grupy oferujące wspólnotę razem z gotową ideologią. To środowisko nie musi istnieć w świecie rzeczywistym. Może być grupą internetową.

Policyjny negocjator: **„cichy człowiek, spokojny, dzień dobry mówił".** Takich ludzi się nie zauważa, a w nich może narastać przekonanie, że są lekceważeni. Narastać, aż wybuchnie.

– Dziś młodzi funkcjonują w ekosystemie mediów społecznościowych, serwisów streamingowych, komunikatorów, platform gamingowych. To ich główne źródła wiedzy o świecie i przestrzeń, która sprzyja toksycznym zjawiskom – mówi dr Konrad Ciesiołkiewicz z Centrum Analiz Społeczeństwa Informacyjnego Uczelni Korczaka, autor raportu „Weaponizacja osób małoletnich i młodych dorosłych. Nowe zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego". – Dla młodego człowieka najważniejszą grupą odniesienia są rówieśnicy. Jeśli jest od niej odcięty, stygmatyzowany, wykluczony lub nieakceptowany, istnieje ryzyko, że zacznie szukać wsparcia w internecie. Może je znaleźć w grupie przestępczej lub skrajnie ekstremistycznej. Może też po prostu wpaść w samonapędzającą się, algorytmiczną spiralę zanurzania w treściach, z którymi nigdy nie powinien mieć do czynienia w takiej skali.

– Długo miałem opór przed stawianiem tezy, że samotność wiąże się z radykalizacją – przyznaje prof. Łukasz Okruszek, dyrektor Instytutu Psychologii PAN. Jak wyjaśnia, dysponujemy już jednak badaniami ilościowymi, które wskazują na wyraźny związek między nimi. – A samotność zaczyna się przede wszystkim w domu, w najbliższych relacjach – mówi. Choć zastrzega, że w odniesieniu do Oksińskiego twierdzenie, że to był czynnik, który na niego wpłynął, „byłoby zbyt daleko idącym psychologizowaniem".

Jak o nich pisać

Dlaczego w ogóle tak interesujemy się życiem Oksińskiego i szukamy jego motywacji? – On już nie żyje, ale to, co zrobił, nadal stanowi zagrożenie dla naszego rozumienia świata – wyjaśnia prof. Okruszek. – Jego zamach podważył przekonanie, że Polska to bezpieczny kraj, gdzie nikt nie wjeżdża na rynek, by masowo zabijać. Nie wiemy, co kierowało sprawcą, a jednocześnie wydarzyło się coś, co nami wstrząsnęło. Dlatego próbujemy osiągnąć tzw. domknięcie poznawcze. Docierające do nas sygnały staramy się ułożyć w spójną całość zgodnie ze swoją wiedzą i rozumieniem świata.

To nie jedyny powód, dla którego taka zbrodnia nie kończy się, gdy milkną strzały. Masowi mordercy stają się inspiracją dla następnych. – To trochę efekt domina. Możemy zacząć od Charlesa Whitmana, który dokonał masowej strzelaniny w 1966 r. Od tamtej pory właściwie każdego kolejnego sprawcę można w jakimś stopniu uznać za jego naśladowcę – mówi Gołębiowski.

Jeśli jednym z mechanizmów naśladownictwa jest rozgłos, jaki zdobywają mordercy, to jak o nich opowiadać? W szeroko cytowanym artykule „Don't Name Them, Don't Show Them, But Report Everything Else" kryminolodzy Adam Lankford i Eric Madfis wzywają, by media przestały publikować nazwiska i wizerunki masowych morderców. Jednocześnie autorzy postulują relacjonowanie szczegółów zbrodni, uznając to za społecznie konieczne.

Od publikacji wspomnianego artykułu w 2017 r., infosfera mocno się zmieniła. To, że czegoś nie będzie w telewizji czy w gazecie, nie znaczy, że nie będzie w internecie. – A tam, gdzie nie ma oficjalnej albo zweryfikowanej informacji, rodzi się dezinformacja – mówi prof. Katarzyna Bąkowicz, medioznawczyni stojąca na czele zespołu ds. dezinformacji w KPRM. Zastrzega jednak: – Media muszą próbować znaleźć w tym złoty środek. Powinny też uczyć odbiorców, że czasami informacją jest jej brak. I chyba tego elementu nam brakuje. Wpadamy z jednej skrajności w drugą. Milczenie nie jest jednak rozwiązaniem.

Przy okazji warto rozprawić się z jeszcze jednym mitem: jakoby po masowych zabójstwach tylko przez

kilkanaście dni wzrastało ryzyko kolejnych ataków. Najnowsze badania tego nie potwierdzają. Nie ma magicznego momentu, po którym można uznać, że zagrożenie minęło.

Badania zgodne są za to w innej kwestii: tam, gdzie więcej osób ma broń, do masowych strzelanin dochodzi częściej. W USA dwie trzecie sprawców strzelanin w szkołach brało ją z własnego domu lub z domu krewnych.

Dziury w systemie

– Nigdy nie słyszeliśmy o żadnej broni w ich domu – słyszymy w szkole. Sąsiadka myślała, że gdy Michał z ojcem, ubrani w moro pakują do bagażnika podłużne futerały, jadą wędkować.

Łatwy dostęp do broni to końcowy warunek działania masowego mordercy. Wiadomo, że ojciec Oksińskiego miał sportową licencję na dziewięć sztuk. Onet ustalił, że jedno pozwolenie wydano w 2020 r., drugie w 2023 r. Morderca też swoje dwie sztuki broni, w tym karabin AR-15, posiadał legalnie.

Opublikowany w maju tego roku raport NIK wskazuje liczne braki w nadzorze nad dostępem do broni. Posiadacze pozwoleń myśliwskich, sportowych i kolekcjonerskich nie muszą np. przechodzić badań okresowych, tylko jednorazową ocenę zdolności psychofizycznych, a dokument dostają bezterminowo. Nie ma też mechanizmów sprawdzających, czy taka osoba nadal spełnia wymagane prawem warunki. Kontrolerzy NIK ujawnili nawet przypadki wydawania pozwoleń bez egzaminu oraz nierzetelnej weryfikacji, czy ubiegający się o pozwolenie nie byli karani lub nie stwarzali zagrożenia dla siebie lub dla bezpieczeństwa publicznego.

O jakości systemu weryfikacji wiele mówi fakt, że Oksiński swoje pozwolenie dostał w tym roku.

Do samego dna

Na fotografii, którą zrobiono w szkole, Oksiński właśnie honorowo oddał krew. Śmieje się, unosi kciuk. Fotografka zapamiętała go, bo zamiast odwracać się od obiektywu, jak inne nastolatki, sam chciał, żeby mu zrobiła zdjęcie.

Jego historię musimy rozgrzebać do samego dna, w każdym najbrudniejszym szczególe. – Musimy to zrobić, żeby zrozumieć, co dokładnie przeoczyliśmy, co prześlizgnęło się przez luki w systemie – mówi dr Paulina Piasecka, dyrektorka Centrum Badań nad Terroryzmem Uniwersytetu Civitas. – Bez tego nie będziemy w stanie zmieniać i dostosowywać działania naszego systemu ochronnego, żeby stał się odporny na tego rodzaju zagrożenia.

Musimy to wszystko zrobić nie po to, żeby szukać sensacji czy usprawiedliwień dla mordercy. Lecz żeby nie było następnego.

7 listopada znaleźli się ludzie, którzy z narażeniem własnego życia ratowali innych. Mieliśmy szczęście, że tam byli. Ale bohaterstwo to nie system bezpieczeństwa. Szczęście też nie.

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

REKLAMA

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Niektóre maluszki śpieszą się z przyjściem na świat - sprawiamy, że ich rodzice nie muszą śpieszyć się z powrotem do pracy. **Mają czas na to, co najważniejsze.**

Jesteś rodzicem wcześniaka? Twoje dziecko musiało zostać dłużej w szpitalu?

Dowiedz się, jak skorzystać z uzupełniającego urlopu macierzyńskiego.





JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Marsz Niepodległości w Warszawie, 11 listopada 2026 r.

Jak Polak z Polakiem

MAREK KĘSKRAWIEC

SPOŁECZEŃSTWO | W Krakowie ludzie ruszyli sobie z pomocą. Cztery dni później, w Święto Niepodległości, politycy dużo mówili o wspólnocie, ale tylko pogłębiali podziały.

Z pozoru można się tylko cieszyć – nie pamiętam spokojniejszego Marszu Niepodległości. Ponad ćwierć miliona ludzi na ulicach Warszawy i żadnego obrazka przypominającego Francję; ledwie 59 zatrzymań, głównie za race i posiadanie narkotyków, żadnego zdemolowanego sklepu, żadnej przemocy, żadnej prowokacji. Do tego rozpoczynające manifestację słowa Krzysztofa Bosaka, mówiącego o potrzebie wspólnoty i dostrzegającego w narodzie ludzi samotnych, pozbawionych sensu życia i zanurzonych w toksycznych treściach internetowych.

Gdyby poprzestać na porównaniach z burzliwą historią marszu, moglibyśmy uznać, że sprawy w Polsce idą w dobrą stronę, nawet jeśli na Moście Poniatowskiego słychać było okrzyki antyukraińskie, ale żadnego przeciwko Rosji.

Opłatek przed burzą

Oczywiście nikt poważny nie wierzył, że tegoroczne Święto Niepodległości – mimo tragedii w Krakowie i źle układającej się dla Polski sytuacji międzynarodowej – stanie się momentem przełomu i początkiem zgody narodowej.

Spór polityczny, który osiągnął temperaturę wrzenia po budzącym poważne wątpliwości prawne, siłowym przejęciu budynku Trybunału Konstytucyjnego, nie mógł wygasnąć tylko dlatego, że Donald Tusk zaprosił Karola Nawrockiego na opłatek przed Wigilią. To była głównie zagrywka wizerunkowa, wymuszona krakowską masakrą i skierowana raczej do wyborców politycznego centrum.

Ono znowu jest w części osierocone i czeka na kolejną „trzecią drogę", w międzyczasie załamując ręce nad atmosferą ciągłej polaryzacji. Bez odzyskania zaufania dużej grupy takich wyborców, Tusk nie ma szans w wyborach za rok. A jeśli przegra, stanie się obiektem zemsty.

Co by nie myśleć o motywacjach premiera, który jedną ręką wznieca pożary, by drugą je gasić, jego słowa w Szczecinie były pojednawcze. Jednak dla Nawrockiego zaproszenie do rozmowy „jak Polak z Polakiem" (to cytat z Lecha Wałęsy ogłaszającego podpisanie porozumień sierpniowych w 1980 r.) jest wyłącznie symbolem słabości szefa rządu.

Jeśli cokolwiek zapamiętamy z przemówienia prezydenta 11 listopada, to nie jego apel o okazywanie sobie wzajemnego szacunku ani po części uzasadnione słowa o pogrzebaniu prestiżu Trybunału Konstytucyjnego (do czego Nawrocki sam się mocno przyczynił). W naszej pamięci zakotwiczy raczej cyrk z ministrem Andrzejem Domańskim, z którym ledwie kilka dni wcześniej Kancelaria Prezydenta zawierała kompromis wokół nominacji na stanowiska w NBP.

Podniosła uroczystość wręczenia generalskich nominacji zamieniła się w niepryjemny spektakl, który prezydent i jego ludzie skroili wedle scenariusza apeli szkolnych z minionych słusznie czasów, podczas których dyrektor piętnował niegrzecznych uczniów. Atak przed całą Polską na siedzącego nieopodal Domańskiego – niemogącego odpowiedzieć na zarzuty o rzekomo „niechlubne decyzje", „fatalny stan finansów publicznych" i ogólnie złą pracę – to był pokaz braku klasy. Dopełniony potem przez rzecznika prezydenta, który uznał Tuska za dyktatora. A takich wsadza się przecież za kratki.

Uroczystość przy Grobie Nieznanego Żołnierza od lat ma bardzo prawicowy klimat i obecny rząd chyba niewiele może zrobić na rzecz odklejenia pojęcia patriotyzmu od nacjonalizmu. Wie o tym Władysław Kosiniak-Kamysz, który na gwizdy i buczenie pod swym adresem zareagował spokojnie, bez gniewu, cytując Korfantego: „Polskę buduje się pracą, nie krzykiem".

Widok Nawrockiego, wyraźnie zadowolonego z „powitania" przez tłum

ministra obrony, mógł być niespodzianką w kontekście ich poprawnych wcześniej stosunków. Wygląda na to, że PSL zostało po awanturze w Trybunale już na stałe wykluczone z wewnętrznych kalkulacji prezydenta, pracującego nad wspólną listą prawicy, a zarazem grającego na osłabienie obecnej koalicji i skłócenie ludowców z Tuskiem.

Wolta Kaczyńskiego

Po 11 listopada wiemy, że główny nurt naszej prawicy nie będzie oszczędzać PSL, ani tym bardziej myśleć o przyjęciu wyciągniętej ręki premiera. Zrobi raczej odwrotnie: wyciągnie ręce do Grzegorza Brauna, po czym zbada poziom niechęci płynącej z ambasady USA. Byłoby pewnie inaczej, gdyby Rozwój Plus dalej zdobywał punkty w sondażach, ale tak nie jest.

Świetne występy Mateusza Morawieckiego w merytorycznych debatach to za mało; jego partia balansuje na granicy progu wyborczego, więc oświadczenia byłego premiera, wykluczające koalicję z Braunem, nie mają już wielkiej mocy. Notowania Rozwoju Plus mogą się oczywiście zmienić, ale trudno uzasadnić, dlaczego miałoby tak się stać.

Morawiecki jest dziś na marginesie, choć podczas protestu pod Trybunałem do towarzystwa zapraszał go osobiście Jarosław Kaczyński, do niedawna sugerujący zdradę byłego premiera na rzecz Tuska. Prezes PiS mówił wówczas o sile płynącej z jedności, ale to była raczej łaskawość wobec kogoś, kto być może i tak nie ma innego wyjścia, jak rozpłynąć się w sondażach lub wrócić na łono PiS. Cokolwiek jednak prezes Kaczyński myśli o kwestii Morawieckiego, tak naprawdę liczy się to, co sądzi o Braunie.

W trakcie marszu lider PiS powiedział reporterowi Onetu, że konieczna jest jedna lista prawicy, i to nie tylko do Senatu, ale przede wszystkim do Sejmu. Do tego zaś „trzeba przekonywać przedstawicieli trzech Konfederacji. De facto są trzy" – stwierdził człowiek, który jeszcze wiosną porównywał głosowanie na Brauna z głosowaniem na Putina, a tuż przed wakacjami nazywał lidera Korony niebezpiecznym człowiekiem i twierdził, że „jeśli bez niego nie da się rządzić, to lepiej nie rządzić wcale".

W środę w zaledwie dwóch zdaniach Kaczyński zrobił zwrot w stronę Brauna i jednocześnie spróbował wbić klin między Mentzena i Bosaka. W sytuacji, w której jego własna partia poważnie martwi się w sondażach o dwójkę z przodu, granie na rozejście się w Konfederacji skrzydła „wolnościowego" z narodowym to jedyne, co może zapewnić PiS-owi przewagę na prawicy. To jednak naiwne myślenie, wiele razy obserwowane w Konfederacji i nie raz neutralizowane, nawet w czasach, gdy PiS był potęgą i miał ponad 40-procentowe poparcie.

Kryzys „Be Like Poland"

Krajobraz Polski po Marszu Niepodległości i kolejnej eskalacji wokół Trybunału Konstytucyjnego jest przygnębiający. Cyniczna gra na polaryzację oraz stan świadomości wielu przedstawicieli naszej klasy politycznej, przekonanych, że nawet minimalne zwycięstwo wyborcze daje im prawo do zemsty na reprezentantach pokonanej „mniejszej połowy" Polski – okropnie niszczą naszą wspólnotę narodową.

Na to wszystko nakłada się kolejny bardzo ważny element: masakra 7 listopada w Krakowie, która mocno poturbowała popularne hasło „Be Like Poland", czyli nasz mit bezpiecznego kraju. Nie potrzebowaliśmy do tego żadnych imigrantów.

Strzelanina, podczas której bohaterskim policjantom udało się zabić zamachowca, a dzielnym lekarzom i zwykłym przechodniom pokazać Polaków jako naród ludzi odważnych i zawsze gotowych iść na pomoc, zaciemnia tylko prawdę o tym, w jakim miejscu znalazło się nasze państwo i jego służby.

Żenujący występ Tomasza Sakiewicza w pierwszych chwilach po zamachu nie może unieważnić pytań, co by było, gdyby Michał O. nie został w ostatniej chwili trafiony przez starszego posterunkowego Artura Morańskiego, co umożliwiło rannemu Jakubowi Kuligowi unieszkodliwienie zamachowca.

Być może błysk oka dzielił nas od tego, byśmy w Święto Niepodległości przeżywali jeszcze głębszą traumę, a Mostem Poniatowskiego szedł zamiast Marszu Niepodległości Marsz Ciszy. Udało się uniknąć większej tragedii: możmitemy czcić żywych bohaterów z policji, niesamowitych chirurgów czy odważnego mężczyznę o kulach, który ruszył z pomocą rannym jeszcze przed tak wychwalanymi strażnikami miejskimi.

Kraków pokazał bohaterstwo Polaków, ale nie był dowodem na odporność naszego państwa. Mieliśmy masę broni i jednego sprawcę, któremu nie udało się zrealizować planów. Tego szczęścia w nieszczęściu może kiedyś zabraknąć.

Słuchając naszych polityków, którzy mówią o wspólnocie, ale robią coś dokładnie przeciwnego, modlę się jedynie o to, byśmy jak najdłużej żyli w ułudzie i nie musieli podchodzić do prawdziwego egzaminu. ©℗

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

GRANICE KOLORU.
Ikaty w Muzeum Azji i Pacyfiku

Ten charakterystyczny, rozmyty wzór znamy z widzenia: **IKAT** pojawia się na ubraniach popularnych sieciówek i zdobi przedmioty użytkowe. Ale korzenie ikatowych tkanin to znacznie więcej niż prosty nadruk.

Muzeum Azji i Pacyfiku zabiera nas w podróż po świecie **IKATU**: jednej z najbardziej fascynujących technik włókienniczych świata.

WSPÓŁPRACA:
MUZEUM AZJI I PACYFIKU

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 18 LISTOPADA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Czyja jest ta krew, czyj jest ten las

ZENON KRUCZYŃSKI

NATURA | Przed pierwszym czytaniem nowelizacji prawa łowieckiego stajemy przed fundamentalnym pytaniem: czy myśliwska weekendowa pasja zabijania okaże się mocniejsza niż wola ogromnej większości społeczeństwa?



To nie jest zwykły spór o zwierzęta – to starcie dwóch cywilizacyjnych paradygmatów. Z jednej strony tradycyjna, hierarchiczna struktura oparta na prawie pochodzącym ze słusznie minionej epoki. Z drugiej – potężny ruch obywatelski, który zebrał ponad 204 tysiące fizycznych podpisów w zaledwie 90 dni, żądając nowej umowy społecznej, bezpieczeństwa spacerowiczów i traktowania lasu jako dobra wspólnego.

Nie chcemy być zakładnikami

Debata wokół projektu „Uwaga! Polowanie. Zmieńmy prawo łowieckie. Na dobre" – nie jest techniczną sprzeczką o metry czy liczbę dzików, ale tektonicznym pęknięciem w polskiej kulturze. To zderzenie nowoczesnego modelu myślenia z ustawowymi korzeniami tkwiącymi w głębokim PRL, a mentalnie – w dawnych tradycjach wielkopańskich. Myśliwy występuje tu z pozycji kogoś, kto posiada nadrzędne, niemal feudalne prawo do wkraczania w przestrzeń – również prywatną – w imię wydumanych „wyższych celów państwowych". Obywatel szukający w lesie wytchnienia, grzybiarz czy spacerowicz są w tej optyce traktowani jak „intruzi".

Naprzeciwko temu staje dziś zorganizowane społeczeństwo obywatelskie, które inaczej definiuje swoje relacje z naturą. Ogromna liczba podpisów zebranych w ekspresowym tempie to bezdyskusyjny dowód rzeczowy na narodziny nowej świadomości. Wokół tego projektu ujawnia się też potężny kryzys zaufania obywateli do państwowych instytucji, które wręcz abdykowały na rzecz myśliwych, oddając im wszechwładzę w lasach i na polach.

Nowelizacja prawa łowieckiego to w istocie żądanie nowej umowy społecznej. Obywatele mówią: „Nie chcemy być zakładnikami waszego hobby, waszych tradycji i waszych zysków – na naszej ziemi i w naszych lasach". To jest próba postawienia z głowy na nogi sfery, która przez dekady pozostawała właściwie całkowicie wyjęta spod demokratycznej kontroli. Dzieje się to w sytuacji, w której w skali świata, tak samo jak i Polski, zwierzęta dzikie stanowią zaledwie cztery procent masy wszystkich kręgowców. W świecie, gdzie dzika przyroda została zepchnięta do absolutnego narożnika. Traktowanie tych zanikających czterech procent jako darmowego surowca do hobbystycznego zabijania jest niemożliwe do obrony.

Że niby myślistwo nie jest tylko rozrywką? Myśliwi mogą mówić, co tylko chcą, lecz w żaden sposób nie są w stanie zamaskować faktu, iż jadą na polowanie ochoczo, przez nikogo nieprzymuszeni i że robią to z zastanawiającą pasją, w weekendy uciekając z miast do lasu, żeby sobie postrzelać. Choć uprawiają bardzo różne zawody, w lesie magicznie przeistaczają się w wyjątkowych specjalistów od przyrody. Proste pytanie, czy można cokolwiek zdziałać dla jej dobra, mając w ręku broń palną o dużej sile rażenia – nie pojawia się.

Dokarmić, by zabić

Lobby łowieckie zasłania się koniecznością regulacji populacji z powodu braku naturalnych drapieżników oraz ochroną rolnictwa przed szkodami. Współczesna nauka odsłania do naga tę pokrętną argumentację. Od długich dziesięcioleci myśliwi masywnie dokarmiają zwierzynę w lasach. Zamiast ograniczać jej populację, gospodarka łowiecka niebywale ją zwiększa, by zapewnić sobie wysokie limity odstrzału na kolejny sezon. Myśliwi sami stwarzają więc problem, a potem szczycą się tym, że go rozwiązują. W katastrofie krytycznego zaniku bioróżnorodności presja łowiecka jest dobitnym wyrazem tego, według jakiego algorytmu postępujemy na Ziemi.

Środowisko myśliwych nie jest też w żaden sposób uprawnione do regulowania złożonych układów ekologicznych. Nie posiada zaawansowanej wiedzy i nigdy się o nią nie starało. W Polsce występuje 618 gatunków kręgowców – myśliwych zajmuje wyłącznie 19 z nich. Akurat te, które mogą legalnie zastrzelić. Kto lub co reguluje populacje pozostałych 599 gatunków? Czy można twierdzić, że zna się całe złożone ekosystemy z tego powodu, że wie się, jak jelenia, sarnę czy dzika trafić „na komorę", czyli w serce?

Ba, żeby chociaż zastrzelić na miejscu! Myśliwi sami szacują, że około jednej czwartej tych zwierząt jest najpierw raniona. Trzeba je potem „dojść" i z najbliższej odległości dobić kulą za ucho



GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Blokada polowań przez aktywistów i ekologów. Kozłów, 11 listopada 2017 r.

lub w nasadę karku. Części tych poranionych istot udaje się umknąć pogoni – umierają gdzieś w gęstwinie długą, odroczoną w czasie śmiercią. Gdyby ktoś potraktował zwierzęta gospodarskie czy domowe w sposób, w jaki myśliwi traktują zwierzęta dzikie – z miejsca wylądowałby w więzieniu.

Również bilans ekonomiczny łowiectwa hobbystycznego dla budżetu państwa i obywateli jest znikomy. Głośno podnoszone „szkody łowieckie", poczynione w rolnictwie przez zwierzynę leśną w sezonie 2024/2025, wyniosły raptem 83 mln zł. Przy polskiej produkcji rolnej wartej w 2024 roku 73 mld zł, stanowi to zaledwie ok. 1/1000 całej produkcji. To tak, jakby z tysiąca kilogramów zebranych ziemniaków dzikie zwierzęta podjadły nam 1,5 kg.

Setki milionów zysku

Publicznie słyszymy o misji i bezpłatnym wolontariacie myśliwych na rzecz społeczeństwa, ale bardzo niechętnie wspomina się o przepływach finansowych związanych z uśmiercaniem. Przeanalizujmy fakty. Za odstrzał dzików prowadzony w związku z afrykańskim pomorem świń ASF państwo – czyli my wszyscy – wpłaciło do kieszeni myśliwych do końca 2025 r. 626 mln złotych.

Myśliwi na co dzień handlują mięsem zastrzelonych zwierząt – to jest ich główny przychód. Zależnie od wewnętrznej umowy w konkretnym kole łowieckim, do prywatnej kieszeni strzelca trafia tzw. zwrot kosztów polowania, wynoszący od 20 do 40 proc. wartości sprzedanego mięsa. W ramach umów z miastami, za zabicie jednego miejskiego dzika stawki oscylują wokół 1500 zł. Dla intensywniej polującego amatora uzbiera się rocznie pokaźna kwota. „Sprzedawanie śmierci" kwitnie też w Ośrodkach Hodowli Zwierzyny, co samo w sobie nosi znamiona kolonialnej patologii, gdzie majętni klienci płacą konkretne kwoty za możliwość rekreacyjnego postrzelania do dzikich zwierząt.

Gdy na poziomie zarządzania państwem pojawia się temat kontroli oraz transparentności finansowej, Polski Związek Łowiecki zasłania się statusem prywatnego zrzeszenia utrzymującego się ze składek. Kiedy zaś myśliwi czerpią zyski ze wspólnego majątku – Skarbu Państwa – chcą być częścią systemu publicznego.

Obecny mechanizm prawny jest genialny w swojej brutalności: dzikie zwierzę w stanie wolnym to własność Skarbu Państwa, ale chwila uderzenia pocisku natychmiast transferuje ofiarę we własność prywatną koła łowieckiego. To najszybsza prywatyzacja. Napiszmy to jeszcze raz: Rzeczpospolita Polska w sprawach łowieckich właściwie abdykowała. Minister środowiska oficjalnie nawet nie miał w ręku sprawozdania finansowego PZŁ.

Śmierć w środku lasu

Podczas gdy korzyści z myślistwa czerpie zamknięta grupa stanowiąca zaledwie ok. 3/1000 społeczeństwa – koszty ponosimy wszyscy. Obywatele są np. wyłączani z rekreacji w lasach na czas polowań zbiorowych. Co gorsza, w ciągu ostatnich dziesięciu lat w wyniku wypadków łowieckich 29 osób zostało zabitych, a 65 ciężko rannych. To jedyne hobby, które wprost szafuje życiem całkiem postronnych osób. Polowania dla „przyjemności" generują strach przed spacerem, traumatyzują przypadkowych świadków i drastycznie ograniczają konstytucyjne prawo obywateli do bezpiecznego korzystania z natury.

99,76 procent Polek i Polaków nie poluje. Las to dla nas przestrzeń oddechu psychicznego, ucieczki od smogu i stresu. Świadomość, że publiczne lasy są miejscem rozrywkowego uśmiercania, wywołuje poważny dysonans etyczny i zwyczajny ból emocjonalny. Ludzie chcą widzieć w sarnach, łaniach czy zającach współmieszkańców planety i naszych najbliższych sąsiadów – a nie ruchome cele. Wszak mamy do życia tylko jedno jedyne, wspólne podwórko.

Ludzie strzelający do zwierząt widzą środowisko naturalne z perspektywy tej grubszej strony – od drewnianej kolby broni. Z drugiej strony widać mały, czarny, okrągły wylot lufy, gotowej wypluć śmierć. Przyznajmy, że to skrajnie inne perspektywy.

Myśliwi zasłaniają się kulturowym mitem „tradycji". Jednak tradycja, która sprowadza się do rozrywkowego uśmiercania ginącego marginesu dzikiego życia, stała się okrutnym anachronizmem. Czy warto pielęgnować zwyczaj, za którym ciągną się potrzaskane kości, rzeka ciepłej krwi, wyprute jelita i serca z dziurami po kuli? Czy wolno nam zabijać więcej, ↦

↦ niż jest to absolutnie konieczne? Szafujemy śmiercią, a śmierć to nie jest zdmuchnięcie świeczki.

Polityk kocha strzelać

Jedynym powodem, dla którego ten system wciąż trwa, są zakulisowe wpływy i bezwładność polityczna. To, co z zewnątrz wygląda na proces legislacyjny, od wewnątrz okazuje się systemem naczyń połączonych, gdzie legitymacje partyjne, poselskie, sędziowskie, biznesowe czy urzędnicze – mieszają się w tych samych gabinetach i kieszeniach z legitymacjami PZŁ. Członkostwo w tej społeczności budziło ogromne kontrowersje od lat, m.in. u osoby byłego prezydenta RP Bronisława Komorowskiego.

Waldemar Żurek, Urszula Pasławska, Edward Siarka – to z kolei tylko kilka nazwisk z aktualnej sieci powiązań tego lobby. Jeszcze kilka kadencji temu było ono bardziej popularne: co szósty polski poseł i senator był myśliwym. Dziś jest ich nieco mniej i już niezbyt chętnie przyznają się do swojego skrwawionego hobby. Przy zachowaniu statystycznych proporcji, w całym parlamencie powinno zasiadać maksymalnie dwóch myśliwych.

To głęboki paradoks, że osoby prywatnie zaangażowane w łowiectwo współtworzą jednocześnie prawo łowieckie, a więc prawo dla swojej grupy interesu – system zaś nie chce zobaczyć w tym konfliktu interesów. Podczas prac nad nowelizacją ustawy w 2018 r. w siedmioosobowej podkomisji zasiadało sześciu myśliwych – jedynym nie myśliwym był poseł Paweł Suski.

Przewodniczącą sejmowej Komisji Ochrony Środowiska jest obecnie myśliwa z PSL, posłanka Urszula Pasławska. Zasłynęła ona stwierdzeniem: „Ja poluję, właśnie by odpowiedzialnie żywić moje dzieci. Jedzą zdrowe mięso, nie jakiś pseudowyrób z przemysłowej hodowli...". Osoba reprezentująca naród na eksponowanym stanowisku nie zdaje sobie sprawy ze swojego skrajnego uprzywilejowania, jakim jest dostęp do zasobów przyrody żywej. Nie ma też najmniejszego pojęcia o tym, że gdybyśmy przy obecnym spożyciu mięsa w Polsce (82 kg/rok) zaczęli jak ona „żywić się odpowiedzialnie" – zjedlibyśmy wszystkie zwierzęta dzikie w pięć dni!

Dodajmy tu jeszcze, że statystyczne spożycie dziczyzny to 70 gramów na rok.

Zamiast ograniczać populację zwierząt, **myśliwi sztucznie ją zwiększają, by zapewnić sobie wysokie limity odstrzału na kolejny sezon.** Sami stwarzają problem, a potem szczycą się tym, że go rozwiązują.

Nic dziwnego, że członkini tej samej komisji, posłanka Klaudia Jachira, wyraziła się tak: „Ostatnie posiedzenie wyglądało jak robocza odprawa Zarządu Głównego Polskiego Związku Łowieckiego".

Setki tysięcy martwych ptaków

Również w zabijaniu ptaków oraz drobiazgu leśnego i polnego nie sposób znaleźć żadnego uzasadnienia ekonomicznego, gospodarczego ani przyrodniczego. Jest to specyficzna rozrywka. W sezonie łowieckim 2025/2026 myśliwi zastrzelili 120 tys. ptaków. Według badań naukowych i szacunków empirycznych, na skutek postrzałów, odroczoną w czasie śmiercią ginie co roku dodatkowo ponad 500 tys. ptaków.

Strzał do kaczki krzyżówki, która potrafi lecieć z prędkością 110 km/h, jest technicznie ekstremalnie trudny. Tymczasem myśliwi to w rzeczywistości amatorzy strzelectwa – PZŁ nie stawia kandydatom wymagań dotyczących samokontroli, motoryki ciała, umiejętności pracy ze spustem i oddechem czy odporności na stres, które cechują profesjonalistów. Aby zdać egzamin strzelecki, myśliwemu wystarczą 4 trafienia na 10 rzutków, i to z najłatwiejszego stanowiska.

Gdy strzela się do żywego ptaka, chmura ołowianego śrutu rozrywa dziób, strzaskuje skrzydła, a pojedyncze ołowiane śruciny w rozszarpanych jelitach często skazują ptaki na długie dni agonii.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska wyjęło z listy łownej pięć gatunków ptaków – łyski, czernice, głowienki, słonki i jarząbki – ale dopiero wtedy, gdy wieloletnie analizy wykazały dramatyczne, sięgające 60-90 proc., spadki ich populacji. Mimo to myśliwi zabijali je bezwzględnie aż do 2 stycznia 2026 r.

Spadek populacji kuropatw również sięga 90 proc., a w sezonie 2023/2024 myśliwi zabili kolejne 669 ptaków. Dla porównania: w latach 70. zabijano ich 750 tysięcy.

Pospolite dawniej zające występują dziś w Polsce sporadycznie – a jednak w samym tylko sezonie 2025/2026 myśliwi dali radę zastrzelić ich jeszcze 13 202.

Obywatele nie mogą czynnie protestować przeciwko tym bezrozumnym masakrom, ponieważ grozi za to kara do roku więzienia – tak działa tzw. *lex Ardanowski*.

Czekając na moratorium

Współczesne polowania na bażanty to czysty handel. Oficjalne dane GUS pokazują, że liczba wypuszczanych z ośrodków hodowlanych bażantów jest zbliżona do liczby ptaków zastrzelonych. Bażanty hoduje się więc po to, by umożliwić komercyjną rozrywkę. A jaki los spotyka kaczki krzyżówki? Te niebywale wdzięczne ptaki przystosowały się do życia w miastach i ufnie karmione są z rąk naszych dzieci. Szacuje się, że w Warszawie jest więcej krzyżówek niż w całym parku krajobrazowym Dolina Dolnej Wisły. Jednak są to ptaki migrujące: rozwijają skrzydła i wylatują poza granice aglomeracji. Wystarczy chwila lotu, by ten sam oswojony ptak stał się celem myśliwskiego amatora. Bach, bach! – i spada „dzika kaczka", która przed chwilą cieszyła nasze oczy przy miejskim stawie.

Podczas gdy myślistwo wyniszcza przyrodę, na świecie kwitnie turystyka przyrodnicza. Choćby w Wielkiej Brytanii tylko turystyka ptasia – *birdwatching* – wygenerowała w 2024 r. obrót w wysokości 24,5 mld zł. W Polsce istnieje 88 ostoi ptasich, w których jednorazowo przebywa od kilku do stu tysięcy ptaków. Dzikie ptaki zabijane są w 86 z nich.

Uwolnienie potencjału turystyki ornitologicznej w Polsce to ekonomiczna żyła warta miliardy złotych. Bezpieczne ptaki w naszym kraju to byłby humanistyczny skok cywilizacyjny – Europa i świat uznałyby nas za niesamowity przykład. Właśnie tak buduje się rzetelną, mądrą, budzącą szacunek, opartą o wartości markę Polska.

Myśliwi podnoszą swoją rolę w zwalczaniu ASF, lecz robią to wbrew nauce, przyczyniając się do zwiększania problemu. Mówi o tym stanowisko 1200 ekspertów, które zostało opublikowane na portalu Nauka Dla Przyrody.

ASF to jedna sprawa, druga to obecna koncentracja dzików na obszarach zurbanizowanych. W lasach całego kraju myśliwi niemal doszczętnie je wytępili pod pretekstem walki z ASF. Zabijają lochy w wysokiej ciąży, także te karmiące i ich warchlaki. W tej sytuacji dziki migrują do miast, ponieważ tam znalazły bezpieczeństwo i łatwo dostępne jedzenie.

Spójrzmy na Barcelonę

Dziki są zwierzętami synantropijnymi, umiejącymi żyć w najbliższym sąsiedztwie ludzi. Mają tu serwowaną przez nas stołówkę – marnujemy przecież ponad 30 proc. jedzenia, a otwarte śmietniki, odpady gastronomiczne czy celowe dokarmianie działają na nie jak magnes.

Problem tych zwierząt dotyczy całej Europy – Barcelony, Berlina, Rzymu, Madrytu, Krakowa czy Warszawy. U nas jednak króluje ubojnia dzików, prowadzona na terenach miejskich. Zgadzamy się na to?

Innym przykładem może być Barcelona, która jakoś poradziła sobie z kryzysem i dziki przestały być tam dokuczliwym problemem społecznym. Stało się tak poprzez systemowe odcięcie ich od pożywienia. Gdy miasto stało się pustynią żywieniową dla dzików – poszły tam, gdzie mają co jeść. I tyle. Każda solidna ekspertyza doprowadza do kłopotliwego dla zarządców miast punktu: sedno sprawy tkwi w śmietnikach. Należy zmienić system przechowywania odpadów, hermetycznie zabezpieczyć zaplecza gastronomii, egzekwować zakazy dokarmiania.

Czy czasami będzie tak, że nie znajdziemy innego wyjścia i trzeba będzie zastosować metodę śmiercionośną? Tak też może się zdarzyć, choć mówię to z bólem. Nie możemy jednak zgadzać się na to, by ubój był pierwszą w kolejności i jedyną odpowiedzią. Obecny społeczny protest przeciwko masowemu odstrzałowi nie oznacza „stawiania życia każdej istoty ponad bezpieczeństwem człowieka". Sprawa jest klarowna: miasto jest miejscem do życia dla ludzi. Tu chodzi o kategoryczny sprzeciw wobec postawy: „Wystrzelamy co się da, a problem zniknie". Potrzebujemy inteligentnego, systemowego zarządzania, a nie wyłącznie następnego uboju. To nie zadziała, skrwawiamy sobie ręce i sumienia, a problem pozostanie nierozwiązany.

Kampania „Uwaga! Polowanie" żąda od ustawodawcy otwarcia się na jasne oczekiwania społeczne: „Chcemy ptaków i drobiazgu leśnego żywych, a nie positkowanych ołowianym śrutem". Chcemy także naukowego zarządzania populacjami zwierząt dzikich, wynikającego z wiarygodnych danych. Tym musi się zająć zawodowa służba, we współpracy z naukowcami przyrodnikami w ramach uporządkowanego systemu publicznego. Nie mogą tego robić amatorzy przyjeżdżający sobie do lasu postrzelać w weekendy.

Po stronie życia

Mamy prawo żądać ochrony świata zwierząt – nie mamy bliższych sąsiadów na Ziemi. Oczekujemy tego z powodów społecznych, przyrodniczych, kulturowych, estetycznych, etycznych, religijnych, duchowych i humanitarnych. Przebywanie w naturze nieskrwawionej myśliwską przemocą jest fundamentalnie ważne dla dobrostanu ludzkości.

Na dniach odbędzie się pierwsze czytanie w Sejmie, które przesądzi, czy inicjatywa obywatelska, pod którą złożyło fizyczne podpisy 204 tysiące osób, trafi do kosza, czy do dalszego procedowania. Jeśli przepadnie – myśliwi poczują się mocniejsi od większości narodu. Głosowanie za skierowaniem projektu do dalszych prac w komisji to absolutne, moralne minimum. To opowiedzenie się po stronie życia. Przeciwne głosowanie jest opowiedzeniem się po stronie ołowianej śmierci. © ZENON KRUCZYŃSKI

Autor jest publicystą i aktywistą ekologicznym zaangażowanym na rzecz zmiany stosunku do zwierząt i środowiska naturalnego. Były myśliwy, autor książki „Farba znaczy krew".

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **SŁUPSK,** środa 18 listopada godz. 17.00, Miejska Biblioteka Publiczna, (ul. Grodzka 3), spotkanie dyskusyjne z prof. Kaliną Wojciechowską, biblistą protestancką, „Biblia ekumenicznie?", prowadzenie: dr Michał Rychert, teolog katolicki.
- **KATOWICE,** środa 18 listopada godz. 18.00, sala Parnassos Biblioteki Śląskiej w Katowicach (Plac Rady Europy 1), „Ćwiczenia z wyobraźni teologicznej", spotkanie dyskusyjne wokół książki z prof. Ryszardem Koziołkiem poprowadzi Jarosław Makowski. Transmisja na YouTubie Biblioteki Śląskiej
- **WARSZAWA,** czwartek 19 listopada godz. 18.00, Międzypokoleniowa Klubokawiarnia DKŚ (ul Anielewicza 3/5), spotkanie autorskie z Patrycją Dołowy wokół książki „Pęknięte lustro. Portret Adama Czerniakowa", cykl Czytelni „Między stronami". Prowadzenie: Magdalena Macińska.
- **TRÓJMIASTO,** piątek 20 listopada godz.18.00, Oliwski Ratusz Kultury (ul. Jacka Rybińskiego 25, Gdańsk), spotkanie dyskusyjne „Popiół i wiatr. O życiu i literaturze z Aleksandrem Jurewiczem", prowadzenie: Piotr Milatti i Tomasz Tomasik. Fragmenty prozy przeczyta Mirosław Baka. Projekt współfinansowany przez Urząd Miasta Gdańska

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

OLGA

Drenda: *Gdyby*



Nigdy dotąd nie usłyszałam i nie przeczytałam tylu wiadomości o szczęśliwych zbiegach okoliczności, co w niedawne sobotnie popołudnie. Choć od dawna już nie mieszkam w Krakowie, jest to wciąż miasto drogich mi osób. Część z nich pracuje, spaceruje czy po prostu regularnie przebywa w okolicach Rynku. Co chwilę dowiadywałam się, że ktoś akurat był w Kinie Pod Baranami, że zmienił plany i poszedł inną drogą, że był na Rynku, ale godzinę wcześniej. I zawsze towarzyszyło temu poczucie zdumienia: kto wie, być może dzięki temu dzisiaj żyją.

Po tragedii z 7 listopada ktoś przypomniał wiersz Wisławy Szymborskiej, „Wszelki wypadek", nie jedyny zresztą utwór tej poetki, w którym zastanawia się nad nieprzewidywalnością biegu zdarzeń. „Bo sam. Bo ludzie. Bo w lewo. Bo w prawo. / Bo padał deszcz. Bo padał cień. / Bo panowała słoneczna pogoda (...) Wskutek, ponieważ, a jednak, pomimo".

Wspomnienia związane z głośnymi tragediami pełne są świadectw ludzi niedowierzających po latach we własne szczęście i wdzięcznych za to, że właśnie TEGO dnia spóźnili się na samolot czy zaspali do pracy. Gdy czyta się o uratowanych z zamachów 11 września, okazuje się, że ocaliły ich właśnie banalne zbiegi okoliczności, pójście wyjątkowo na inne piętro niż zazwyczaj, czy to, że właśnie zdążyli wysiąść z windy.

Kraków



OLGA DRENDA

Kto przeżył wypadek – zdarzenie zawsze dramatyczne, ale statystycznie, niestety, częste – może zapewne przypomnieć sobie, jak dziwnie banalnie wygląda wtargnięcie losu w zwyczajne zdarzenia. Wszystko dzieje się jak zazwyczaj, działamy rutynowo, aż nagle przestaje – i wszystkie te banalne sformułowania, że „w jednym momencie wszystko się zmieniło", okazują się zbyt boleśnie prawdziwe. To także konfrontuje z niepojętą przypadkowością świata. Z mnogością biegów zdarzeń, milionami mijających się czy przecinających nitek, wśród których może znaleźć się na szczęście czy nieszczęście mały punkt, czyli my.

Właściwie każdego dnia możemy czuć się szczęśliwymi uciekinierami przed najgorszym. Gdy wsiadamy w samochód, gdy idziemy gdzieś pieszo – nie możemy być pewni, że nie pojawi się na naszej drodze nietrzeźwy czy agresywny kierowca, że nie przewrócimy się na prostej drodze, że coś na nas nie spadnie – jakby odwrócić wiersz Szymborskiej: bo akurat, bo o milimetr, bo o sekundę. Wielu zdarzeniom można zapobiec, ale przecież nie wszystkiemu, nawet gdy nie wychodzi się prawie z domu. Bezradność wobec nieskończonej przypadkowości czasami każe ludziom łączyć wszystkie możliwe kropki, w poszukiwaniu spokoju ducha koniecznie dopatrywać się przyczyny i skutku, jakiejś siły prowadzącej rękę losu. Nie jest to pora, by takie postawy krytykować czy podważać; prywatnie każdy człowiek ma jakieś sposoby objaśniania sobie rzeczywistości i mają one cel pragmatyczny. Każdy radzi sobie, jak potrafi.

Trudno mi jednak zaakceptować w pełni taki obraz świata, w którym ja się uratowałam, bo coś mnie prowadziło, chroniło, podszepnęło mi przeczucie, a ktoś inny – przecież kochany i dobry – zginął. To musiałoby przecież oznaczać, że niewidzialna ochrona ma swój limit, którego temu komuś wówczas zabrakło. Wolę uznać, że jest margines tajemnicy i niewytłumaczalności, wobec którego lepiej zachować pokorę.

W nieprzewidywalności zdarzeń może przypaść nam jeszcze inne zadanie. Gdy czytamy o wydarzeniach w Krakowie, uderza współpraca i odpowiedzialność – nie tylko służb, których skuteczność i poświęcenie spotyka się teraz z tak dużym szacunkiem, ale też cywilów wyszarpniętych niespodziewanie ze zwykłego kursu swojego życia. Ktoś otworzył drzwi, ktoś złapał kogoś za rękę i pociągnął ze sobą, ktoś krzyknął „uważaj" we właściwym momencie, ktoś znalazł się o właściwym czasie we właściwym miejscu. Nigdy nie wiemy, czy to właśnie nie nasza ręka, kurtka, nasz gest, nasz odruch nie pomoże uratować także kogoś innego. Znów jak w wierszu Szymborskiej: „Na szczęście szyna, hak, belka, hamulec, / framuga, zakręt, milimetr, sekunda". ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 47/2026



BONUS LAUREACI

ORGANIZATORZY

TYGODNIK POWSZECHNY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

75 NARODOWE CENTRUM KULTURY

Projekt zrealizowano we współpracy z Narodowym Centrum Kultury. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Mazowsze. serce Polski

Kraków

GDAŃSK

ERGO HESTIA

TERLAN

Albatros travel

HERBEWO INTERNATIONAL S.A.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

WODOCIĄGI Miasta Krakowa
125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

W KRAKOWIE DOBRA WODA prosto z kranu

FINE WINE

PARTNERZY MEDIALNI GALI

65 TVP 3 KRAKÓW

TVP I info_

Trójka POLSKIE RADIO

Gdy dobro zwycięża nad złem

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Prestiżowe wyróżnienia „Tygodnika Powszechnego” trafiły do osób, dla których „dobro” i „wspólnota” to nie są puste słowa.

W sobotę 7 listopada „Tygodnik Powszechny” po raz drugi miał wręczyć nagrody wybitnym osobom, których działania budują wspólnotę i otwierają nas na siebie. Uroczystość wręczenia nagrody w Małopolskim Ogrodzie Sztuki przygotowywaliśmy od tygodni. Niestety, trzy godziny przed galą, niecały kilometr od nas, wydarzył się brutalny atak, który wstrząsnął Krakowem i Polską. W obliczu tragedii, mając na uwadze bezpieczeństwo naszych gości, zdecydowaliśmy o odwołaniu gali.

W tym tragicznym dniu dobro starło się ze złem, a my byliśmy świadkami nie tylko wielkiego okrucieństwa, ale też nieprzeciętnej odwagi, poświęcenia, wreszcie bohaterstwa. Choć gala się nie odbyła, mamy poczucie, że przesłanie naszej nagrody wybrzmiało tak mocno, jak to tylko możliwe.

W kategorii **KULTURA** wyróżniamy artystów, którzy w swojej twórczości otwierają przestrzeń dla różnorodnych perspektyw i głosów. W finałowej czwórce znaleźli się Marcel Baliński, Anja Franczak, Elwira Niewiera oraz Jurij Zawadski.

Laureatem nagrody w tej kategorii został **JURIJ ZAWADSKI** – ukraiński poeta, tłumacz, wydawca i animator kultury. Nagrodę przyznano mu za budowanie mostów między polską i ukraińską kulturą oraz za to, że wszędzie, gdzie się pojawia, kultura zaczyna żyć spotkaniami.

W kolejnej kategorii, **MEDIA**, nagradzamy twórców, którzy nie pogłębiają polaryzacji, odważnie prezentują pluralizm i dialog. W finałowej czwórce znaleźli się: Agnieszka Lichnerowicz, Zbigniew Nosowski, Dariusz Rosiak i Tomasz Terlikowski.

Laureatem nagrody został **ZBIGNIEW NOSOWSKI** – redaktor naczelny pisma „Więź”, autor wielu książek, przez szereg lat związany z Polską Radą Chrześcijan i Żydów, zaangażowany w działalność Inicjatywy „Zranieni w Kościele”. Kapituła doceniła go za kierowanie „Więzią” i za to, że jest w wielu środowiskach autorytetem, pomagającym zrozumieć złożone problemy społeczne i religijne.

W kategorii **TECHNOLOGIA** wyróżniamy twórców innowacji technologicznych, które służą włączaniu do wspólnoty, wspomagają budowanie porozumienia i umożliwiają dostęp do rzetelnych informacji. W finale znaleźli się Andrzej Byszewski, Sebastian Kondracki, Jacek Siadkowski i Jan Szuster.

Nagrodzony został **JAN SZUSTER** – inżynier elektronik, którego wynalazek – **TOTUPOINT** – ułatwia codzienne życie osobom niewidomym i słabowidzącym. Kapituła doceniła go za wynalazek, dzięki któremu budynki i przestrzeń publiczna zaczynają mówić, pomagając osobom niewidomym w całej Polsce.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA to z kolei kategoria, w której honorujemy osoby przyczyniające się do budowania wspólnoty. W finałowej czwórce znaleźli się: Magdalena Bigaj, Konrad Ciesiołkiewicz, Anja Franczak i Marina Hulia.

Laureatką została **MARINA HULIA** – pedagożka, pisarka i aktywistka społeczna, która zasłynęła stworzeniem nieformalnej szkoły demokratycznej na dworcu w Brześciu dla dzieci czeczeńskich uchodźców oraz licznymi akcjami wspierającymi osoby w kryzysie bezdomności, więźniów, seniorów i uchodźców. Kapituła przyznała jej nagrodę za „Dzieci z dworca Brześć” i wieloletnią pracę na rzecz wykluczonych.

W kategorii **MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ** honorujemy filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. W finale znaleźli się Igor Czernecki, Joanna, Paweł i Michał Gładyszowie, Wojciech Pawłowski oraz Ewa Voelkel-Krokowicz.

Laureatem został **WOJCIECH PAWŁOWSKI** – wieloletni prezes i współwłaściciel Huty Szkła „Warta” w Sierakowie, współzałożyciel Polskiej Izby Opakowań, działacz Polskiej Rady Biznesu oraz Business Centre Club. Nagrodę przyznano mu za udowadnianie, że sukces rynkowy może iść w parze z zaangażowaniem w rozwój społeczeństwa obywatelskiego oraz z wieloletnim, hojnym wspieraniem polskiej kultury.

W tym dodatku prezentujemy Państwu rozmowy z laureatami Nagrody BONUS 2026, wierząc, że dobro, porozumienie i wspólnota to słowa, których potrzebujemy dziś bardziej niż kiedykolwiek. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 47/2026

REDAKCJA: Karolina Przewrocka-Aderet | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka

PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś | ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Grażyna Makara dla „TP”

Jurij Zawadski

Laureat w kategorii KULTURA:



Gdy zadzwonił do mnie przewodniczący kapituły, powiedziałem mu, że ogromnie cieszy mnie ta nagroda, bo moja pasja przekształciła się w coś, co jest ważne dla innych.

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Jury Nagrody BONUS doceniło Pana działania na rzecz budowania mostów między polską i ukraińską kulturą. Ostatnio relacje między tymi krajami znajdują się – mówiąc eufemistycznie – w dołku. Czy jest to też odczuwalne na polu kultury?

JURIJ ZAWADSKI: To nie pierwszy raz, kiedy jesteśmy w dołku – i to nie w najgorszym. W środowisku, w którym się obracam, wcale tego nie czuję. Ludzie, którzy naprawdę zajmują się działalnością kulturalną, a zwłaszcza literaturą, zazwyczaj nie zapominają o tym, że nie ma ani „czarnego", ani „białego", nie chodzi o skrajności. Zawsze człowiek czegoś nie wie, zawsze jest gdzieś pośrodku, stoi ciągle, powiedzmy, na jakimś rozdrożu.

Dlatego ludzie kultury są ciekawi, jak odbieram obecną sytuację. Dzielimy się poglądami, opiniami i to nas wzbogaca. Oczywiście, że te opinie są różne, czasami niespodziewane, tak jak niespodziewanie różne są nasze doświadczenia historyczne, rodzinne czy kulturowe.

Regularnie jeździ Pan do Ukrainy. Z jakimi wyzwaniami mierzą się ukraińscy artyści i twórcy?

Wszyscy mierzą się z problemami codziennymi: przerwami w dostawach prądu, żywności, cenami i logistyką. Oprócz tego cierpią same instytucje kultury, czego przykładem były ostrzały największych drukarni i magazynów. Spłonęło prawie 12 mln książek, co miało wpływ na szkoły, kulturę, targi książki i finanse drukarni oraz wydawnictw. To katastrofa, której może sobie jeszcze do końca nie uświadamiamy, gdy największe wydawnictwa rezygnują z udziału w targach książki, bo po prostu fizycznie nie mają książek, które mogłyby prezentować i sprzedawać.

Inna sprawa, że dużo ludzi jest zaangażowanych w wojnę. Przez to trudno jest reprezentować kulturę, zwłaszcza za granicą. Mężczyźni nie mają możliwości, by wyjeżdżać często za granicę. Większość z nich nie posiada stopnia doktora ani nie pracują na uczelniach, co pozwoliłoby im być zwolnionymi ze służby i zajmować się kulturą.

Zresztą wielu z nich poszło jako ochotnicy do wojska na początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r. Jak na przykład mój bardzo bliski przyjaciel – tłumacz na język ukraiński m.in. Kornela Filipowicza. Służy od kwietnia 2022 r., rzadko widzi się z rodziną.

Czekam na powrót z wojny moich przyjaciół ze środowiska literackiego. Niektórzy zginęli, niektórzy zaginęli. Czasami o losach niektórych nie mam żadnych informacji. Mam nadzieję, że są wśród jeńców, ale nie wiadomo.

Mimo wszystko ukraińska kultura się rozwija.

Ciekawa jest kwestia festiwali. Wszyscy się dziwią, że one powolutku wracają. No, ale po prostu się nie da inaczej, ponieważ potrzebujemy ich jak powietrza.

W październiku 2025 r. odbyły targi książki we Lwowie. Spotkaliśmy się w klubie Malewicz przy Alei Czornowoła. Oczy łzami zachodziły, że jesteśmy tu, na festiwalu. To bardzo dziwne, że najpierw po latach covidu, a potem wojny wciąż się tu spotykamy. Może nie w tak licznym gronie, ale jednak widzimy się – ci starsi z mojego pokolenia i młodsi – żeby celebrować coś, co nazywamy literaturą. To coś w ogóle dziwnego, i to też ogromne wyzwanie, żeby przetrwać w tej sytuacji, nie porzuciwszy pisania.

Nie wydaje się to Panu przewrotne, że kilka lat temu wspominał Pan w wywiadzie, że unika kolektywnego „my" i polityki, a teraz za swego rodzaju kulturalną dyplomację jest nagradzany?

Kulturalna dyplomacja nie wyklucza „ja". Gdy zadzwonił do mnie przewodniczący kapituły, powiedziałem mu, że ogromnie cieszy mnie ta nagroda, bo moja pasja przekształciła się w coś, co jest naprawdę ważne dla innych. Uważam, że kultura to nie „my", tylko każdy człowiek z osobna. Dlatego nigdy nie instytucjonalizowałem kultury.

Nie byłoby w Tarnopolu wydawnictwa, które wydaje literaturę z Nowej Zelandii, Szwecji, Polski czy Katalonii, gdyby nie była to moja pasja. Nie ukazałaby się na początku XX w. antologia ówczesnej poezji ukraińskiej, gdyby Władysław Orkan nie zechciał tego zrobić. To akurat było w czasach, gdy relacje polsko-ukraińskie również były w strasznym dołku. Zachwycam się takimi ludźmi i właśnie dlatego mogę działać, bo mam ich za przykład. Wiem, że od ich inicjatywy dużo zależało. A ja też po prostu chcę mieć te książki, które wydaję, u siebie na półce. I wiem, że nikt oprócz mnie tego nie zrobi. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

JURIJ ZAWADSKI – ukraiński poeta, tłumacz, wydawca i animator kultury, od lat łączy polskie i ukraińskie życie literackie. Założył niezależne wydawnictwo Krok, które przybliża ukraińskim czytelnikom polską literaturę, także taką, o której często nie wiedzą polscy czytelnicy. Tłumaczy polską poezję na ukraiński i współredaguje portal Posestry. W 2026 r. jego napisany po polsku tom „Jak poczuć się samotnym w zatłoczonym pociągu" (Ha!art) znalazł się wśród 20 książek nominowanych do Nagrody Literackiej Nike.

Zbigniew Nosowski

Laureat w kategorii MEDIA:

Może się komuś wydawać, że w dziedzinie mediów duchowość jest nieistotna. Tymczasem według mnie praca w mediach z duchowością się bardzo wiąże.

ARTUR SPORNIAK: Gdy otwierasz laptopa, czego szukasz w internecie?

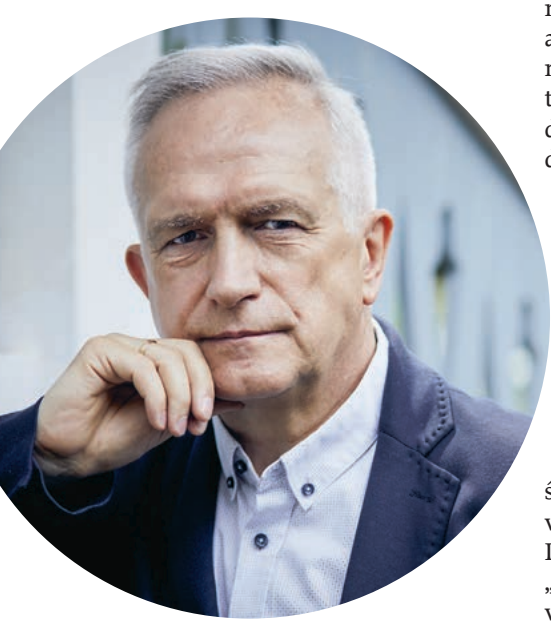
ZBIGNIEW NOSOWSKI: Niestety codziennie rano najpierw sprawdzam powiadomienia w telefonie. Muszę się przyznać, że jestem bliski uzależnienia od sprawdzania nowych informacji, by orientować się w świecie. Dość dużo korzystam też z mediów społecznościowych, ale traktuję je bardziej jako źródło informacji o tym, co ludzi porusza – co jest dla nich ważne, co ich mobilizuje, przeciwko czemu protestują.

Natomiast na pytanie, co czytam, to oczywiście powinienem powiedzieć: przede wszystkim „Tygodnik Powszechny".

Obowiązkowo! A oprócz?

Rzecz jasna, portal Więź.pl. Problem w tym, że nie sposób obecnie czytać większości tego, co by się chciało i powinno. Dlatego rośnie mi stos nieprzeczytanych ważnych książek.

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"



Których autorów cenisz? Znalazłeś się w gronie znakomitych finalistów Nagrody BONUS...

Tak, jestem z tego dumny. Mam najwyższe uznanie dla działalności medialnej w dziedzinie spraw międzynarodowych zarówno Dariusza Rosiaka, jak i Agnieszki Lichnerowicz. Tomasza Terlikowskiego podziwiam za zdolność robienia tak wielu rzeczy naraz i jeszcze przy okazji pisania książek, na co mi już zupełnie czasu nie starcza. Oczywiście z uwagą śledzę to, co on mówi, i cieszę się, że jesteśmy dziś bliżej siebie niż dawniej.

Dokończ zdanie: według Ciebie dobry artykuł powinien...

...przede wszystkim dobrze się zaczynać. Znaczna część ludzi czyta obecnie artykuły na smartfonach. A ich ekrany mają niewielką pojemność, więc początek tekstu trzeba zwięźle i ciekawie zredagować, żeby wyraźnie zapowiadał, iż dalej będzie jeszcze ciekawiej i głębiej. Nawet teksty kwartalnika „Więź" teraz tak redagujemy, choć oczywiście nie startujemy w wyścigu o większą sensację.

Za mego życia dziennikarstwo się bardzo zmieniło. Do redakcji „Więzi" dołączyłem pod koniec lat 80. Wtedy wyróżnikiem naszego pisma były bardzo długie debaty redakcyjne, będące właściwie wiernym, prawie nieredagowanym zapisem przebiegu rozmów. Długo byliśmy np. dumni z tego, że „Więź" nie stosuje leadów, czyli wprowadzeń w tekst. Uważaliśmy, że one upraszczają przesłanie. Ale szybko nauczyliśmy się, że jest to bardzo potrzebne. Bo należy wyraźnie zapowiedzieć, co jest dla nas ważne, jakie tezy stawiamy – i w ten sposób zapraszać do lektury.

Co Cię inspiruje?

Odpowiem nie wprost. Może się komuś wydawać, że przy wyróżnieniu w dziedzinie mediów duchowość jest nieistotna. Tymczasem według mnie praca w mediach z tym się bardzo wiąże. Bo duchowość wpływa na to, JAK robimy to, co mamy wykonać.

Duchowość pomaga mi też w codziennych kontaktach z ludźmi skrzywdzonymi. W ramach Inicjatywy „Zranieni w Kościele" jestem nieformalnym doradcą dla wielu osób skrzywdzonych. Natomiast wracając do pytania, co mnie najbardziej teraz interesuje – wołanie o nadzieję i o wspólnotę. Czyli próby przekraczania społecznej polaryzacji.

I to Kapituła Nagrody BONUS właśnie doceniła. W jakich momentach odczuwasz satysfakcję z pisania?

Gdy okazywało się, że moje obszerne artykuły, pełne rozlicznych szczegółów, nie spotykały się z zarzutami przekręcenia faktów. A w dziennikarstwie śledczym jeden błąd w drobnej sprawie bardzo łatwo pozwoli przeciwnikom przedstawić cały artykuł jako fałszywy. ©℗

ZBIGNIEW NOSOWSKI – redaktor naczelny kwartalnika „Więź". W latach 2001 i 2005 był świeckim audytorem synodu biskupów w Watykanie. W latach 2002-08 konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich. Współtwórca Inicjatywy „Zranieni w Kościele". Autor reportaży śledczych o ukrywaniu pedofilii w Kościele „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie". Wydał m.in. „Krytyczna wierność. Jakiego katolicyzmu Polacy potrzebują" oraz „Szare, a piękne. Rekolekcje o codzienności".

Marina Hulia

Laureatka w kategorii DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA:



FOT. JACEK TARAN

Pomaganie nie powinno dzielić ludzi na tych, którzy dają, i tych, którzy otrzymują. Każdy może coś ofiarować drugiemu.

JACEK TARAN: Łatwo dzielimy ludzi na „naszych" i „obcych". Ty szukasz tego, co może ludzi połączyć. Jak się to robi?

MARINA HULIA: Najważniejsze jest rozbudzenie ciekawości drugiego człowieka. Można to robić na różne sposoby. Jeżeli kogoś interesuje moda, pokazujemy, jak pięknie wygląda kobieta w chuście i jak wiązać hidżab. Organizowaliśmy takie spotkania w Ogrodzie Saskim. Na ławkach rozkładaliśmy kolorowe chusty, zatrzymywało się mnóstwo kobiet. Jeśli kogoś nie interesuje moda, można do niego dotrzeć przez kuchnię. Ukrainki mają swoje przepisy, Czeczenki przygotowują potrawy o dziwnie brzmiących nazwach. Chodzi o to, żeby znaleźć coś, co może być dla jednego człowieka ciekawe w drugim i to pokazać. Najlepiej przy wspólnym stole, podczas spotkania. Wtedy robi się radośnie i kolorowo.

Używasz często metafory „warkocza pomagania". Co ona oznacza?

Warkocz pomagania powstaje wtedy, kiedy drobne gesty pomocy przeplatają się ze sobą. Nie możemy dzielić ludzi na tych, którzy potrzebują pomocy, i nas – zadowolonych z tego, że pomagamy. Największą nieprawdą jest przekonanie, że ludzie, którzy sami potrzebują pomocy, nie mogą pomagać innym.

Nasze Czeczenki, które mają wiele dzieci, czasami nie mają nawet makaronu na obiad, a mimo to potrafią dzielić się z innymi. Z mąki otrzymanej podczas zbiórek robią bułeczki z nadzieniem ziemniaczanym dla osób bezdomnych albo manty [rodzaj pierogów – red.] dla babć z domu starości. Taka pomoc daje potrzebującym zapach domu. Bułeczki pachną domem, manty pachną domem. Tego nie kupisz w sklepie.

Osoby bezdomne również potrafią się dzielić. Dostają warzywa i owoce z gospodarstw, a potem przekazują je dalej. Każdy może coś dać i każdy czuje się ważny.

Po wybuchu wojny w Ukrainie pokazaliśmy ogromną solidarność. Później pojawiły się nieufność i niechęć. Dlaczego trudno utrzymać solidarność na dłużej?

Łatwiej przeprowadzić jednorazową akcję, niż rozłożyć działanie na wiele lat. Na początku wszyscy myśleliśmy, że wojna potrwa krótko. Tymczasem bardzo się przeciągnęła, a pomoc jest potrzebna cały czas, tylko przybiera inne formy.

Wyobraź sobie, co czują ludzie, którzy na początku doświadczyli pomocy, a teraz słyszą: „Wypier... stąd!". To diametralna zmiana – od miłości do nienawiści. Tak jak w „Małym księciu": jeżeli kogoś oswoimy, nie wolno nam go potem odtrącić, bo wtedy ból jest jeszcze większy.

Wszystko w życiu trzeba podtrzymywać. Nie wystarczy zrobić czegoś raz. Jednorazowość jest niebezpieczna, bo przechodzimy od jednej akcji do drugiej, zamiast konsekwentnie działać.

Zdarza Ci się odczuwać bezsilność albo tracić wiarę w sens tego, co robisz?

Tracić wiarę? Nie, nigdy! Bezsilność czasami tak. Kiedy coś się nie udaje, trzeba umieć odpuścić, odłożyć sprawę, a potem spróbować jeszcze raz, może innym sposobem. Wymyślić coś nowego i działać dalej.

Otrzymałaś nagrodę BONUS „Tygodnika Powszechnego" w kategorii Działalność społeczna. Co ta nagroda dla Ciebie znaczy?

Ja w ogóle uwielbiam nagrody! Są ważne, bo wiążą się z nimi niespodzianki i możliwość poznania ludzi. Kiedy odbierałam u Was Nagrodę Tischnera, poznałam księdza Bonieckiego. Teraz cieszyłam się, że poznam profesora de Barbaro i uściskam tego olbrzyma Bonowicza.

Niestety Kraków został postrzelony. Zabrano radość poznania ludzi, odebrania nagrody, wejścia na scenę, uśmiechu, zaśpiewania czegoś. Zabrano mi moją melodię.

Gdy ktoś chce nam zabrać radość, nie możemy się poddać. Kiedy rozmawiałyśmy przez telefon z moją stareńką mamą, gdy jeszcze była na Ukrainie, to opowiadałam jej o radosnych wydarzeniach, a ona mówiła: „Raduj się, bo wojna lubi ponuraków, a radosnych się boi". ©℗

MARINA HULIA – pedagożka, działaczka społeczna, pisarka. Urodzona w Czerkasach w Ukrainie, od 1993 r. mieszka w Polsce. W 2016 r. założyła nieformalną szkołę demokratyczną dla dzieci czeczeńskich uchodźców koczujących na dworcu w Brześciu. Od lat działa na rzecz osób wykluczonych: uchodźców, więźniów, osób w kryzysie bezdomności i samotnych seniorów. Laureatka Nagrody im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata" i Nagrody im. ks. Józefa Tischnera.

Jan Szuster, TOTUPOINT

Laureat w kategorii TECHNOLOGIA:

Kiedy niewidomi się umawiają, wybierają miejsce, do którego każdy z nich potrafi trafić, a nie to, które lubią. TOTUPOINT jest po to, by osoby niewidome mogły dotrzeć tam, dokąd naprawdę chcą.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Co jest najtrudniejsze, kiedy chce Pan dotrzeć pod nieznany adres?

JAN SZUSTER: W pewnym momencie nawigacja oznajmia: „Miejsce docelowe znajduje się po prawej stronie". Dla mnie to znaczy: dalej radź sobie sam. A ja muszę trafić w konkretne drzwi. Nawet jeśli stoję dziesięć metrów od nich, wciąż nie wiem, gdzie są.

Ten sam kłopot miałem z własnym domem. Mieszkałem wtedy w podwarszawskiej miejscowości, przy ulicy z jakimiś pięćdziesięcioma posesjami. Czułem, że to gdzieś tutaj, ale musiałem podejść i sprawdzić, czy to na pewno moja furtka. Chciałem, żeby sama mnie zawołała. Tak jakby pan w niej stał i mnie wołał.

Jak Pan sprawił, że się odezwała?

Elektroniką zajmowałem się całe życie, pierwsze pieniądze zarobiłem na urządzeniu, które sam zbudowałem. A przy tym stopniowo traciłem wzrok, aż została mi tylko resztka poczucia światła. Dziś chodzę z białą laską. Kiedy ciągle coś się projektuje, głowa sama szuka rozwiązań.

Pomysł był taki: na furtce wisi głośnik, który się odzywa, kiedy wykryje go mój telefon. Problemem była bateria. U siebie mogę ją wymienić, ale gdyby urządzenie miało działać gdzieś w świecie, ktoś musiałby tego pilnować. Bateria musiała więc wytrzymać miesiące, a najlepiej lata. Umożliwił to dopiero Bluetooth o niskim poborze energii. Pierwszy model miałem w połowie 2014 r. Działał i pomagał dokładnie tak, jak chciałem.

Ale samo znalezienie drzwi to nie wszystko. Dobrze też wiedzieć, jak do nich dojść, co jest przed nimi, a co za nimi. Nieraz dzwoniłem do instytucji, do której się wybierałem, i prosiłem, żeby ktoś opisał mi drogę. Dlatego taki opis jest częścią systemu. Mogę wcześniej ułożyć sobie trasę w głowie i iść spokojniej.

ARCHIWUM PRYWATNE



Jak reagowali właściciele lokali, którym proponował Pan montaż znaczników?

Próbowałem namówić kilka sieci małych sklepów spożywczych. W jednym przypadku usłyszałem: „Do nas takie osoby nie przychodzą". Na coś takiego naprawdę nie mam odpowiedzi. Mało kto mówi to wprost, ale proszę mi wierzyć, takie myślenie jest powszechne. A koszty są niewielkie. Brakuje chęci i wyobraźni.

Instytucje publiczne mają obowiązek zapewnić dostępność. Tylko że do urzędu chciałbym chodzić dwa razy na dziesięć lat, po paszport i dowód, a resztę załatwiać zdalnie. Do sklepu chodzę dużo częściej. I chcę móc pójść do tego, który najbardziej lubię, a nie do tego, do którego najłatwiej mi trafić.

A kiedy sama technologia staje się przeszkodą?

Choćby wtedy, gdy ktoś robi stronę albo aplikację i nie zna standardów dostępności. Wszystko ma być śliczne, migające, animowane. Najbardziej frustruje mnie, kiedy wiem, że problem da się rozwiązać, a komuś się nie chce albo zrobił coś byle jak. Gdyby wszyscy porządnie wykonywali swoją pracę, świat byłby dużo lepszy.

Sztuczna inteligencja potrafi opisać otoczenie i to może się przydać. Kiedy idę, muszę się jednak skupić na tym, co wyczuwam białą laską. Mam po drodze słupki, kosze, krawężniki. Jeśli w tym samym czasie słyszę „w lewo, w lewo, w prawo", to się rozpraszam i zdarza mi się na coś wpaść. Kiedy już wykryję przeszkodę, przydałaby mi się jedna wskazówka, z której strony mogę ją ominąć.

Co chciałby Pan zmienić na polskich ulicach?

Mam projekt połączenia sygnalizacji świetlnej z moim systemem. Dźwięk na przejściu jest potrzebny osobom niewidomym, ale przeszkadza ludziom, którzy mieszkają w pobliżu. Ten konflikt da się rozwiązać. Są już nawet pilotażowe wdrożenia, a mimo to wciąż montuje się rozwiązania, nazwijmy to, staroświeckie.

I tu dochodzimy do zmory zamówień publicznych. Z mojego doświadczenia wynika, że wymagania sprowadza się do minimum, a potem liczy się już tylko cena. W takich warunkach rozwijanie produktu się nie opłaca. Za publiczne pieniądze kupuje się urządzenie, które spełnia warunki zamówienia, choć w praktyce czasem robi za mało. Mimo to cały czas rozwijam system i przekonuję decydentów do jego wprowadzania. ©

JAN SZUSTER – inżynier elektronik, twórca systemu TOTUPOINT. Jego system pomaga osobom niewidomym i słabowidzącym samodzielnie odnajdywać wejścia i orientować się w przestrzeni publicznej. W Polsce działa ponad 6,5 tys. znaczników TOTUPOINT, m.in. w urzędach, na uczelniach, na lotniskach i w schroniskach górskich.

Wojciech Pawłowski

Laureat w kategorii MECENAT/ DOBROCZYNNOŚĆ:

W tej dziedzinie stratą nigdy nie są pieniądze, ale dobro, którego nie zdążyliśmy uczynić.



ARCHIWUM PRYWATNE

JACEK STAWISKI: W swojej działalności łączy Pan biznes ze wspieraniem kultury i inicjatyw obywatelskich. Czy to połączenie pasji z poczuciem, że biznes musi też brać odpowiedzialność za coś więcej niż własne firmy?

WOJCIECH PAWŁOWSKI: Dziękuję za to pytanie, ponieważ sięgnął pan tu do sedna. Przyznam, że w biznesie nauczyłem się tego, że pewne okazje nie wracają. Podobnie gdy mówimy o kulturze i dobroczynności. Tyle że kiedy nie zdążę kupić kolejnej firmy, to tracę jakąś szansę biznesową, natomiast kiedy nie zdążę uratować zabytku lub wesprzeć czyjegoś talentu, to tracę coś, czego być może już nigdy nie uda się odtworzyć. I to jest ta istotna różnica.

W mecenacie stratą nigdy nie są pieniądze, ale dobro, którego nie zdążyliśmy uczynić. Nie pomogliśmy pojawić się, pokazać, przedstawić. Dlatego też z moją małżonką wspieramy muzykę, kulturę, dziedzictwo, edukację i tych wszystkich ludzi, którzy potrzebują pomocy. To kwestia znalezienia tych ludzi, trafienia do nich.

Gdyby zapytał mnie pan, czy mam gotową receptę na lepszy świat, odpowiedziałbym, że niekoniecznie – jestem jednak pewien, że trzeba świat poprawiać.

Dlaczego interesuje Pana szczególnie wspieranie kultury i dziedzictwa? Jest wiele obszarów, np. służba zdrowia, bardzo skomplikowane zabiegi medyczne. Często poszukiwane są na to pieniądze. Ktoś może powiedzieć, że kultura nie jest pilna, że zabytki mogą poczekać.

Wspieramy nie tylko kulturę. Także ludzi, instytucje, które tejże pomocy potrzebują. Na przykład podczas pandemii wspieraliśmy ośrodki zdrowia, kliniki. Stale dofinansowujemy szkoły, domy pomocy społecznej. Szeroko podchodzimy do tematu i nie zawężamy się wyłącznie do kultury wysokiej. Firmy mają to do siebie, że powstają, rosną i upadają. A kultura ma to do siebie, że powinna pokazywać, przypominać to, co było przed wiekami. Po to, by pozostawić po nas jakiś trwały ślad; by zostały efekty przedsięwzięć, w które inwestujemy, a nie pamięć o nas.

Jak Pan postrzega instytucję mecenatu?

Mecenat i samych mecenasów bardzo różnie się odbiera. Trzeba tu też odróżnić mecenasa od sponsora, bo mecenas to jest pewne zobowiązanie, to jest działalność długofalowa. Natomiast sponsor dofinansowuje coś, co już zostało odkryte. Mecenas poszukuje, wyłuskuje te „rodzynki", które potem stają się przedmiotem zainteresowania inwestorów.

Jestem kolekcjonerem. Uczestnicząc w różnych aukcjach, doświadczam, że ich istotą nie jest sam fakt posiadania, ale też obowiązek. Wylicytowanym obiektem trzeba się zainteresować, zaopiekować, udokumentować, a przede wszystkim jeszcze go udostępniać. Stąd wiele obiektów, które nabyliśmy do swojej kolekcji, znajduje się w polskich muzeach. Bardzo często gdy dokonuję jakiegoś zakupu, to robię to pod kątem wcześniejszych uzgodnień: wiem, że ten obiekt pojawi się później w konkretnym muzeum, że będzie wyeksponowany.

Mecenat to nie jest konkurs popularności. To nie sposób na budowanie własnego pomnika za cudze talenty. To kwestia pomocy w odkrywaniu tych talentów i pokazywaniu ich szerszej publiczności. ©℗

WOJCIECH PAWŁOWSKI – Wielkopolanin i Poznaniak, absolwent poznańskiego Uniwersytetu Ekonomicznego, Studium Handlu Zagranicznego oraz Studium Podyplomowego z zakresu Administracji Państwowej, a także uczestnik programu British Management Practice. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa i współwłaściciela Huty Szkła „Warta" w Sierakowie, a następnie stał na czele Warta Glass Group (obecnie w strukturach międzynarodowej grupy BA Glass). Jako lider biznesu był współzałożycielem Polskiej Izby Opakowań i wieloletnim przewodniczącym jej Rady, a także od lat aktywnie uczestniczy w pracach Polskiej Rady Biznesu oraz Business Centre Club. W swojej wieloletniej działalności konsekwentnie łączy dojrzałe, etyczne przywództwo gospodarcze z mądrym mecenatem. Przeznacza prywatny kapitał oraz wiedzę menedżerską na długofalowe wsparcie inicjatyw kulturalnych, edukacyjnych i obywatelskich. Pokazuje przy tym, że wybitny sukces rynkowy zyskuje pełną wartość dopiero wtedy, gdy służy budowaniu dobra wspólnego i wzmacnianiu tkanki społecznej.



ARCH TERLAN S.A. // MATERIAŁY PRASOWE X4

Montaż rozjazdu, tzw. „pełnej gwiazdy", na poznańskich Wierzbięcicach



Renowacja kolektora przy użyciu modułów GRP

SZTUKA POŁĄCZEŃ

Remontowana ulica wciąż prowadzi do pracy, do szkoły i do domu. Poznański Terlan przebudowuje miejskie sieci wodno-kanalizacyjne, drogi, chodniki i torowiska, musi godzić rozmach inwestycji z codziennym życiem mieszkańców. Szczególnie tych, którzy mieszkają tuż obok budowy.

Remont w ścisłym śródmieściu to sztuka równoważenia: trzeba skoordynować prace przy sieciach podziemnych z przebudową jezdni, chodników i torów, zapewnić mieszkańcom dostęp do domów, utrzymać dostawy wody, a przy tym liczyć się z zabytkową zabudową i niespodziankami, jakie kryją się pod ziemią. Taka jest codzienność firm realizujących wielkie projekty infrastrukturalne. Należy do nich Terlan.

Spółka powstała w 2004 r., wywodzi się z grupy kapitałowej Aquanet i od ponad dwóch dekad działa w branży wodno-kanalizacyjnej. W 2025 r. połączyła się z firmą Tormel i odtąd zajmuje się także tym, co na powierzchni: drogami, chodnikami, placami, torowiskami. Trzecim filarem jest budownictwo kubaturowe, z obiektami infrastrukturalnymi, a także ostatnio pracami konserwatorskimi przy zabytkach. Realizacje wykraczają poza Wielkopolskę – spółka zostawiła swój ślad m.in. w Szczecinie, Krakowie, Toruniu, Bydgoszczy, Wrocławiu i w wielu innych miejscowościach.

Operacja w sercu miasta

Jednym z największych sprawdzianów zarówno dla firmy, jak i Poznania, była przebudowa Starego Rynku i miejski Projekt Centrum. Rewaloryzacją rynku zajęło się konsorcjum Tormel i WUPRINŻ, a Terlan jako podwykonawca odnawiał wodociągi i kanalizację. Wielu odwiedzających miasto pamięta, że przez długi czas Poznań był rozkopany, centrum wyglądało jak wielki plac budowy. Dzisiaj to samo centrum jest najlepszą wizytówką miasta.

Pod płytą rynku kryło się więcej historii, niż można by przypuszczać. Archeolodzy natrafili na drewniane rury wodociągowe, zrobione z wydrążonych pni, prawdopodobnie jeszcze w XVII w. W uliczce Jana Baptysty Quadro, gdzie stały średniowieczne kramy, dzisiaj pasy klinkieru wyznaczają obrys murów odsłoniętych przez archeologów.

Jak podały Poznańskie Inwestycje Miejskie, w ramach całej przebudowy ułożono ponad sześć kilometrów nowych przewodów wodociągowych i kanalizacyjnych.

Naprawa od środka

Nie wszystko trzeba rozkopywać. Magistralę wodociągową pod rynkiem odnowiono, wsuwając w stary przewód nową rurę o mniejszej średnicy – to *relining*, jedna z bezwykopowych metod renowacji sieci, w których Terlan się specjalizuje.

Inną metodą jest wykorzystanie światła UV – wówczas do oczyszczonego przewodu wprowadza się rękaw z włókna szklanego nasączony żywicą. Dociśnięty do ścianek przyjmuje kształt kanału, a przesuwane wewnątrz lampy UV utwardzają materiał, tak że w starej rurze powstaje szczelna wykładzina. Jeszcze inaczej działa Coverlan, technologia opracowana przez spółkę wspólnie z Politechniką Poznańską. W niej oczyszczone ścianki pokrywa się natryskowo szybko wiążącą żywicą z dodatkiem drobnych włókien bazaltowych. Grubość powłoki dobiera się do zadania, może ona chronić rurę przed korozją, a w razie potrzeby także wzmacniać jej konstrukcję.

Pod krakowskim Parkiem Rzecznym Ogród Płaszów biegnie stalowa magistrala z 1975 r. Przy użyciu metody Coverlan Terlan odnowił około pół kilometra przewodu. Podczas remontu park pozostawał dostępny, a ingerencję w roślinność udało się ograniczyć do minimum. Jak to możliwe? W renowacjach bezwykopowych roboty na powierzchni ograniczają się do miejsc, przez które wchodzi się do sieci. Nie trzeba kopać na całej długości remontowanego odcinka, co w przypadku takich miejsc jak park czy też ruchliwa ulica w centrum miasta jest najważniejszym atutem. O wyborze metody renowacji decydują m.in. stan rury i warunki pracy.

Od stacji uzdatniania do pałacu

Terlan buduje i regeneruje studnie, stawia i modernizuje oczyszczalnie ścieków, a także stacje uzdatniania wody. Obiekty tego typu powstawały lub powstają w Poznaniu, Wołowie, Świeciu i Wrześni. W podwrocławskich Źródłach, w gminie Miękinia, budowana jest stacja, która według założeń gminy będzie uzdatniać

MATERIAŁ PARTNERA



Oczyszczalnia ścieków w Wołowie



Coverlan w akcji

około pięciu tysięcy metrów sześciennych wody na dobę. W tym samym budynku znajdą się laboratoria mikrobiologiczne, wodno-ściekowe oraz pracownia badawczo-rozwojowa, przez co placówka zyska także rangę naukową.

W portfolio spółki są także zabytki. W neorenesansowym pałacu Mielżyńskich w Iwnie pod Poznaniem o kształcie odnawianej elewacji rozstrzygają zachowane dokumenty i odkrywki. Główny korpus rezydencji pochodzi z połowy XIX w., a część zdobień trzeba wykonać od nowa. Odtwarzano więc herb rodowy, zniekształcony podczas wcześniejszej rekonstrukcji, a także cztery głowice z motywem Meduzy. Historyczna stolarka przechodzi renowację, część okien powstanie według dawnych wzorów. Niebawem pałac odzyska utracony, ale jakże należny mu blask.

Nowe połączenia

Dziś najbardziej widoczną inwestycją miejską jest nowa trasa tramwajowa na ulicy Ratajczaka w Poznaniu. To kolejny etap rozpisanego na lata Projektu Centrum. Trasa będzie dodatkową osią komunikacyjną w relacji południe–północ, skróci dojazd z Wildy i Dębca do ścisłego centrum, połączy ulicę Święty Marcin z węzłem Wierzbięcice. Budowana jest nie tylko linia tramwajowa, ale także jezdnia, ścieżki rowerowe, chodniki, oświetlenie, nowa zieleń oraz mała architektura, a także to, co spoczywa pod ziemią. Inwestycja obejmuje blisko pięć kilometrów rur, kabli i innych połączeń ukrytych pod ulicami, a w niektórych rejonach roboty zaczęły się od kanalizacji, do której trzeba było zejść na głębokość około sześciu metrów.

Na uwagę – i to na skalę całego kraju – zasługuje węzeł Wierzbięcice. To tu powstała tzw. „pełna gwiazda", najbardziej skomplikowany, możliwy do wykonania układ torowy, w całości ułożony z prefabrykowanych płyt betonowych, wyprodukowanych na zamówienie w Polsce. Montaż tych gigantycznych puzzli odbywał się w środku nocy, aby nie zakłócać ruchu. „Pełna gwiazda" oznacza, że tramwaje będą mogły przejeżdżać przez skrzyżowanie we wszystkich kierunkach, co ułatwi organizowanie objazdów, gdy któryś odcinek sieci trzeba będzie wyłączyć z ruchu.

Zmieni się również otoczenie torów. Odcinek między Świętym Marcinem a skrzyżowaniem z Ogrodową i Powstańców Wielkopolskich ma stać się strefą z ograniczonym ruchem samochodów i większym naciskiem na komunikację zbiorową oraz pieszych. Drgania przejeżdżających tramwajów mają tłumić izolacyjna obudowa szyn i maty ułożone pod torowiskiem. Na odcinkach Matyi i Królowej Jadwigi, między szynami rośnie już rozchodnik, roślina odporna na suszę. Takie „zielone torowiska" łączą użyteczność z estetyką, poprawiają sposób funkcjonowania infrastruktury i jakość otoczenia użytkowanego każdego dnia przez mieszkańców. W przyszłym roku trzeba będzie koniecznie odwiedzić Poznań, wsiąść w tramwaj na Wildzie, przejechać przez „gwiazdę" w stronę Ratajczaka, wysiąść na nowym przystanku przy Starym Browarze albo jeszcze dalej.

Dla tych, którzy dawno nie odwiedzali tego miasta, może to być duże zaskoczenie, jak bardzo Poznań się zmienił, momentami nie do poznania.

Nowe połączenia to nie tylko tkanka miejska. Terlan buduje także drogi łączące ludzi między wsiami, miastami. I często są to wielokilometrowe trasy, które zapewniają użytkownikom nowy komfort poruszania się. Wiedzą o tym i mieszkańcy gmin, a także kierowcy poruszający się drogami wojewódzkimi na trasie Nojewo–Podpniewki, Rajkowo–Będargowo, czy Margonin–Durowo.

Lekcja przy placu budowy

Budowa to nie tylko maszyny, ale i sąsiedzi. Przy Ratajczaka pracownicy Terlanu spotkali się z ponad setką uczniów ze szkoły podstawowej, położonej tuż przy placu budowy. Dzieci podczas lekcji BHP zakładały kamizelki odblaskowe, mierzyły poziom hałasu (który same „wygenerowały") i poznawały oznakowanie tymczasowych przejść. Znaki omawiane na zajęciach mogły później zobaczyć tuż za szkolną bramą. Podobne lekcje bezpieczeństwa firma prowadziła dla przedszkolaków, których placówka jest przy budowanej drodze Margonin–Durowo. Terlan współpracuje też z uczelniami wyższymi i w praktyce przybliża studentom tajniki stosowanych technologii, zapraszając zainteresowane osoby na... plac budowy.

Lekcją życia, w której firma sama uczestniczy – jest angażowanie się w akcje charytatywne i wspieranie lokalnych instytucji pomocowych. Wśród nich jest poznańskie hospicjum, które Terlan wspiera finansowo i rzeczowo.

Być może za sto lat ktoś odczyta z dzisiejszych rur i torów historię miasta, tak jak my odczytujemy ją z drewnianych pni pod Starym Rynkiem. Przez kolejne dekady nasze inwestycje mają służyć jego mieszkańcom, także tym, którzy dopiero uczą się bezpiecznie przechodzić przez ulicę. ©

www.terlan.pl

MATERIAŁY PRASOWE R7 X2



Więcej niż przestrzeń

Nowoczesne magazyny wspierają rozwój firm i regionów. Polska firma 7R pokazuje, jak łączyć potrzeby gospodarki z odpowiedzialnością za środowisko i myśleniem o kolejnych dekadach użytkowania budynków.

Współczesna gospodarka potrzebuje nie tylko sprawnych dróg, dostępu do energii czy nowoczesnych technologii. Potrzebuje również przestrzeni, w których powstają produkty, rozwijają się przedsiębiorstwa i funkcjonują łańcuchy dostaw. Dawne wyobrażenie magazynu jako wielkiej hali ustępuje miejsca obiektom, które łączą funkcje logistyczne, produkcyjne i technologiczne. Polska firma 7R od ponad 18 lat rozwija taką infrastrukturę, pokazując, że za metrami kwadratowymi mogą stać długofalowa wartość gospodarcza, odpowiedzialność środowiskowa i nowe możliwości rozwoju regionów.

Od powstania w 2008 r. firma 7R zrealizowała ponad 2 mln m² nowoczesnych powierzchni magazynowych i przemysłowych. Działa w Polsce, Czechach i Niemczech, dostarczając obiekty dla przedsiębiorstw z różnych branż: od logistyki i handlu internetowego po produkcję i zaawansowane technologie. Jej działalność obejmuje cały proces inwestycyjny: od pozyskania gruntów i projektowania, przez realizację budynków i ich wynajem, po zarządzanie gotowymi nieruchomościami.

W czasach rosnących kosztów energii, zmian klimatycznych i przebudowy europejskich łańcuchów dostaw coraz ważniejsza staje się odpowiedź na pytanie, jak budować obiekty przystosowane do zmieniających się warunków i efektywne nie tylko dziś, lecz także za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat.

Przestrzeń dla gospodarki

Jeszcze niedawno o atrakcyjności powierzchni magazynowej decydowały przede wszystkim lokalizacja i cena wynajmu. Dziś przedsiębiorcy analizują znacznie szerszy zestaw czynników: dostępność pracowników, możliwość automatyzacji procesów, zapotrzebowanie budynku na energię, elastyczność przestrzeni oraz koszty jej wieloletniego użytkowania.

Polska pozostaje jednym z największych europejskich rynków magazynowych. W połowie 2026 r. zasoby nowoczesnych powierzchni osiągnęły około 38 mln m². Jednocześnie rozwój sektora przestaje być wyłącznie wyścigiem na wielkość realizowanych inwestycji. Coraz większą rolę odgrywa ich dopasowanie do konkretnych potrzeb gospodarki.

„Nowoczesna infrastruktura logistyczna jest jednym z fundamentów konkurencyjności przedsiębiorstw. Dziś nie wystarczy dostarczyć klientowi odpowiedniej powierzchni. Trzeba rozumieć jego procesy biznesowe, przewidywać przyszłe potrzeby i tworzyć budynki, które wspierają efektywność operacyjną, a jednocześnie ograniczają negatywny wpływ na środowisko. To właśnie oznacza dla nas Beyond Warehouse" – mówi ANDRZEJ WROŃSKI, prezes zarządu 7R.

7R realizuje duże parki logistyczne, miejskie centra dystrybucyjne i obiekty projektowane z myślą o indywidualnych potrzebach klientów. Przykładami tych ostatnich są inwestycja dla firmy Toppoint koło Sulechowa, o powierzchni niemal 35 tys. m², oraz projekt magazynowo-produkcyjny dla Profile VOX w Pobiedziskach pod Poznaniem.

Nowe życie terenów przemysłowych

Jednym z najbardziej ambitnych przedsięwzięć firmy jest 7R Hub Nowa Huta, powstający w krakowskiej Ruszczy, w ramach projektu „Kraków – Nowa Huta Przyszłości". Na terenie związanym historycznie z działalnością przemysłową rozwijany jest kompleks logistyczno-technologiczny, który docelowo obejmie cztery budynki o łącznej powierzchni około 230 tys. m². Ma się tym samym stać największym kompleksem logistyki miejskiej w Europie.

Inwestycja wpisuje się w szerszą transformację gospodarczą Krakowa. Miasto, kojarzone przede wszystkim z turystyką, kulturą i nowoczesnymi usługami, zyskuje przestrzeń dla rozwoju przemysłu, dystrybucji i technologii. Projekt pokazuje też, że przekształcanie istniejących terenów poprzemysłowych może stać się ważnym kierunkiem rozwoju infrastruktury gospodarczej.

W maju 2026 r. wmurowano kamień węgielny pod tę inwestycję. W kolejnych miesiącach 7R ogłosiła umowy z pierwszymi najemcami. Wśród nich znalazła się krakowska firma BrandBQ, właściciel marki Medicine, która wynajęła ponad 30 tys. m² powierzchni przeznaczonej do obsługi sprzedaży internetowej i dystrybucji do sklepów. Z kolei Berner Polska, dostawca produktów dla branż motoryzacyjnej, budowlanej i przemysłowej, zdecydował się na przeniesienie do kompleksu swojego centrum logistycznego, wynajmując około 6,5 tys. m².

Do grona przyszłych użytkowników kompleksu dołączą również przedsiębiorstwa reprezentujące sektor handlowy, branżę kurierską oraz rynek wyposażenia i wykończenia wnętrz, które zajmą łącznie około 63 tys. m² powierzchni. Tak zróżnicowany profil najemców pokazuje potencjał 7R Hub Nowa Huta jako wielofunkcyjnego centrum wspierającego zarówno handel, jak i nowoczesne procesy logistyczne oraz dystrybucyjne.

Inwestycja w Nowej Hucie jest również przykładem łączenia nowych funkcji gospodarczych

MATERIAŁ PARTNERA

z troską o otoczenie. W projekcie przewidziano między innymi nasadzenia ponad 2200 roślin, zalesienie około 10 hektarów, ogrody deszczowe, łąki kwietne, infrastrukturę rowerową i strefy wypoczynku. Rozwiązania te mają wspierać bioróżnorodność, retencję wody oraz jakość przestrzeni użytkowanej przez pracowników.

Inwestycja ma także potencjał tworzenia nowych miejsc pracy i wzmacniania lokalnej gospodarki. Jej znaczenie wykracza więc poza skalę pojedynczego projektu deweloperskiego.

Odpowiedzialność na lata

Budownictwo przemysłowe nie pozostaje bez wpływu na środowisko – wykorzystuje materiały, energię, wodę i tereny, a powstające obiekty funkcjonują przez wiele lat. Dlatego odpowiedzialność dewelopera nie może ograniczać się do zastosowania pojedynczych ekologicznych technologii. Musi obejmować cały cykl życia nieruchomości.

7R rozwija swoje podejście do zrównoważonego budownictwa w ramach strategii ESG obejmującej perspektywę do 2030 r. Jej cztery filary dotyczą tworzenia wartości dla klientów, transformacji niskoemisyjnej, sprzyjania rozwojowi społeczności i jednostek oraz odpowiedzialnych relacji biznesowych.

W 2026 r. firma opublikowała trzeci Raport Zrównoważonego Rozwoju, podsumowujący działalność z 2025 r. Publikacja przedstawia zarówno podejmowane działania, jak i cele, ryzyka oraz wyzwania związane z wpływem organizacji na środowisko i społeczeństwo.

Jednym z rozwiązań implementowanych przez spółkę jest autorski standard 7R Green Saver. Zakłada on projektowanie budynków, których zapotrzebowanie na energię pierwotną oraz operacyjne emisje CO_2 są co najmniej o połowę niższe niż w obiektach spełniających krajowe warunki techniczne przyjęte jako punkt odniesienia. Standard przewiduje również oszczędności operacyjne dla najemców i certyfikację BREEAM Outstanding.

Firma analizuje także ślad węglowy budynków w całym cyklu ich życia, uwzględniając wpływ materiałów i procesu budowlanego. W zarządzanych przez nią obiektach magazynowych niemal połowa energii elektrycznej zużytej w 2025 r. pochodziła ze źródeł odnawialnych, przy uwzględnieniu gwarancji pochodzenia i energii wytworzonej przez instalacje fotowoltaiczne.

Efektywność środowiskowa coraz silniej wiąże się z ekonomiką użytkowania nieruchomości. Mniejsze zużycie energii oznacza potencjalnie niższe koszty działalności, a budynki przystosowane do zmieniających się wymagań mogą dłużej zachowywać swoją użyteczność i wartość.

Długoterminowe podejście znajduje odzwierciedlenie również w strategii inwestycyjnej 7R. Firma rozwija model, w którym część realizowanych nieruchomości pozostaje w jej własnym portfelu, zamiast być przeznaczona do sprzedaży bezpośrednio po zakończeniu budowy. 7R planuje wybudować około 800 tys. m^2 powierzchni przeznaczonej do długoterminowego utrzymania.

„Odpowiedzialne inwestowanie wymaga patrzenia na nieruchomość w całym cyklu jej życia. Wartość budynku nie wynika wyłącznie z jego lokalizacji czy parametrów technicznych w momencie oddania go do użytkowania. Decydują o niej również możliwość adaptacji do zmieniających się potrzeb, efektywność energetyczna i jakość zarządzania. Dlatego nasze decyzje inwestycyjne opieramy na długoterminowej perspektywie" – podkreśla MAGDALENA ULER-KŁECZEK, członkini zarządu, CFO 7R.

Długofalowe myślenie jest szczególnie ważne przy ekspansji międzynarodowej. Po umocnieniu pozycji w Polsce 7R rozwija działalność w Czechach i Niemczech. Na rynku czeskim, między innymi we współpracy z firmami WOOD & Company i EQT Real Estate, realizuje projekty wspierające rozwój regionalnych i europejskich łańcuchów dostaw.

W Niemczech firma rozpoczęła działalność od inwestycji 7R City Park Berlin East, realizowanej we współpracy z Funduszem Ekspansji Zagranicznej 2, zarządzanym przez PFR TFI. Projekt obejmuje modernizację istniejących powierzchni i możliwość rozbudowy kompleksu do około 43 tys. m^2. To kolejny przykład wykorzystania terenów o wcześniejszych funkcjach przemysłowych.

Przejrzystość i zaufanie

Odpowiedzialność przedsiębiorstwa nie kończy się na kwestiach środowiskowych. Obejmuje także sposób finansowania działalności, relacje z partnerami, zarządzanie ryzykiem i przejrzystość podejmowanych decyzji.

7R finansuje swoje projekty z wykorzystaniem kapitału własnego, środków inwestorów instytucjonalnych, finansowania bankowego oraz obligacji. W 2025 r. firma rozpoczęła emisję zielonych obligacji, których wartość do września 2026 r. osiągnęła około 90 mln euro. Rozwój obecności na rynku kapitałowym wiąże się z rosnącą rolą sprawozdawczości, przejrzystości finansowej i odpowiedzialności wobec inwestorów.

„Wiarygodność firmy buduje się konsekwencją działań, a nie samymi deklaracjami. Inwestorzy, klienci i partnerzy oczekują dziś rzetelnej informacji, odpowiedzialnego zarządzania kapitałem oraz umiejętności łączenia celów biznesowych i środowiskowych. Transparentność jest dla nas nie tylko obowiązkiem, lecz także fundamentem długoterminowych relacji" – wskazuje KATARZYNA RÓŻYCKA, członkini zarządu, CIO 7R.

Istotnym elementem tego podejścia jest także uwzględnianie głosu interesariuszy: pracowników, najemców, partnerów biznesowych i lokalnych społeczności. W raporcie zrównoważonego rozwoju 7R wskazuje dialog z tymi grupami jako jeden z elementów podejmowania decyzji i oceny wpływu swojej działalności.

Rozwój 7R pokazuje, jak zmienia się rola sektora nieruchomości przemysłowych. Nowoczesne magazyny przestają być anonimowymi obiektami na obrzeżach miast. Stają się częścią infrastruktury, od której zależą miejsca pracy, funkcjonowanie przedsiębiorstw, dostępność produktów i konkurencyjność całych regionów.

W tej perspektywie liczy się nie tylko to, ile metrów kwadratowych powstanie, lecz także to, gdzie zostaną zbudowane, jak będą wykorzystywane i jaki wpływ będą wywierały na swoje otoczenie. Odpowiedzi na te pytania wymagają równowagi pomiędzy ambicją gospodarczą, odpowiedzialnością środowiskową i długoterminową wartością.

Przyszłość logistyki nie polega wyłącznie na budowaniu większych magazynów, lecz na tworzeniu lepszej przestrzeni dla gospodarki, ludzi i kolejnych pokoleń, dopasowanej do ich realnych potrzeb. ©



Dobroczynność jest w nas

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Coraz chętniej angażujemy się w okazjonalne zbiórki, porywa nas wolontariat. A jak jest z naszą dobroczynnością na co dzień?

Ostatnie lata dały nam sporo okazji, by sprawdzić w praktyce siłę naszej dobroci. Zdarzyło się wiele: pandemia, wojna w Ukrainie, lokalne tragedie, kryzysy humanitarne na świecie, wielkie akcje, takie jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy czy zbiórka pieniędzy Łatwoganga, a także krakowskie wydarzenia z ostatnich dni, gdzie pomoc była potrzebna natychmiast i pomimo niebezpieczeństwa.

Statystyki pokazują, że chętnie angażujemy się w pomoc, choć jej skala zmienia się w zależności od sytuacji społecznej i gospodarczej. Szczególnie wyraźnie mobilizujemy się w odpowiedzi na konkretne wydarzenia i kryzysy.

Dobroczynność to nie tylko jednorazowe przekazywanie pieniędzy potrzebującym, ale też praca na rzecz osób czy organizacji lub długofalowe wsparcie dla danych inicjatyw. Badania pokazują, że najchętniej mobilizujemy się do pomocy w wyjątkowych sytuacjach i jednorazowo, pod wpływem konkretnego impulsu.

Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Narodowy Instytut Wolności i opublikowanych w maju tego roku, przekazywanie pieniędzy na cele dobroczynne deklaruje od 59 do 73 proc. Polek i Polaków. Między 51 do 53 proc. osób podaje, że udzieliło wsparcia finansowego bezpośrednio organizacjom społecznym w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Regularne dotacje stanowią jednak niewielki odsetek: dotyczą od 4 do 10 proc. populacji. To kiepska wiadomość dla organizacji społecznych, choć autorzy badań podkreślają, że filantropia w Polsce ma potencjał do rozwoju, a liczby rosną.



CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wolontariusze podczas 32. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Szczecin, 28 stycznia 2024 r.

Okazuje się, że łatwiej nam jednorazowo sięgnąć do portfela, niż na stałe wprowadzić do kalendarza wolontariat lub inny, trwały nawyk wspierania innych. Ale to również się zmienia. Badania CBOS pokazują, że w 2023 r. 8 proc. dorosłych Polaków deklarowało pracę jako wolontariusze, a w 2024 r. – już 10 proc.

Jeśli pod uwagę wziąć szerszą definicję, „społecznicy" – czyli wolontariusze na rzecz społeczności lokalnej i organizacji obywatelskich – stanowili oni w 2023 r. 44 proc. dorosłych Polaków. Co ciekawe, już 60-64 proc. polskich organizacji pozarządowych korzysta ze wsparcia wolontariuszy. Narodowy Instytut Wolności badał stan polskiego wolontariatu w latach 2020-2024. Z pomiarów tych wynika, że w Polsce wolontariat świadczony indywidualnie – np. znajomym czy sąsiadom, poza strukturami organizacji – jest znacznie bardziej powszechny niż wolontariat organizacyjny.

Badania potwierdzają także, że dużą rolę w zaangażowaniu odgrywają wydarzenia: najwyższy wskaźnik wolontariatu, 37,1 proc., GUS odnotował między 21 lutego a 20 marca 2022 r., czyli wówczas, gdy wybuchła wojna w Ukrainie. Potrafimy też angażować się w spektakularne akcje na masową skalę. Dobrym przykładem jest Szlachetna Paczka: w 2025 r. akcja połączyła ponad 719 tys. osób, a pomoc o wartości ponad 84 mln zł trafiła do niemal 20 tys. rodzin. Swój czas poświęciło wówczas ponad 13 tys. wolontariuszy.

Czemu pomagamy? Autorzy badań dla Narodowego Instytutu Wolności wskazują, że główne motywacje to chęć niesienia pomocy innym, poczucie sensu i satysfakcji oraz potrzeba przynależności i bycia częścią wspólnoty. Co ciekawe, z wyższym zaangażowaniem w wolontariat, zwłaszcza formalny, korelują wyższe dochody. Można przypuszczać, że poczucie bezpieczeństwa finansowego ułatwia angażowanie się w działania społeczne. Nie oznacza to jednak, że dobroczynność jest przywilejem zamożnych.

Bo nasza wrażliwość i gotowość pomocy nie powinna zaczynać i kończyć się na zasobności portfela. To także siła małych gestów, czasem niepozornych: zakupy dla chorego sąsiada, wysłuchanie osoby w potrzebie, zauważenie czyjegoś cierpienia. Te małe gesty cementują wspólnotę: czasem bardziej niż symbole czy płomienne mowy. Dobroczynność zaczyna się od uważności. Braku obojętności na los kogoś, kto stoi obok. ©

Błędne koło. Niedożywienie wyniszcza całe społeczności

Kryzys niedożywienia dotyka najboleśniej najmłodsze dzieci. Jednak jest na to odpowiedź. Skuteczne leczenie musi być bardziej dostępne – apelują Lekarze bez Granic.



Zdjęcie: Mohamed Abdirahman/MSF

11-miesięczna córka Sabrin Ahmed trafiła do wspieranego przez Lekarzy bez Granic Szpitala Regionalnego w Mudug w Galkayo (Somalia). U dziewczynki zdiagnozowano ciężkie ostre niedożywienie. Podróż do szpitala trwała 12 godzin.

270 km i 50 dolarów za podróż – tyle dzieliło Sabrin Ahmed od lekarstwa dla jej 11-miesięcznego dziecka.

– Kiedy dzieci do nas docierają, są nie tylko niedożywione. Mają też zapalenie płuc, odrę albo błonicę, co znacznie utrudnia leczenie i zwiększa ryzyko śmierci – mówi Emmanuel Omale, koordynator projektu Lekarzy bez Granic w Somalii, gdzie drastycznie rośnie liczba pacjentów z niedożywieniem.

Błędne koło kryzysu

Niedożywienie stanowi szczególne zagrożenie dla dzieci do 5. roku życia. Kiedy ich układ odpornościowy słabnie, choroby łatwe do wyleczenia stają się groźne. Z kolei komplikacje medyczne pogłębiają niedożywienie. Wtedy potrzebna jest opieka szpitalna.

Zespoły Lekarzy bez Granic widzą w wielu miejscach na świecie, jak różne aspekty kryzysu humanitarnego pogłębiają kryzys niedożywienia. Do szpitali organizacji docierają dzieci w tragicznym stanie, bo nie otrzymują dostępu do adekwatnej opieki medycznej na czas. Przekonała się o tym Sabrin.

Kiedy nie masz wyboru

– Dzieci nie docierają tak późno, bo ich rodziny czekały. Dzieje się tak, bo nie było żadnej innej opcji bliżej ich domu. Oddział szpitalny to ostatni etap w tym łańcuchu. Nie może zastąpić całej reszty – tłumaczy Omale.

To właśnie przydarzyło się Sabrin, której malutkie dziecko pewnego dnia przestało jeść. W prywatnej przychodni w jej rodzinnym mieście robiono badania i podawano dziecku płyny dożylnie, ale to nie pomogło. W końcu lekarz powiedział, że potrzebują mleka terapeutycznego, ale w ich mieście go nie ma. To oznaczało podróż i wydatki. – Ludziom z Abudwuk ciężko jest zapłacić 50 dolarów – mówi Sabrin.

Jej dziecko zostało przyjęte na leczenie z diagnozą ciężkiego ostrego niedożywienia z komplikacjami w szpitalu wspieranym przez Lekarzy bez Granic, 270 km od jej domu. Cała opieka była darmowa.

Dojmujący problem, łatwe leczenie

Szacuje się, że blisko połowa zgonów dzieci do 5. roku życia na świecie jest związana z niedożywieniem.

Zespoły Lekarzy bez Granic spotykają się z tym problemem na co dzień w swojej pracy – w Somalii, w Sudanie, w Afganistanie i wielu innych miejscach. Przyczyny kryzysu niedożywienia są złożone, a jego konsekwencje – dojmujące dla całych społeczności.

Ale jest też dobra wiadomość: leczenie niedożywienia jest proste i stosunkowo tanie. Tylko wciąż zbyt mało dostępne.

Kuracja dziecka chorego z powodu ciężkiego ostrego niedożywienia kosztuje 180 złotych, a całość leczenia szpitalnego i ambulatoryjnego trwa około 2 miesiące.

Mleko w proszku, tubka pasty orzechowej

Najskuteczniejszą formą leczenia jest gotowa żywność terapeutyczna. Jest trwała i łatwa w transporcie. Może być stosowana niemal w każdych warunkach, a dzieci bez powikłań mogą być leczone w domu. Na dodatek dzieci ją lubią – to tubka wzbogaconej o składniki odżywcze pasty orzechowej.

W przypadku dzieci w ciężkim stanie, które wymagają leczenia szpitalnego, konieczne jest podawanie najpierw specjalnego mleka w proszku.

Ponad 800 000 dzieci objętych opieką

Sabrin podkreśliła pod koniec pobytu w szpitalu, że kosztowna, długa podróż byłaby zbędna, gdyby leczenie niedożywienia było łatwiej dostępne.

W 2025 roku zespoły Lekarzy bez Granic objęły opieką ponad 800 000 niedożywionych dzieci. Leczymy niedożywienie tam, gdzie trwają najtragiczniejsze kryzysy. Prowadzimy szpitale, kliniki mobilne oraz ośrodki żywienia terapeutycznego. W ten sposób zapewniamy ratującą życie opiekę medyczną najbardziej chorym małym pacjentom.

Wciąż jednak zbyt wiele dzieci nie otrzymuje wsparcia na czas, ponieważ potrzeby na miejscu są tak duże, a pomoc oddalona, jak w historii Sabrin i jej córeczki. Dzięki Twojej pomocy więcej dzieci otrzyma skuteczne leczenie.

Prosimy, wpłać darowiznę i wesprzyj działania Lekarzy bez Granic.

Nr konta 48 1030 1944 7734 0007 2400 0000

Więcej na lekarze-bez-granic.pl

MEDECINS SANS FRONTIERES
LEKARZE BEZ GRANIC

REKLAMA

Rafał Brzoska Foundation

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ
rafalbrzoskafoundation.org

Wspieramy polskie talenty, aby mogły zmieniać świat

Rafał Brzoska Foundation od 2022 roku wspiera utalentowaną polską młodzież w zdobywaniu edukacji na najwyższym poziomie – na czołowych uczelniach w Polsce i na świecie, m.in. w Oxfordzie, Cambridge, na MIT i Harvardzie. Stypendyści wybierani są w trzech kategoriach: **Nauka, Sztuka i Przedsiębiorczość**. Otrzymują stypendium dopasowane do indywidualnej sytuacji, opiekę mentora, spotkania z Fundatorem oraz wsparcie w rozwijaniu własnych projektów i współpracy z biznesem. Z czasem stają się alumnami Fundacji: wspierają kolejne pokolenia, a zdobyta wiedza i doświadczenie wracają do Polski.

73 obecnych stypendystów (2026/2027)	**21** mentorów i Rada Programowa	**~700** zgłoszeń w ostatnich edycjach	**5** edycji konkursu od 2022/2023


Spotkanie ze sztuką, czerwiec 2026

116 stypendystów od 2022 roku	**25 mln zł** przeznaczonych na stypendia	**15** krajów, w których studiują stypendyści	**55** uczelni i szkół na świecie

REKLAMA

Omenaa Foundation

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ
omenaafoundation.com

Dwa światy, jedna wizja. Od 12 lat pomagamy dzieciom w Polsce i w Afryce.

Omenaa Foundation działa od 12 lat i jest najstarszą fundacją ekosystemu stworzonego przez Omenę Mensah. Podobnie jak jej założycielka, wyrasta z dwóch światów: Ghany i Polski. W Ghanie wspiera dzieci uratowane z pracy niewolniczej, które w **Kids Haven School** w Temie zyskują bezpieczny dom i dostęp do edukacji. W Polsce pomaga dzieciom z domów dziecka i placówek opiekuńczych, a od 2022 roku także dzieciom z Ukrainy w warszawskim **RiO Centrum**. Jako **pierwsza polska fundacja prywatna podpisała z UNESCO trzyletnią umowę ramową** na wsparcie edukacji, kultury i gospodarki kreatywnej.

NOWE OTWARCIE · TEMA, GHANA · 31.10.2026

Omenaa Sport&Art Campus

Flagowy projekt Fundacji, powstały obok Kids Haven School. Tworzą go **Gym Center** z boiskami, **Community Center** z kliniką **Doctors Rooms**, **PHENOMENAA CAFE** i **TOP CHARITY Creative Lab**, a także **Art Residence**. Sport, sztuka, opieka medyczna i edukacja – dla podopiecznych Fundacji i lokalnej społeczności.


Omenaa Mensah z dziećmi, Tema


Omenaa Sport&Art Campus, 31.10.2026


Otwarcie Campusu, 31.10.2026

>300 projektów społecznych i edukacyjnych	**>2 mln** beneficjentów	**589** dzieci uratowanych z pracy niewolniczej	**144** misje ratunkowe w Ghanie w 12 lat	**68%** środków na projekty w Polsce

Więcej niż dwie fundacje

Ekosystem filantropijny stworzony przez Omenę Mensah i Rafała Brzoskę to nie tylko Omenaa Foundation i Rafał Brzoska Foundation. Tworzą go także **TOP CHARITY** – największa prywatna gala fundraisingowa w Europie, która zebrała dotąd **58 mln euro** na cele dobroczynne – oraz **Konsorcjum Filantropijne**, które redystrybuuje środki z TOP CHARITY i wsparło już **176 projektów w 21 krajach na 5 kontynentach**, a także wiele innych inicjatyw, takich jak **OmenaArt Foundation** i **Phenomenaa Gallery**.

58 mln € TOP CHARITY	**176** projektów KF	**21** krajów	**5** kontynentów

topcharity.pl
omenaartfoundation.com
phenomenaa.com

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ
o TOP CHARITY

NATALIA

de Barbaro: *Kruchość*



Głębsze zrozumienie angielskiego słowa *vulnerability* wprowadziła w moje życie Brené Brown, znakomita amerykańska naukowczyni i pisarka. Trudno o dobre tłumaczenie na polski. Wrażliwość? Kruchość? Ranliwość? Podatność na zranienie?

W jakiejś mierze *vulnerability* w ogóle nie jest wyborem. Co poradzisz, człowieku, na własną uczuciowość? Co poradzisz, że z wiekiem twoje ciało słabnie? Co poradzisz, że czasem budzisz się w środku nocy z niezrozumiałym bólem? I wreszcie – co poradzisz, że twoje życie, tak starannie budowane, gromadzone, może w jednej chwili runąć?

Czasami spędzamy lata na walce z wiatrakami: bronieniu się przed swoją kruchością. Tymczasem Brené Brown, w swoich wieloletnich badaniach prowadzonych na Uniwersytecie w Houston, odkryła ciekawą zależność: świadome otwieranie się na własną kruchość, odsłanianie się, ranliwość, którą się wybiera, prowadzi do życia pełnią życia. Bez niej nie da się zbudować głębokiej relacji – ani z innymi, ani z sobą samym. Nie da się kochać zza ochronnej szyby, nie da się odkrywać własnej ścieżki, idąc tą już wydeptaną przez innych.

Jeśli nie chcesz po nikim płakać, nikogo nie kochaj. Jeśli nie chcesz narazić się na śmieszność, nie rób niczego wbrew zastanym regułom. Będziesz wtedy „bezpieczny". Oraz nieszczęśliwy. Otwarcie się na własną kruchość może wydawać się abstrakcyjne, ale w codzienności oznacza bardzo konkretne wybory.

Decyduję się na kruchość, kiedy biorę telefon i piszę „tęsknię za tobą" do kogoś, o kim wiem, że prawdopodobnie mi nie odpisze. Albo kiedy wchodzę na scenę na drżących nogach, żeby opowiedzieć o czymś dla mnie ważnym. Albo kiedy w środku kłótni zmuszam się do wysłuchania drugiej strony, chociaż łatwiej byłoby wykrzykiwać kolejne „bo ty zawsze", „bo ty nigdy". Albo kiedy wyjmuję z głębokiej szuflady swoje wiersze i daję je do przeczytania znajomemu poecie.

Decyduję się na kruchość, kiedy zatrzymuję się w jakimś „nie wiem", chociaż „wiem na pewno" przyniosłoby pozorną ulgę. I kiedy, idąc za jakimś dziwnym wewnętrznym głosem, zapisuję się po pięćdziesiątce na studia, chociaż mam intratną i stabilną pracę.

I jeszcze – decyduję się na kruchość, kiedy po raz pierwszy po 7 listopada idę ulicą Szczepańską w stronę Rynku Głównego w Krakowie, wiedząc, że wystawiam moje zranione serce na ponowne uderzenie grozy.

Bo czasami życie stawia nas na rozdrożu, na którym absolutnie nie chcieliśmy się znaleźć. Wydarza się nieszczęście, od którego nie sposób odwrócić wzroku. W obliczu tego nieszczęścia serce się waha: czy ma pozostać otwarte, czy zamknąć się, zasklepić, zamrozić? Po co mam być tak bezbronna? Czy nie lepiej raz na zawsze utracić wszelką nadzieję, niż wystawiać się na kolejne ciosy?

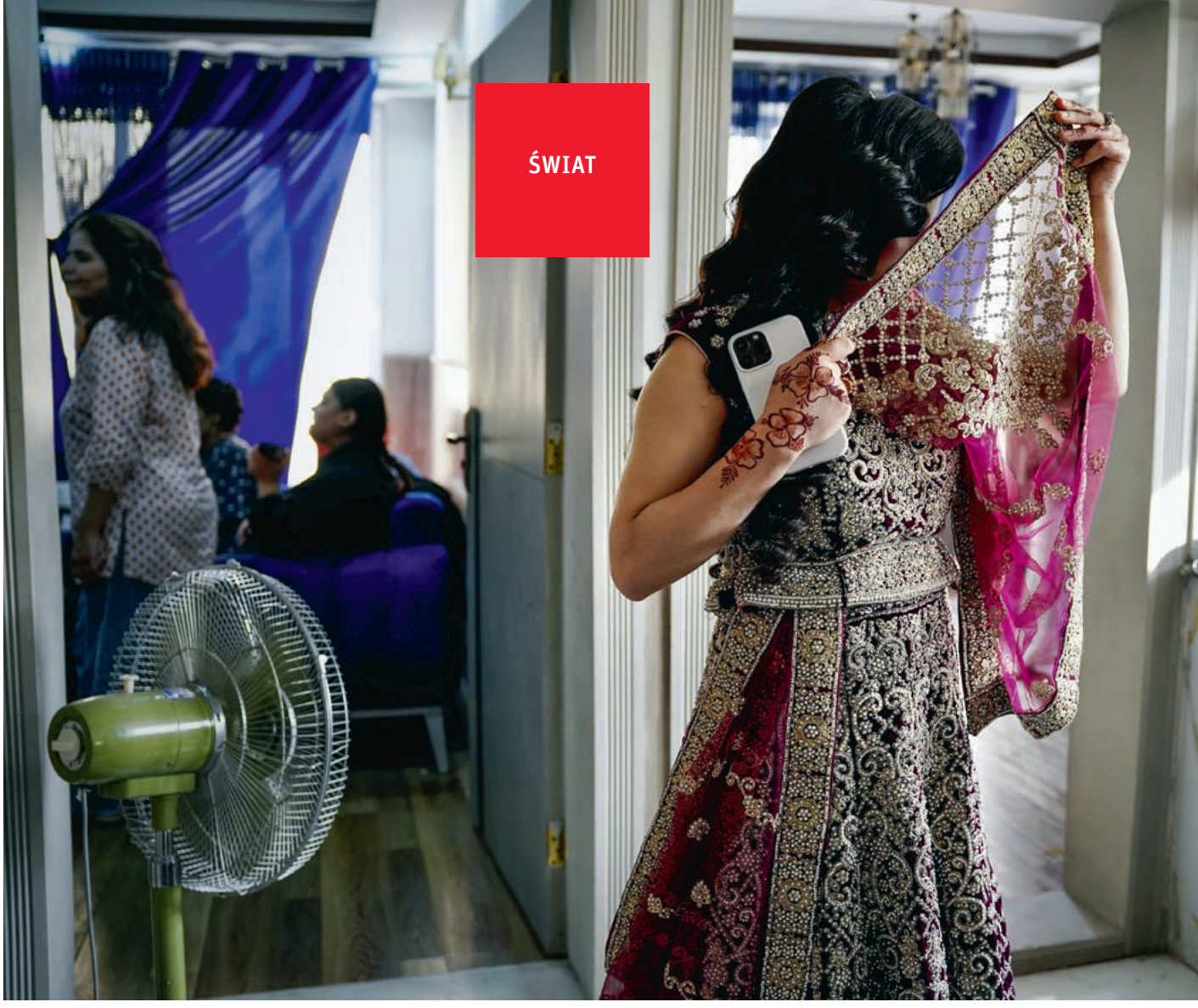
Wobec tego dylematu atrakcyjną opcją może wydawać się cynizm. Pogarda. Albo choćby, nieco mniej od niej kosztowna energetycznie, obojętność. Nic cię nie zaskoczy, nie poruszy, nie rozwali. Bunkier to miejsce bezpieczne. Nie ma w nim za dużo życia, ale przynajmniej nie narażasz się na pociski. Ten, który zamknie serce, ten, który uwierzy, że zło pokonało dobro, w jakimś sensie nie ma się czego bać.

W imię czego mielibyśmy wychodzić z bunkra? Po co komu otwarte serce, jeśli można wyjść na sobotni spacer i już z niego nie wrócić? Jeśli w obliczu tragedii zdecydujesz się pozostawić swoje serce otwarte, zdecydujesz się na kruchość, niepewność, nie znajdziesz łatwych odpowiedzi. Przeciwnie, wystawisz na niewybaczalną złożoność życia, jego wieloznaczność, niezrozumiałą gmatwaninę, będziesz próbować utrzymać w swoich śmiertelnych dłoniach to, czego nie da się utrzymać.

Będziesz na zmianę wiedzieć i nie wiedzieć, gubić tropy, wierzyć w człowieka i wątpić w człowieka, odnajdywać ulgę w zrozumieniu tylko po to, żeby za chwilę znowu zupełnie przestać rozumieć. Będziesz szedł „drogą jak nad przepaścią", jak linoskoczek z piosenki Zauchy do pięknego tekstu Leszka Aleksandra Moczulskiego. Będziesz kochać ludzi, którzy umrą przed tobą. Będziesz iść ulicą wzdłuż kamienic poranionych kulami.

Samym jej środkiem. ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".



KILKA SŁÓW O MIŁOŚCI

Odkąd pięć lat temu talibowie wrócili do władzy, życie Afganek zmieniło się radykalnie. Wiele stawia jednak cichy opór. Nasza autorka odwiedziła nielegalny salon piękności w afgańskiej stolicy.

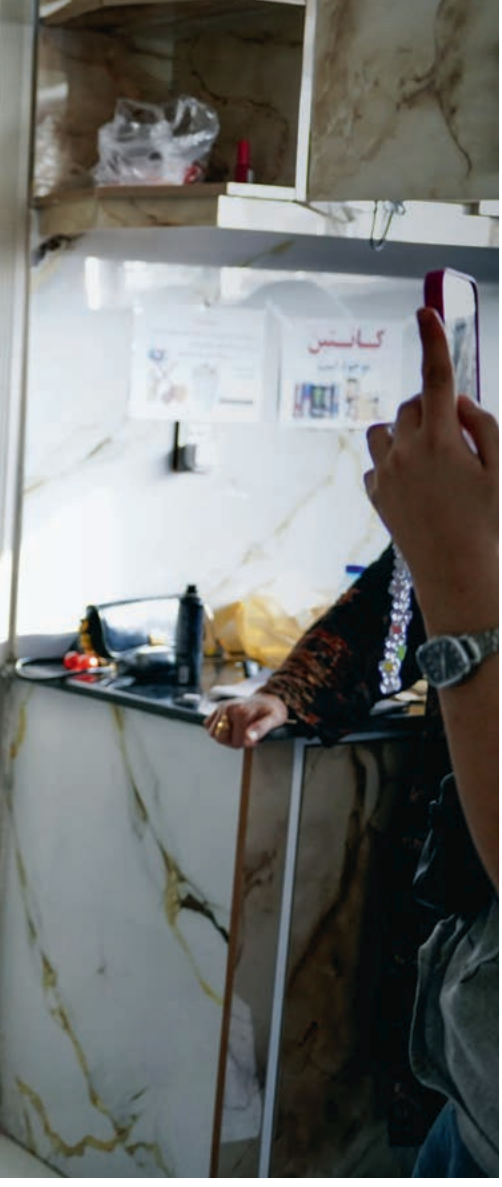
TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA PIKULICKA Z KABULU

Zainab krąży pomiędzy czterema pokojami swojego salonu piękności w stolicy Afganistanu. Salonu, powiedzmy to od razu, nielegalnego. Sprawdza, czy wszystko jest pod kontrolą. Czy makijażystki zdążą wymalować wszystkie klientki przed nadchodzącym weselem, czy fryzjerki spisały się z upięciami.

Tego dnia pięć pracownic obsługuje dwadzieścia cztery klientki z trójką dzieci. Wszystkie w wyszywanych kamieniami, ciężkich sukniach, z torbami akcesoriów. Każdą z nich trzeba uczesać, umalować, a części wyrysować na rękach misterne wzory z henny – jak to przykazuje afgańska tradycja.

Zainab ma też większe zmartwienie. Raptem parę dni przed naszym spotkaniem, w odległości zaledwie dwudziestu metrów od budynku, w którym znajduje się jej salon, talibowie postawili swój nowy posterunek. Kilka dni później wypytywali u dozorcy budynku, czy w okolicy nie ma czasem jakichś salonów piękności.

Od 2023 r. są one bowiem nielegalne. Wedle szacunków, od tamtego czasu talibskie władze zamknęły 12 tys. takich biznesów, a pracę straciło ok. 60 tys. kobiet.



„Talibowie nie będą w stanie zlikwidować salonów piękności. Jak myślisz, gdzie malują się ich żony przed imprezami rodzinnymi?" – pyta **ZAINAB**. *Na zdjęciu: przygotowania do wesela w jej salonie. Kabul, jesień 2026 r.*

Być kobietą

Gdy talibowie wrócili do władzy w Kabulu w 2021 r., było jasne, że życie afgańskich kobiet zmieni się odtąd diametralnie, szczególnie mieszkanek dużych miast.

Po tym, jak jesienią 2001 r. amerykańska inwazja na Afganistan – w odpowiedzi na zamachy 11 września – obaliła ówczesny rząd talibski i zaprowadziła republikę, w Kabulu, Heracie czy Mazar-e-Szarif kobiety otrzymały liczne prawa. Mogły studiować na uniwersytetach, pracować, rozwijać się. Chociaż społeczeństwo Afganistanu nadal pozostawało głęboko konserwatywne, szczególnie na prowincji i w tradycyjnych przyczółkach talibów, miejskie kobiety cieszyły się sporą swobodą.

Jednak w ostatnich pięciu latach, po upadku wspieranej przez Amerykanów republiki, despotyczna władza talibów powróciła, a wraz z nią nowe ograniczenia dla kobiet. Z uczelni szybko zniknęły wykładowczynie i studentki, zabroniono nauki dziewczynkom powyżej szóstej klasy.

Kobietom zakazano też podróżować bez towarzystwa mahrema, czyli męskiego opiekuna: męża, brata lub ojca. Po ślubie zaś kobieta, która jest ofiarą przemocy domowej, nie może tak po prostu uciec od męża ani nawet wrócić do domu rodzinnego. Staje się uciekinierką, a za ucieczkę może grozić nawet kara więzienia.

Te są dziś pełne niepokornych kobiet.

Salony oporu

Lecz pomimo zakazów, wiele mieszkanek miast nie chce żyć w warunkach, jakie przygotowało dla nich talibskie prawo. One, tak jak Zainab, łapią się jakiejkolwiek możliwości zarobku.

Wiele otwiera salony piękności, bo to właśnie tam może spotykać inne kobiety, rozmawiać i prowadzić życie towarzyskie, z którego talibowie próbowali je wykluczyć. Popyt na takie usługi jest, wesel w Afganistanie organizuje się wiele. W końcu większość kobiet nie ma innych perspektyw niż wyjście za mąż.

Nie wiadomo, ile salonów piękności otworzono nieoficjalnie – w oficynach, w prywatnych mieszkaniach afgańskiej stolicy. Na ich popularność wskazuje ogromna liczba kont na Instagramie, prezentujących wyniki prac fryzjerek i makijażystek.

Każda kobieta potrzebująca makijażu – a na afgańskich zaręczynach i weselach wszystkie kobiety mają profesjonalne makijaże – może skontaktować się z administratorką salonu przez media społecznościowe i umówić na wizytę. Wszystko pod nieświadomym okiem talibskiej władzy.

W lipcu tego roku prawo zaostrzono jeszcze bardziej: talibowie zdelegalizowali noszenie makijażu, używanie perfum i przedłużanie włosów. Nielegalne jest też noszenie pierścionków i malowanie rąk henną.

Codzienne ryzyko

Restrykcyjne prawo nie jest jednak w stanie wygrać z potrzebą bycia piękną.

Salon Zainab na Instagramie obserwuje czternaście i pół tysiąca kobiet, choć nie jest to bardzo popularne miejsce. Zainab marzy o otworzeniu dużego, luksusowego salonu dla bogatszej klienteli. Na to jednak wciąż nie może sobie pozwolić.

Na profilu salonu na Instagramie Zainab prezentuje mocne weselne makijaże, wymyślne upięcia i metamorfozy. Tak, żeby pokazać umiejętności swoich pracownic, ale żeby przypadkiem nie zdradzić tożsamości klientek.

Codziennie jednak ryzykuje. Szczególnie teraz, gdy talibowie obserwują jej budynek dzień i noc. Widzą, kto z niego wychodzi, i że często są to grupki kobiet. Nie wszystkie klientki dbają o bezpieczeństwo.

– Ostatnio po grupę kobiet jadących na wesele podjechał biały elegancki samochód. Ewidentnie weselny. Pomyślałam, że klientki zachowały się bardzo nieodpowiedzialnie, w ten sposób zwracając uwagę – mówi mi Zainab. – Ale nawet jak zamkną mi salon, to i tak otworzę nowy. Nie są w stanie mnie zniechęcić.

Gdzie malują się ich żony

Wie, o czym mówi. Talibowie zamykali salon Zainab już trzykrotnie. Za każdym razem otwierała nowy. To już jej czwarta lokalizacja w centrum Kabulu. Wynajęła już jednak kolejny lokal. Na razie stoi pusty. Na wszelki wypadek, gdyby talibowie wtargnęli do salonu i zabrali wszystkie kosmetyki i meble. Jak ostatnim razem.

– Przyszli, gdy akurat nie miałam klientek, ale wiedzieli, że to salon. Pytali, dlaczego nie wyjdę za mąż albo nie otworzę szkoły koranicznej dla dziewcząt. Powiedziałam im, że na tym nie da się zarobić. Raz, gdy zamykali mój salon, moja mama zaczęła się im odgrażać – wspomina Zainab.

– Talibowie nie będą w stanie zlikwidować salonów. Jak myślisz, gdzie malują się ich żony przed imprezami rodzinnymi? – dodaje z uśmiechem.

Mama to ważna osoba w życiu Zainab, podobnie jak jej starsza siostra. Obie zawsze ją wspierały.

Mężna dwudziestoletnia

Gdy w 2021 r. talibowie wrócili do władzy, Zainab miała 15 lat i była w dziesiątej klasie. Wtedy jej edukacja się zakończyła. Jako młoda dziewczyna nie miała wiele do roboty. Mogła siedzieć w domu lub wyjść za mąż. Najpierw zaczęła uczyć się angielskiego z pomocą ↦

↦ mieszkającej w Europie siostry, dzięki czemu swobodnie porozumiewa się w tym języku. Potem postanowiła pomóc innej siostrze, która miała własny salon piękności.

– Przypatrywałam się pracy kosmetyczek, przyjmowałam klientów, prowadziłam księgowość. Nauczyłam się prowadzić ten biznes. Potem, przy wsparciu mamy, otworzyłam swój – mówi Zainab, która ma dziś 20 lat. Pierwszy salon otworzyła trzy lata temu, gdy miała zaledwie siedemnaście. W ten sposób zawalczyła o swoją przyszłość. Nigdy nie nauczyła się dobrze malować czy czesać, ale umie prowadzić biznes.

Podczas gdy ona zatrudnia dziesięć kobiet, głównie samotnych matek, większość jej koleżanek ze szkoły dawno wyszła za mąż. Jedna zdążyła już się rozwieść. Większość nie pracuje i nie ma swoich pieniędzy.

Zainab zarabia na tyle dobrze, że utrzymuje nie tylko siebie, ale wspiera też rodziców i resztę rodziny. Jej matka, skromna kobieta o ciepłym uśmiechu, popija wodę w kącie salonu. Patrzy na córkę, na jej zadowolone klientki, pozujące w pełnej krasie przed lampą do selfie i wrzucające zdjęcia na media społecznościowe – i jest dumna.

Mariam na przesłuchaniu

Wychodzę na chwilę na papierosa na tyły domu z Mariam, siostrą Zainab. Piękna 29-latka, ubrana w dość opiętą koszulę niezakrywającą pośladków, szerokie spodnie i luźny hidżab, z pewnością zwraca uwagę talibów. Tym razem nie bierze ode mnie papierosa, bo nie chce palić przy mamie. Nie chce jej martwić. Tak jak w zeszłym miesiącu, gdy nie powiedziała jej, że talibowie „zaprosili" ją na przesłuchanie.

Parę dni wcześniej zorganizowała przyjęcie dla kilkunastu koleżanek w jednej z restauracji w stolicy. W sekcji kobiecej (w restauracjach są kobiece sekcje), od trzynastej do osiemnastej. Niewinne spotkanie, ale ktoś musiał donieść na nią władzom.

– Nie wiem, skąd mieli mój numer. Zaprosili mnie na posterunek i kazali się tłumaczyć, skąd miałam pieniądze na opłacenie restauracji i jaki był cel spotkania. Kazali oddać im mój telefon i przez parę godzin przeglądali wszystkie moje prywatne zdjęcia i filmy. Z sypialni, z basenu, z siłowni. W końcu zaczęli wypytywać, dlaczego jeszcze nie mam męża – mówi Mariam.

Małżeństwo to ryzyko – mówi Aisza. – Co, jeśli mąż nie pozwoli mi wychodzić z domu albo zabroni prowadzić biznes? **Tu mężczyzna ma nad tobą pełną kontrolę.**

– Potem usunęłam wszystkie zdjęcia i filmy – wspomina. – Ale najgorsze było to, że nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. Gdyby moi bracia i ojciec się o tym dowiedzieli, zabroniliby mi wychodzić z domu. Nie dlatego, że nie pochwalają mojego stylu życia, a dla mojego bezpieczeństwa.

Fasada i kulisy

Mariam pracuje w kobiecej organizacji pozarządowej pomagającej Afgankom. Choć w zasadzie nie jest to organizacja i nie jest kobieca.

Organizacje pozarządowe zostały bowiem dawno zdelegalizowane, a firma konsultingowa, którą prowadzi razem z szefową, w swoim zarządzie ma mężczyzn, bo inaczej nie mogłaby istnieć. Nazwa też jest podwójna. Ta właściwa, nieoficjalna, powstała na cześć jednej z żon proroka Mohameta, ale w Afganistanie firmy nie mogą mieć w nazwie żeńskich imion. Oficjalnie zatem nazywa się inaczej.

W praktyce jednak Mariam i jej szefowa Roja, trzydziestolatka, prowadzą organizację we dwie. Współpracują z darczyńcami zza granicy, opłacają schronisko i jedzenie dla kobiet, które uciekły od przemocowych mężów, organizują kursy zawodowe dla kobiet i nieformalne spotkania, by wspierać się nawzajem.

Pracują też z jednym z kabulskich więzień, gdzie kobiety zostały pozostawione same sobie. Większość ich pracy nie jest oficjalna i nie chcą za dużo zdradzać.

Życie online

Przed powrotem talibów do władzy w 2021 r. Roja, z wykształcenia finansistka, była wyższą urzędniczką w afgańskim odpowiedniku Najwyższej Izby Kontroli. Była dobra w swojej pracy i nieźle zarabiała. Gdy zmieniła się władza, odeszła z pracy. Wkrótce jednak przedstawiciele nowego rządu zaczęli do niej wydzwaniać z propozycją powrotu do urzędu. Nie zgodziła się.

Nie zdecydowała się jednak również na wyjazd z kraju, choć miała taką możliwość. – Urodziłam się w Afganistanie, zdobyłam tu edukację i moim obowiązkiem jest pomagać dziś Afgankom, które nie miały tyle szczęścia co ja – odpowiada krótko.

W dzisiejszym Afganistanie prowadzenie biznesu to ostatnie, co dzieli tysiące kobiet od kompletnej izolacji. Co prawda w restauracjach i sklepach stolicy można spotkać pracownice, ale ich udział w rynku pracy jest minimalny.

Większość kobiet w miastach żyje online, o ile ma dostęp do internetu. To tam poznają siebie nawzajem przez Instagrama i TikToka, to tam sprzedają wykonane przez siebie akcesoria czy uszyte ubrania. To tam uczą się języków i rozwijają swoje zainteresowania.

Kawiarnia jak azyl

Aisza miała kiedyś swoją własną markę odzieżową. Miejscowe influencerki pozowały w jej inspirowanych kulturą Afganistanu projektach w parkach i restauracjach, a ona zarabiała dobre pieniądze.

Gdy wrócili talibowie, przyszła depresja. Światełko w tunelu pojawiło się, gdy jej podanie o azyl w Stanach Zjednoczonych zostało rozpatrzone pozytywnie. Krótko się jednak cieszyła. W styczniu 2025 r. prezydent Donald Trump zablokował uchodźcom – także tym afgańskim – możliwość przyjazdu do Ameryki.

Aisha mogła się poddać albo zacząć działać. Otworzyła w Kabulu kawiarnię tylko dla kobiet. Jej przyjaciółka, dekoratorka wnętrz, zajęła się wystrojem.

Miejsce jest schowane tak, że nie zwraca uwagi. A wewnątrz jest naprawdę bajecznie. Stonowane beże i brązy, ściany przypominające piaskowe skały z wydrążonymi półkami, na których stoją kamienne wazony i kwiaty. Jest też dużo



Trzy lata temu talibskie władze zdelegalizowały salony piękności w Afganistanie. Wedle szacunków zamknięto odtąd 12 tysięcy takich miejsc. Na zdjęciu: w nielegalnym salonie piękności w Kabulu, jesień 2026 r.



W lipcu tego roku prawo zaostrzono: talibowie zakazali noszenia makijażu, używania perfum, przedłużania włosów i malowania rąk henną. Na zdjęciu: klientka w salonie Zainab.



Po tym, jak w 2021 r. talibowie wrócili do władzy, wprowadzili liczne ograniczenia dla kobiet, dotyczące także życia prywatnego. Na zdjęciu: przygotowania przed weselem w nielegalnym salonie piękności w Kabulu.

kobiet. Swoją kawiarnię Aisza nazwała: „Azyl".

– Chciałabym kiedyś powiększyć „Azyl" i zatrudniać więcej kobiet. Myślę nie tylko o sobie, ale o tych wszystkich dziewczynach, które tu przychodzą i tu pracują – mówi.

Oczywiście jeśli wcześniej talibowie nie postanowią zamknąć „Azylu". Jak na razie udaje jej się funkcjonować, choć w ciągu ostatnich paru miesięcy przedstawiciele władz odwiedzali kawiarnię pięć razy. Profilaktycznie.

O miłości i małżeństwie

Podczas wszystkich moich rozmów z Afgankami z Kabulu ani razu nie padł temat małżeństwa. Żadna z moich rozmówczyń nie jest mężatką. Moje pytanie o to, czy chciałyby wyjść za mąż, każda kwitowała pobłażliwym spojrzeniem, jakbym nic nie wiedziała o życiu.

Pytam, czy nadal wierzą w miłość. Odpowiadają twierdząco i mam wrażenie, że trochę miękną.

– Nie mamy gdzie poznawać dobrych mężczyzn. Nie chodzimy do pracy, na uczelnię. Nie możemy iść do restauracji z mężczyzną, który nie jest naszym najbliższym krewnym – mówi Mariam. – Pozostaje internet, ale to może być ryzykowne. Poznałam kiedyś jednego mężczyznę, ale on nie miał w planach się żenić – Mariam nie rozwija tego wątku.

– Wyjście za mąż to ryzyko – mówi Aisza. – Co, jeśli nie będzie pozwalał mi wychodzić z domu? Mężczyzna ma nad tobą pełną kontrolę. Czasem wracam z kawiarni o dziewiątej wieczór. Co, jeśli zabroni mi prowadzić biznes?

Jeśli nie znajdzie dobrego męża przez kolejne dwa lata, Aisza chce zaadoptować dzieci. Dziewczynki, sieroty, które nie dostały w życiu szansy.

– Jedna z moich klientek się zakochała i wyszła za mąż. Wykształcona, piękna, kobieta. Coś nie wyszło i oboje postanowili się rozstać – mówi Zainab, która również nie myśli o małżeństwie. – W dniu rozprawy rozwodowej mąż zastrzelił ją przed wejściem do sądu.

Dodaje: – W Afganistanie my, kobiety, mamy tylko jedną szansę. Drugiej nie dostaniemy. © AGNIESZKA PIKULICKA

Imiona wszystkich kobiet występujących w tekście zostały zmienione.



AMR NABIL / AP / EAST NEWS

„Ślubujemy Ci posłuszeństwo i lojalność" – baner z wizerunkiem saudyjskiego króla Salmana przy centrum handlowym w Rijadzie.

Królestwo na nowo

IGOR KUŚMIERSKI

ARABIA SAUDYJSKA | Przez 300 lat rządziła nią dynastia Saudów w sojuszu z wahabickimi duchownymi. Dziś, gdy nad Rijadem krążą jemeńskie drony, władca po cichu rozwiązuje tę „spółkę". To krok ryzykowny.

Tegoroczne święto narodowe Arabia Saudyjska obchodziła bez fajerwerków. 23 września w Rijadzie defilowało wojsko i tańczono ardę, taniec z szablami. Ale pokazy ogni sztucznych odwołano. Władze tłumaczyły to sytuacją w regionie. Odkąd rozpadł się rozejm z jemeńskimi rebeliantami Huti, sojusznikami Iranu, ich pociski i drony spadają na saudyjskie miasta.

Tego samego dnia minął rok od śmierci wielkiego muftiego Abd al-Aziza Al asz-Szajcha. Wielki mufti to najwyższy autorytet religijny w kraju: wydaje fatwy, czyli orzeczenia, co w imię wiary wolno, a czego nie.

Zmarły pochodził z rodu Al asz-Szajch, tj. „rodziny szejka". To potomkowie Muhammada ibn Abd al-Wahhaba, XVIII-wiecznego kaznodziei, od którego wzięło się pojęcie „wahabizm". Przez większość dziejów królestwa Arabii Saudyjskiej to oni obsadzali główne urzędy religijne.

Na następcę zmarłego król Salman wybrał 90-letniego Saliha al-Fauzana. To uczony równie surowy jak poprzednik, ale nie należy do rodu Al asz-Szajch. Wiadomość ta w Europie przeszła bez echa. Tymczasem dla Arabii jest sensacyjna.

Syna króla, faktycznego władcę kraju, Muhammada ibn Salmana, znamy u nas jako reformatora, który pozwolił kobietom prowadzić auta, względnie jako dyktatora, który ucisza krytyków. Rzadziej zauważa się, co robi z religią. O ile bowiem przez 300 lat dynastia dzieliła się z duchownymi prawem do władzy i do opowiadania o początkach państwa, o tyle teraz książę przejmuje obie te prerogatywy.

„SPÓŁKA" Z AD-DIRIJJI | Cofnijmy się o kilkaset lat. W połowie XVIII stulecia Nadżd, pustynne wnętrze Półwyspu Arabskiego, było krainą drobnych emirów walczących o studnie. Ludzie modlili się tam przy grobach świętych i czcili stare drzewa.

Ibn Abd al-Wahhab, syn sędziego z oazy Al-Ujajna, widział w tym bałwochwalstwo. Uczył, że kto prosi o pomoc świętego, stawia go obok Boga, a to grzech. Muzułmanów, którzy trwali przy dawnych zwyczajach, jego uczniowie uznawali za odstępców.

W 1744 r. Wahhab, wygnany z rodzinnej oazy, schronił się w pobliskiej Ad-Dirijji (dziś to przedmieście stołecznego Rijadu). Oazą rządził emir Muhammad ibn Su'ud, przodek obecnej rodziny królewskiej. Dał Wahhabowi ochronę, a ten dał emirowi religijne uzasadnienie podbojów, dzięki któremu spory o wodę zamieniły się w świętą wojnę. Kilkadziesiąt lat później wojownicy z Ad-Dirijji panowali nad większością Półwyspu.

Państwo dwa razy upadało i dwa razy się odradzało, aż w 1932 r. stało się Królestwem Arabii Saudyjskiej. Rządzili Saudowie, a duchowni ze szkoły Wahhaba pilnowali wiary i przekonywali poddanych, że posłuszeństwo dynastii to obowiązek wobec Boga. W drugiej połowie XX w., za pieniądze z ropy, ta odmiana islamu trafiła do meczetów na całym świecie. Jej zwolennicy nazywają ją salafizmem, tj. naśladowaniem pierwszych pokoleń muzułmanów (nazwy „wahabizm" nie lubią, bo sugeruje, że idą za jednym człowiekiem).

BUNT DUCHOWNYCH | Pod koniec ubiegłego wieku okazało się, że religijne uzasadnienie władzy można obrócić przeciw niej. Oto bowiem w latach 70. XX w. na saudyjskich uczelniach wyrósł ruch zwany Sahwa (Przebudzenie). Nauczyciele, którzy uciekli przed represjami z Egiptu i Syrii, przywieźli ze sobą idee Bractwa Muzułmańskiego, dążącego do przebudowy państw w imię islamu, i połączyli tę ideę z miejscowym wahabizmem.

W 1990 r., po inwazji Iraku na Kuwejt, ówczesny władca zgodził się przyjąć w kraju tysiące żołnierzy USA, którzy mieli odbić Kuwejt (w ramach operacji „Pustynna Burza"). Duchowni Sahwy uznali ich obecność na ziemi Proroka za świętokradztwo. Zaczęli oskarżać dynastię o zdradę wiary – tymi samymi argumentami, którymi dynastia uzasadniała dotąd swoją władzę.

Najgłośniejsi z nich trafili za kraty. Dynastia pojęła wtedy, że najgroźniejszy jest dla niej ten duchowny, który ma własnych zwolenników i nie zawdzięcza swojej pozycji pałacowi.

Muhammad ibn Salman postanowił, że do takiego buntu już nie dojdzie. Najpierw odebrał duchownym władzę nad życiem poddanych: w 2016 r. policja religijna, która pilnowała np. stroju kobiet, straciła prawo do zatrzymywania obywateli. Rok później aresztowano dziesiątki duchownych, którzy mieli własnych uczniów. Był wśród nich np. Salman al-Awda, jeden z dawnych liderów Sahwy, którego wpisy w social mediach śledziło 14 mln ludzi.

Dziś nominacja nowego muftiego służy temu samemu. Wprawdzie nominat, Al-Fauzan, ostrzegał przed kobietami za kierownicą, ale gdy w 2018 r. władze im na to pozwoliły, poparł tę decyzję. Pałacowi jego surowość nie przeszkadza, dopóki idzie w parze z posłuszeństwem. Jego poprzednicy mieli autorytet dziedziczony po przodkach. Fauzan swój zawdzięcza pałacowi.

PRZESUNIĘTA DATA | W 2022 r. dynastia sięgnęła także po historię. W styczniu król Salman ustanowił nowe święto: Dzień Założenia, obchodzony 22 lutego. Wrześniowy Dzień Narodowy upamiętnia rok 1932, a nowe święto cofa narodziny państwa do roku 1727, gdy władzę w Ad-Dirijji objął emir Muhammad ibn Su'ud. Ibn Abd al-Wahhab zapukał do jego bram dopiero 17 lat później.

Dekret wspomina o Koranie jako prawie pierwszego państwa, milczy zaś o Wahhabie. Według starej wersji emir i kaznodzieja zakładali państwo razem. Według nowej Ibn Abd al-Wahhab przyszedł prosić o schronienie do państwa, które już istniało.

Książę Salman nie ukrywał, o co mu chodzi. Już w 2018 r. przekonywał amerykańskich dziennikarzy, że wahabizmu nie da się nawet zdefiniować. W marcu 2022 r., niespełna dwa tygodnie po pierwszych obchodach nowego święta, powiedział więcej: Wahhab był według niego jednym z wielu uczonych swojej epoki, ani prorokiem, ani aniołem, a historię państwa spisali jego uczniowie, bo tylko oni umieli wtedy pisać.

Rzadko się zdarza, aby przyszły król przyznawał publicznie, że dzieje jego kraju napisała jedna strona. Jeszcze rzadziej robi to po to, żeby napisać je od nowa, tym razem samemu.

KOLEBKA Z GLINY | W miejsce religijnego mitu władze budują więc mit narodowy. Saudyjczyk ma być lojalny przede wszystkim wobec państwa i jego przywódcy, a poczucie wspólnoty z muzułmanami z całego świata schodzi na dalszy plan.

Chodzi też o pieniądze. Kraj, w którym ponad dwie trzecie obywateli nie skończyło 35 lat, musi szukać dochodów poza ropą, a turystów łatwiej przyciągnąć opowieścią o 300-letniej dynastii niż o kaznodziei, który kazał burzyć groby.

Widać to w samej Ad-Dirijji, oazie, w której w 1744 r. emir przyjął wygnanego kaznodzieję. Jeszcze w 2018 r. władze planowały tam ośrodek badawczy imienia Ibn Abd al-Wahhaba, a po ruinach oprowadzał zwiedzających jeden z jego potomków. Dziś wokół glinianych murów dawnej stolicy powstaje park historyczny za 63 mld dolarów, a zwiedzający słyszą tam przede wszystkim o rodzie Saudów i trzystu latach jego panowania.

Jest w tym gorzka ironia. Ibn Abd al-Wahhab kazał burzyć kopuły nad grobami, żeby nikt nie oddawał czci zmarłym, a w miejscu jego przymierza z emirem stoi dziś kosztowny pomnik ku czci dynastii, w którym dla niego samego zostało niewiele miejsca.

DRONY NAD ARABIĄ | Pierwszą poważną próbą dla nowego porządku stał się konflikt z Huti – szyickim ruchem zbrojnym, który od 2014 r. rządzi stolicą Jemenu, Saną, i od lat walczy z sunnickimi Saudami.

Od kiedy w lutym tego roku USA i Izrael zaatakowały Iran, patrona Hutich, ci ostatni uderzają w Arabię Saudyjską coraz śmielej. Ponieważ Iran blokował cieśninę Ormuz, saudyjska ropa popłynęła przez Morze Czerwone, gdzie Huti ogłosili w lipcu blokadę saudyjskich statków, a we wrześniu ich drony zjawiły się w pobliżu Mekki i Medyny. Na początku października Rijad oskarżył ich o atak na podstację energetyczną zasilającą Meczet Proroka. Huti zaprzeczają – i wypuszczają kolejne rakiety i drony, tym razem wycelowane w Rijad.

Od 1986 r. saudyjski król nosi tytuł Strażnika Dwóch Świętych Meczetów, a opieka nad Mekką i Medyną od stu lat uzasadnia władzę dynastii, więc ataki w pobliżu tych miast godzą wprost w jej prestiż. Dawniej duchowni bez wahania nazwaliby to wojną z szyickimi heretykami. Tymczasem Rijad mówi o ataku na święte miejsca wszystkich muzułmanów i może liczyć na poparcie od Turcji po Ligę Arabską.

Hasła obrony sunnitów przed szyitami trudno dziś szukać w oficjalnych komunikatach. Takie hasło ożywiłoby tradycję, od której książę się odcina. Oraz mogłoby rozpalić wschodnią część kraju, gdzie mieszka liczna szyicka mniejszość.

300 LAT PÓŹNIEJ | Ta zmiana ma jednak dla dynastii pewną cenę i ryzyko. Przez 300 lat duchowni wpajali wiernym, że mają być posłuszni władcy, a gdy coś szło źle, odium dzielono: część spadała na nich, część na Saudów. Dziś pałac bierze na siebie całą odpowiedzialność. Jeśli konflikt z Huti się przeciągnie lub stanieje ropa (podstawa bogactwa), wtedy niezadowoleni nie będą mieli kogo obarczyć winą – poza księciem. A historia Sahwy pokazuje, że w tym kraju religijny bunt potrafi wyrosnąć poza oficjalnymi meczetami.

W lutym 2027 r. Arabia Saudyjska będzie świętować trzechsetlecie – licząc od 1727 r., czyli od daty, którą wybrano, by historia państwa zaczynała się przed Wahhabem. Ten pojawi się podczas obchodów zapewne jedynie na drugim planie.

Nauczając jeszcze w rodzinnych stronach, Wahhab kazał zrównać z ziemią nawet grób Zajda ibn al-Chattaba, brata kalifa, czczony przez mieszkańców – bo uważał, że cześć należy się tylko Bogu. Dziś królestwo, które pomógł zbudować, odbiera mu miejsce w opowieści o swoich początkach. Czcią otacza już tylko dynastię – i na nią też spada odtąd cały ciężar władzy. ©

Niepodległość w poczekalni

SEBASTIAN JABŁOŃSKI Z BERLINA

PACYFIK | Siedem lat temu 97,7 proc. mieszkańców Bougainville głosowało za niepodległością od Papui-Nowej Gwinei. Teraz wyspa czeka na ostateczną zgodę parlamentu w Port Moresby. Ma ona zapaść w najbliższych dniach. Jak się rodzi to nowe państwo?

W klanie jego żony dawny urząd Jamesa Tanisa niewiele znaczy. On sam tak opisuje to w rozmowie: – Według członków jej klanu nie jestem żadnym byłym prezydentem. Jestem sługą jej klanu. Nie niewolnikiem, ale sługą.

Na Bougainville, archipelagu na Pacyfiku, ziemię i przynależność do klanu dziedziczy się zwykle po matce. Kobiety uchodzą tu za strażniczki ziemi, choć władzę publiczną zwykle sprawują mężczyźni. Klany mają swoje totemy, a ślub w obrębie własnego uchodziłby za kazirodztwo.

Tanis należy do klanu białej kakadu, jego żona do klanu orła. W swoim życiu był partyzantem, negocjatorem porozumienia pokojowego, a w latach 2008-2010 prezydentem autonomicznego regionu Bougainville w składzie Papui-Nowej Gwinei.

Dziś jako pełnomocnik prezydenta do spraw stosunków międzynarodowych jeździ po świecie i zabiega o poparcie dla państwa, którego jeszcze nie ma. Rozmawiałem z nim w Berlinie.

PUNKT NA MAPIE | Bougainville leży na wschód od Nowej Gwinei, przy granicy z Wyspami Salomona. Autonomiczny region tworzy 168 wysp o łącznej powierzchni 9,3 tys. km kw., na których mieszka 370 tys. osób. Nazwę największej z wysp nadał francuski żeglarz Louis-Antoine de Bougainville, który w 1768 r. przepłynął wzdłuż jej brzegu. Od jego nazwiska pochodzi też nazwa kwiatu bugenwilli.

Geograficznie Bougainville należy do archipelagu Wysp Salomona. Ale oddzieliła je od niego polityka. W 1886 r. wyspa weszła w skład Nowej Gwinei Niemieckiej. W 1899 r. Niemcy i Wielka Brytania rozstrzygały spór o Samoa i przy okazji podzieliły archipelag Wysp Salomona: wyspy leżące na wschód i południowy wschód przypadły Brytyjczykom, a Bougainville i sąsiednia Buka zostały przy Niemczech.

W 1914 r. wyspę zajęli Australijczycy. Zarządzali nią potem z mandatu Ligi Narodów, a po II wojnie światowej jako terytorium powierniczym ONZ.

Gdy w 1975 r. Papua-Nowa Gwinea szykowała się do niepodległości, przywódcy Bougainville byli szybsi: 1 września tamtego roku, na dwa tygodnie przed Papuą, proklamowali Republikę Północnych Wysp Salomona (nazwę wybrali z myślą o połączeniu z brytyjskimi wówczas Wyspami Salomona). Ale Republiki nie uznało żadne państwo i w sierpniu 1976 r. wyspa wróciła do Papui-Nowej Gwinei, jako prowincja z rozszerzonym samorządem.

KOPALNIA | James Tanis przekonuje, że kopalnia, od której zwykle zaczyna się opowieść o Bougainville, tylko podsyciła starszy już konflikt: – Wielu ludzi myśli dziś, że Bougainville chce niepodległości przez kopalnię Panguna. A Panguna tylko dolała oliwy do ognia.

Obie kwestie splotły się wcześnie: już deklarację z 1975 r. poprzedził spór o podział zysków z tej kopalni.

Było o co się spierać. Złoże miedzi i złota w górach pośrodku Bougainville odkryli w 1964 r. geolodzy australijskiej firmy CRA (poprzedniczki koncernu Rio Tinto). Kopalnia Panguna ruszyła w 1972 r., wbrew sprzeciwom mieszkańców. Była jedną z największych kopalń miedzi i złota na świecie. W najlepszych latach dawała 45 proc. eksportu Papui-Nowej Gwinei. Jednym z największych odbiorców tamtejszej miedzi były Niemcy Zachodnie.

Umowę podpisała jeszcze australijska administracja, bez udziału mieszkańców, a do miejscowych właścicieli ziemi trafiał ułamek wpływów. Za to setki milionów ton odpadów spłynęły do rzek Jaba i Kawerong. W społeczności, gdzie ziemię dziedziczy się po matce, jej utrata uderzała głównie w kobiety.

TOKSYCZNA SCHEDA | Tanis zna tę kopalnię od środka. Jako student pracował tam w wakacje, a dyplom z rachunkowości zdobył na stypendium spółki Bougainville Copper, która nią zarządzała.

Pod koniec lat 80. XX w. bunt właścicieli gruntów poprowadził Francis Ona, który był w kopalni geodetą. Jego ludzie wysadzali słupy energetyczne dynamitem kradzionym z kopalni. W 1989 r. wydobycie stanęło i do dziś nie zostało wznowione.

W 2016 r. Rio Tinto oddało swoje udziały rządom Bougainville i Papui-Nowej Gwinei, a wraz z nimi problem skażenia. Niezależna ocena, którą koncern sfinansował dopiero po skardze mieszkańców, potwierdziła w 2024 r. zagrożenie toksycznymi substancjami.

Tanis: – Kiedy byłem młody, wierzyłem, że największym bogactwem narodu są zasoby naturalne. Dziś wiem, że największym bogactwem jest postawa społeczeństwa.

WOJNA I BLOKADA | Wtedy władze w Port Moresby, stolicy Papui, wysłały na wyspę policję i wojsko. Ich brutalność sprawiła, że bunt właścicieli ziemi zamienił się w wojnę o oderwanie wyspy. Tanis był wtedy na trzecim roku studiów i trafił do partyzantki, Rewolucyjnej Armii Bougainville. Wspomina, że Ona odsunął go od walki, mówiąc: „Potrzebuję twojej głowy, a nie palca na spuście".

Wiosną 1990 r. wojsko Papui-Nowej Gwinei wycofało się z wyspy, a Ona ogłosił niepodległość. Port Moresby odpowiedział blokadą: na wyspę przestały docierać leki, paliwo i towary, zamknięto szkoły i szpitale. Ludzie przetrwali, jak wspomina Tanis, dzięki dwóm systemom: klanom i Kościołom. Ponad 60 proc. mieszkańców to katolicy, a od 2020 r. diecezją kieruje Polak, biskup Dariusz Kałuża [rozmowa na str. 52 – red.].

Wycofanie wojsk nie przyniosło spokoju. Ruch rozpadł się na zwalczające się frakcje, część mieszkańców poparła prorządowe milicje, a wojsko wróciło na wyspę. Tanis: – Przejęcie władzy jest dla partyzantki łatwe. Najtrudniejsza jest umiejętność rządzenia terytorium i społeczeństwem.

PRZEŁOM | Wojna trwała prawie 10 lat. Zginęło w niej od 10 do 20 tys. ludzi, także z powodu chorób, na które brakowało leków.

Przełom przyszedł w 1997 r. Premier Papui-Nowej Gwinei, Julius Chan, wynajął najemników z firmy Sandline do rozbicia partyzantki. Ale dowódca armii Jerry Singirok kazał ich rozbroić i wydalić z kraju. Afera kosztowała Chana urząd. Jeszcze w tym samym roku w nowozelandzkiej bazie Burnham zaczęły się rozmowy, które doprowadziły do rozejmu.

30 sierpnia 2001 r. w Arawie podpisano porozumienie pokojowe. Stało na trzech filarach: autonomii, rozbrojeniu i referendum w sprawie przyszłości wyspy (Tanis był jednym z jego negocjatorów i sygnatariuszy). W 2005 r. powstał autonomiczny rząd Bougainville.

Podziały na partyzantów i milicje, jak mówi Tanis, nie zniszczyły tradycyjnych więzi. To dzięki nim po wojnie udało się znów zszyć społeczeństwo. Ważną rolę odegrały kobiety, które na południu wyspy same chodziły do dżungli, by negocjować z partyzantami.

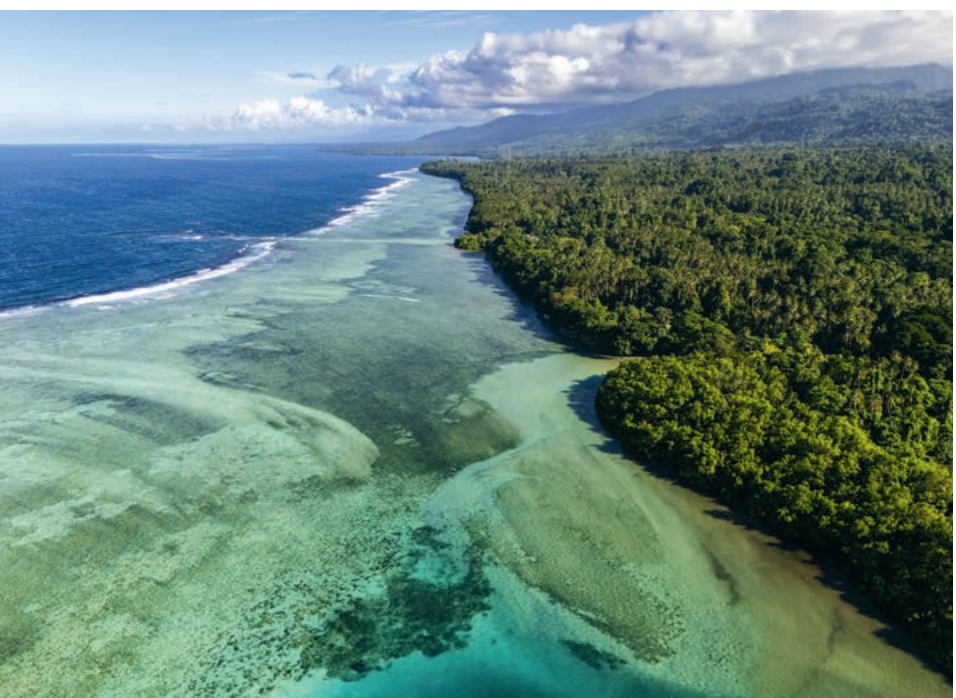
GŁOSOWANIE | Porozumienie z 2001 r. obiecywało referendum od 10 do 15 lat po powstaniu autonomicznego rządu. Odbyło się dopiero między 23 listopada a 7 grudnia 2019 r. – pod nadzorem komisji, której przewodniczył były premier Irlandii Bertie Ahern. Głosowało ok. 87 proc. uprawnionych, a 176 928 osób, czyli 97,7 proc. głosujących, wybrało niepodległość.

Referendum nie było jednak wiążące. Wynik musi zatwierdzić parlament Papui-Nowej Gwinei. Twórcy porozumienia, jak wspomina Tanis, mieli przed oczami przykład z sąsiedztwa: – Patrzyliśmy na Timor Wschodni i widzieliśmy, że dla nich nadzieja na koniec jednej wojny stała się początkiem kolejnej.

Dlatego zamiast od razu ogłaszać niepodległość, obie strony miały po referendum negocjować. Rozmowy trwały prawie siedem lat. W czerwcu 2025 r. rząd Papui-Nowej Gwinei i władze Bougainville podpisały Porozumienie Melanezyjskie, w którym uznały wybór mieszkańców za prawomocny.

27 sierpnia 2026 r. wynik referendum trafił do parlamentu, a 22 października posłowie wznowili debatę. Do ratyfikacji potrzeba trzech czwartych głosów. Po październikowej debacie parlament Papui-Nowej Gwinei odroczył obrady do 24 listopada, kiedy to ma zacząć się procedura głosowania nad zatwierdzeniem wyniku referendum.

Widok na wyspę Bougainville, formalnie wciąż jeszcze autonomiczny region w składzie Papui-Nowej Gwinei, wrzesień 2025 r.



NAFTALI HILGER / LAIF / FORUM

PRZECIĄGANIE LINY | Tanis widzi w tym podwójną grę: – Z jednej strony podpisują z nami porozumienia o niepodległości, z drugiej sprawiają, że nie da się jej przeprowadzić przez parlament.

Część posłów parlamentu Papui-Nowej Gwinei obawia się, że odejście Bougainville zachęci do podobnych żądań inne regiony tego zróżnicowanego kraju. Inni uważają, że konstytucja w ogóle nie pozwala oddać części terytorium. Premier Marape mówił 22 października: „Znajdźmy coś, co nie zrani dążenia Bougainville do samostanowienia", ale zastrzegał, że rozwiązanie musi chronić jedność kraju.

Nawet „tak" nie oznaczałoby natychmiastowej niepodległości. Bougainville chce szerszego samorządu od września 2027 r. i pełnej suwerenności w 2030 r. Na wypadek „nie" Marape proponował, by wynik referendum pozostał ważny, a wyspa dostała kolejne 15 lat na udowodnienie gotowości.

Prezydent Bougainville Ishmael Toroama odpowiada, że „zamrożenie" wyspy na etapie autonomii byłoby odrzuceniem procesu pokojowego. Przywódcy wyspy chcą ogłosić niepodległość 1 września 2030 r., wyłącznie środkami pokojowymi.

Tanis powtarza, że cokolwiek się stanie, pokój musi przetrwać: – Nie chcę, żeby moje dzieci przechodziły przez to samo. Nie chcę, żeby robiły te wszystkie złe rzeczy, które robiło moje pokolenie.

PRZYSZŁOŚĆ | Zapytany, czym jest dla niego niepodległość, Tanis zaczyna od tego, czym nie jest: – Przystępowałem do walki o niepodległość w przekonaniu, że chodzi o wciąganie flag, salutowanie wojsku, deklaracje. Nauczyłem się, że to nie jest istota niepodległości. To tylko jej symbole.

Opowiada przypowieść o niewidomych, którzy poznają słonia. Jeden dotyka trąby i mówi, że słoń jest jak wąż. Drugi obejmuje nogi i twierdzi, że jak dom na słupach. Tanis wyciąga z tego wniosek: – Żaden z nas, mieszkańców Bougainville, nie miał pełnego obrazu niepodległości.

W parlamencie Bougainville trzy miejsca są zarezerwowane dla kobiet i trzy dla byłych bojowników. Według Tanisa te drugie znikną wraz z niepodległością: – Mój syn nie odziedziczy miana weterana.

© SEBASTIAN JABŁOŃSKI



ARCHIWUM PRYWATNE JAMESA TANISA

BP DARIUSZ KAŁUŻA ze Zgromadzenia Misjonarzy Świętej Rodziny pochodzi z Pszczyny. Od 29 lat pracuje na Papui-Nowej Gwinei, a od 2020 r. jest biskupem Bougainville.

Na zdjęciu: James Tanis, były partyzant i były prezydent autonomicznego regionu Bougainville w składzie Papui-Nowej Gwinei, oraz biskup Dariusz Kałuża. Zdjęcie wykonano w Centrum Pastoralnym w Tsiroge, 2026 r.

Pokój w cieniu drzewa mango

BISKUP DARIUSZ KAŁUŻA, ORDYNARIUSZ BOUGAINVILLE:

Moim obowiązkiem jest przypominać, by każda decyzja szanowała godność ludzi i chroniła ich przed powrotem do przemocy.

SEBASTIAN JABŁOŃSKI: Czy rany po wojnie domowej wciąż są odczuwalne?

BP DARIUSZ KAŁUŻA: Zdecydowanie tak. Pokój zapisany w dokumentach nie zawsze przynosi pokój w sercu. Wyobraź sobie, że masz syna, który w 1988 r. chodził do trzeciej klasy i miał może 10-11 lat. Przez ponad dziesięć lat nie miał dostępu do szkoły ani podstawowej opieki medycznej. Musiał nieustannie się przemieszczać i mieszkać w obozach dla uchodźców. W 2001 r. podpisano porozumienie pokojowe, ale szkoły nie ruszyły od razu. Twój syn ma już 25 lat. Przecież nie wróci do trzeciej klasy. Całe to pokolenie, które dziś ma 40-50 lat, zostało pozbawione możliwości nauki, uprawiania ziemi i samodzielnego utrzymania się.

Jak wygląda pojednanie?

Ludzie szukają do niego drogi nie za biurkami w urzędach czy parlamentach, lecz przede wszystkim w cieniu drzew mango, które zawsze rosną w centrum wioski. Ważna jest też możliwość sprowadzenia do wioski szczątków naszych zamordowanych ojców i synów, matek i córek, by mogli zostać pochowani. Z chrześcijańskiego punktu widzenia pojednanie nie oznacza zapomnienia o krzywdzie. Oznacza podjęcie drogi, na której przeszłość nie musi już kierować przyszłością.

W 2025 r. mówił Ksiądz Biskup, że niepodległość jest „u naszego progu". To aktualna opinia?

Chciałem wtedy podzielić się nadzieją, że długi proces pokojowy i polityczny zbliża się do przełomu. Nie oznacza to, że wszystkie przeszkody zostały pokonane. Nie chcę zastępować polityków, ale czuję, że moim obowiązkiem jest przypominać, by każda decyzja szanowała godność ludzi i chroniła ich przed powrotem do przemocy. Wierzę, że jesteśmy blisko historycznego rozstrzygnięcia, choć nie mogę zagwarantować, kiedy ono nastąpi, ani przesądzać o decyzji parlamentu.

Prezydent Bougainville prosił papieża Franciszka o wsparcie dla niepodległości. Czy ten list dotarł do adresata?

Zabrałem go ze sobą w październiku 2024 r., gdy jechałem do Rzymu na Synod. Spotkałem się z Ojcem Świętym, ale zgodnie z protokołem przekazałem list do Sekretariatu Stanu, na ręce abp. Paula Gallaghera, odpowiedzialnego za relacje z państwami. Odpowiedź przyszła 3 stycznia 2025 r. Papież zachęcił nas, byśmy wytrwale angażowali się w budowanie pokoju i stabilności. Napisał: „Pamiętajcie, że sprawowanie przywództwa jest powołaniem i charyzmatem służącym dobru innych oraz budowaniu wspólnoty".

Co niepodległość oznaczałaby dla zwykłych mieszkańców?

Przede wszystkim nadzieję, że będą mogli samodzielnie kształtować swoją przyszłość. Ale niepodległość sama w sobie nie rozwiązuje wszystkich problemów i zawsze kosztuje. Pamiętam, jak Jan Paweł II mówił podczas Apelu Jasnogórskiego 18 czerwca 1983 r.: „Nie pragnijmy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała". Jako Polak wiem, czym jest niepodległość, ile kosztowała nasz kraj i naród, i ile wciąż kosztuje. Wierzę, że o przyszłości Bougainville najlepiej świadczyć będzie nie tylko flaga, konstytucja czy uznanie międzynarodowe. Najważniejsze będzie to, czy każda rodzina będzie mogła żyć bezpiecznie, każde dziecko otrzyma dobrą edukację, osoby chore dostaną potrzebną pomoc, a młodzi ludzie będą mogli z nadzieją patrzeć w przyszłość. ©

ELIZA

Kącka: *Pac i już*



Jazda metrem na Wilanowską. Siedzę twarzą w twarz z trzema w wieku wczesnostudenckim. Pierwsza, w czapce *à la* panda i w czarno-białych leggingsach: „No ja tu ogólnie mieszkam już rok, więc wiecie... No, znam zupełnie to miasto". Druga w czerniach, obczepiona srebrami: „Ty? Rok?! Długo...". Pierwsza: „Matka mówiła, że tu nie wytrzymam, bo ja muszę wszystkich w swoim wieku ogarniać". Trzecia na siwo, w kurtce-futerale: „Ok. Ja bym nie mogła w takim mieście wytrzymać. Dlatego na studia nie poszłam, tylko podyplomowe u siebie robię". Druga: „Ok, szanuję, ludzie ważniejsi od wiedzy". Pierwsza: „Dokładnie. Ogólnie nie o wiedzę chodzi". Pauza na dwie stacje. Robią sobie zdjęcia, śmieją się, gadają. I znów Pierwsza: „No dobra, ja pobronię. No bo Warszawa jest historyczna". Druga: „Takie historyczne miasto". „No, ogólnie muzea, biblioteki historyczne, książki historyczne, historyczne czasem jakieś, wiecie, jadłodajnie. Jakieś pierwsze kawiarnie, nie, że Nero, takie właśnie historyczne te kawy. Ja to szanuję". Druga: „Jasne, szacun". Pierwsza: „Ja ogólnie i tak nie korzystam, ale że można, wiecie, mieć historyczny obraz, a pod nim kawę albo ciasto... Jak będę miała rodzinę, jak się uda w tym mieście, to bym chciała pić do obrazu". Druga: „Jakiego?". „Dobrego. To jest miasto historyczne, ono ma dużo tych rzeczy".

Tramwaj nr 14 na Banacha. Przy mnie dwie starsze: „Ja uważam, że nie trzeba w świętej ziemi chować". „A która to święta, proszę pani?". „Uświęcona, cmentarna". „Pokropiona?". „Oj, pani mi się nie podoba. Tacy to mieszają, żeby mieszać". „Nie no, chwilka, to pani jest katoliczka, nie ja". „No właśnie mówię". „I pani nie stosuje miłosierdzia?". „Jemu?! Opętany był na pewno. Tu już szatan działa". „Hm. Mnie mówiono, że opętanie jest dopust, podobno, jak to nazywacie. Człowiek za siebie nie odpowiada. W takim razie zasługuje na wasz pogrzeb". „Jaki nasz?". „Katolicki". „Nie. Ja się do zła nie przyznaję". „Wie pani, ja też. Do tego chłopaka takoż. Na ofiarach mi zależy". „Ma być po bożemu". „Czyli...?". „Jak Bóg kazał". „Jak kazał?". „Grzebać swoich". „Haha, pani droga, to chyba Antygona". „Antygona? Proszę nie mącić!".

Lidzbark Warmiński, cmentarz. Ściągamy liście z kwatery. Trochę błota, pyłu – i żółto-brązowy (z wariacją na czerwień) szturm. Co sekundę przybywa nowych. „Pac, pac, pac!". Liście jako antidotum na melancholię zastygania – i sprawczość czyszczenia terenu. Spadają, jakby nie było w tym śmierci odcinającej zieleń. Żółknięcie: przecież to liść o lasce, liść inwalida, cmentarnik. Konkretniej, skromniej się to u nich odbywa. Pac i już. Kucam przy grobie taty i myślę, że rozmowa nie powinna odchodzić przed człowiekiem. Ale pogoda tak piękna, jakby miała być pocieszeniem. Złoto rozpylone w powietrzu, utarte ze światła i liści. Moździerz jesieni działa niezawodnie. Kilka worków się zebrało. Idziemy. Mijamy pietę lidzbarską. Wstyd, że dopiero dziś czytuję napis: „Das Leben geopfert im Dienste der Pflicht, das Leben gewonnen im ewigen Licht". Czyli: „Spal się na ołtarzu obowiązku, będziesz świecił wiecznie". Tak, tato, pod pietę zawsze mnie zabierałeś. „Postaw znicz". „Tu?". „Tak". Raz zapytałam: „Dlaczego?". „Nie wiem". Chyba wyczuwał tu oś rewiru, punkt ciążenia metafizycznego. Pieta, stawiam znicz. Cofam się, a tu cap: starszy w jesionce porywa znicze spod piety i stawia pod krzyżem na rondzie. Myślę: czy zagadać. Wyprzedza mnie: „Wstyd! Wnuczka bohatera wojennego, a zapala Niemcom!". „Ofiarom wojny". „W narodzie katów nie ma ofiar". „Ależ...". „Tylko pod tym krzyżem wolno". „Ale tu też jest Jezus...". „Nie nasz".

Lidzbark Warmiński, parking przed najbliższym spożywczakiem. Z auta wysiada gość i gapi się na mnie, jakby zobaczył ducha. Wchodzę, kupuję. Wychodzę – czeka. „Pani jest córką?". „Hm, tak" – uśmiecham się. „Kąckiego? Andrzeja?". Potwierdzam. „Dopiero co byłem na cmentarzu, szukałem kwatery, ludzie pokazali. Jestem kolegą taty ze studiów. Też Andrzej". „Aha". „Pani jest bardzo podobna. Chociaż nie...". „W sensie?". „No niby nie jest to ewidentne, ale od razu zobaczyłem, przepraszam. Taki żeński Kącki". „Haha, dziękuję". „No, to był świetny gość. Drogi nam się rozeszły, bo poszedł w duże zwierzęta, ja w małe, dobrze na tym wyszedłem". „Cóż, tato był specjalistą od zwijania pod sobą gruntu". „Pani tak nie mówi, miał serce". „A to prawda". „Głupio gadam, ale coś opowiem. Pani ojciec mnie jakoś uratował". „O?" „Bo trzeba było praktyki robić. I ja się bardzo długo zabierałem do konia". „Haha". „Andrzej mnie uratował przed kopnięciem, bo koń wierzgnął z niepokoju". „Pięknie". „Pytam: »Skąd wiedziałeś?«. Wiedział. Nie miałem tego wyczucia. Tylko się uśmiechał, co mnie trochę irytowało". „Nie tylko pana". „Spodziewam się. Był na swój sposób genialny. Postawiłem mu piwo, by mi powiedział, na czym to polega. Nie mógł. Nie da się nauczyć ludzi rzeczy, których nie czują...". „Uhm". „Powiedziałem mu: »Kącki, ty nic nie wiesz o życiu, a ja nic o tych twoich konszachtach. Ty lecz, ja się postaram ratować inaczej«". „Ojoj". „Nie, spokojnie, wiedziałem, że się nie nadaję, i zrobiłem kontrakt farmaceutyczny. Dobrze zarabiałem. A pani leczy?". „No nie". „Szkoda, jest pani naprawdę podobna. Nie potrafię uzasadnić, wiedziałem". „Nie trzeba". „Może jednak coś?". „Z leczeniem? Tak, może coś". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).



WIARA

ODDECH JAK MODLITWA

SHELLY RAMBO, AMERYKAŃSKA TEOLOŻKA TRAUMY:

Przepracowanie takiej tragedii jak strzelanina w Krakowie wymaga czasu i przestrzeni. Kościoły są miejscem, które powinny to zapewnić.



OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

Skrzyżowanie ulicy Sławkowskiej i Rynku Głównego, na którym zabójca rozpoczął strzelaninę 7 listopada. Kraków, 9 listopada 2026 r.

MARTA ZDZIEBORSKA: Ile trzeba wdechów i wydechów, by szybko wyciszyć układ nerwowy?

SHELLY RAMBO: Jest wiele takich technik. Np. metoda 4-7-8, czyli bierzemy wdech przez nos, licząc do czterech, wstrzymujemy oddech, licząc do siedmiu, i wydychamy powietrze przez usta, licząc do ośmiu. Wdech kojarzy mi się z przyjmowaniem dobra, a wydech to pozbywanie się tego, co negatywne. Chodzi o to, by wyregulowany oddech uspokoił nasze ciało i dał mu sygnał: „Wszystko jest w porządku". Gdy pracuję ze wspólnotami chrześcijańskimi, uczę ich różnych sposobów oddychania w grupie. To ma większą moc niż robienie takich technik w pojedynkę. Nazywam to wspólną regulacją oddechu. Naturalne jest to, że tracimy równowagę, gdy wydarzy się coś złego. Jeśli w takiej sytuacji uda się nam zsynchronizować oddech z innymi, pojawia się wtedy silne poczucie, że ze wszystkim damy sobie radę.

Jak to się stało, że teolożka uczy technik oddechowych?

Cóż, zgłębiając zjawisko traumy, dowiedziałam się, co dzieje się z ciałem i mózgiem ludzi, którzy doświadczają przytłaczającej przemocy i krzywdy. W obliczu takich wydarzeń dochodzi do zachwiania równowagi w organizmie i trzeba ją przywrócić za pomocą oddechu. Nic innego tu nie pomoże.

A modlitwa? ↦

↦ Oddech jest tak naprawdę modlitwą, tyle że bez słów. To on jest potwierdzeniem życia, które zostało nam dane. Jest więc również podstawowym narzędziem do praktykowania wiary. Najpierw przecież trzeba przywrócić więź z samym sobą. Oddech to właśnie umożliwia. Bez niego nie przeskoczy się na wyższy poziom rozważań na temat Boga.

Czym jest teologia traumy, którą Pani się zajmuje?

Mówiąc najkrócej, to pytanie, czy badania nad traumą mogą wnieść jakieś nowe spojrzenie do teologii cierpienia i uzdrowienia, tak głęboko zakorzenionej w tradycjach chrześcijańskich. To w zasadzie taka sama praca, jaką teologowie wykonują od wieków: przyglądamy się temu, co chrześcijanie wyznają i praktykują, i zastanawiamy się, jak to się ma do współczesnego świata.

Badania nad traumą nabrały rozpędu w latach 80. i 90. XX wieku. Akurat gdy byłam studentką, publikowano ważne raporty na temat skutków psychologicznych Holokaustu, a także traumy międzypokoleniowej i traumy zbiorowej. Jako teolożka zadawałam sobie pytanie: skoro dysponujemy taką wiedzą o traumie, to czy nasze tradycje chrześcijańskie mają coś nowego lub innego do powiedzenia w tej kwestii?

Często Pani mówi, że ludzie dotknięci traumą utknęli w Wielkiej Sobocie – dniu pomiędzy śmiercią Jezusa a jego zmartwychwstaniem.

Gdy studiowałam teologię, bardzo spodobała mi się katolicka symbolika Wielkiej Soboty – dnia przejściowego, kiedy panuje cisza, a po zmroku odprawiana jest Wigilia Paschalna. W moim Kościele protestanckim nie odprawia się żadnych nabożeństw w Wielką Sobotę. To czas oczekiwania na zmartwychwstanie i dobrą nowinę. Wielka Sobota to dobry punkt styczny między tradycją chrześcijańską a badaniami nad traumą.

W swoich badaniach analizuje Pani język duchownych wobec osób cierpiących. Jakie sformułowania uznaje Pani za nietrafione?

Przede wszystkim zdania typu: „Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu", „Bóg sprawia, że wszystko służy dobru" albo „Bóg wystawia twoją wiarę na próbę". Nazywam je „kieszonkową teodyceą". Takie słowa ludzie słyszą na pogrzebach albo po traumatycznych wydarzeniach, jak np. niedawny zamach w Krakowie.

Czasem trzeba po prostu używać mniej słów.
Zwłaszcza w tradycji protestanckiej opartej na ciągłym gadaniu. W katolicyzmie kładzie się duży nacisk na rytuały i symbolikę liturgii. To bardzo pomocne.

Są one mocno zakorzenione nie tylko w tradycji chrześcijańskiej, ale także w amerykańskiej kulturze. Jeśli Amerykanie doświadczają trudności, to uważają, że powinni je przezwyciężyć i stać się jeszcze lepsi. Jak w biblijnej opowieści o odkupieniu i zmartwychwstaniu, która zawsze kończy się pozytywnie. Tymczasem w życiu osób z doświadczeniem traumy nie zawsze będzie *happy end*. Ludzie tracą ducha albo ich sytuacja przez długi czas się nie poprawia. Trzeba o tym pamiętać.

Co powiedziałaby Pani dziś mieszkańcom Krakowa, którzy wciąż żyją ubiegłotygodniową tragedią?

W mojej pracy skupiam się na szkoleniu duchownych...

To proszę zaadresować swoje słowa do nich.

Pierwsza rzecz to uznanie, że wierni mogą stracić nie tylko wiarę w sens Bożego planu, ale także poczucie bezpieczeństwa. Do strzelaniny doszło w bardzo uczęszczanym miejscu publicznym. Ludzie mają prawo odczuwać niepokój, tym bardziej że ta strzelanina to w Polsce coś nietypowego. To nie są Stany, gdzie niestety bardzo często dochodzi do takich tragedii. Po drugie, w tym trudnym czasie Kościół powinien być miejscem, gdzie wierni znajdą opiekę i bezpieczeństwo. Ale to nie oznacza konieczności udzielania gotowych odpowiedzi na ich wątpliwości. Właśnie tym jest Wielka Sobota – czasem, gdy nie ma jeszcze gotowych rozwiązań. Dlatego nakłaniałabym księży, by podczas kazań mówili wprost, że co prawda nie wiemy, dlaczego doszło do zamachu w Krakowie, ale wiemy, że Bóg nas nie opuścił, że wciąż jest wśród nas obecny. Pośpiech w tym procesie nie jest wskazany.

Czyli seria kazań nie załatwi sprawy?

Absolutnie nie. Przetrawienie takiej tragedii wymaga bardzo dużo czasu. Nawet jeśli wydaje się, że zapomnieliśmy już o tych wydarzeniach, to ciało, które doświadczyło traumy, dalej trzyma te wspomnienia. Myślę więc o długoterminowej opiece duszpasterskiej trwającej sześć miesięcy, może rok... Kiedy ludziom przytrafiają się straszliwe rzeczy, często nie mają przestrzeni, w której mogliby się z tym doświadczeniem zmierzyć. Kościoły powinny dawać taką przestrzeń, co wymaga pewnego przeformułowania homilii, by odnosiły się do bólu, niepokoju i gniewu doświadczanych przez wiernych.

Jest też inna ważna sprawa. Zapewne niektóre osoby w wyniku zamachu w Krakowie przypomniały sobie inne traumatyczne doświadczenia ze swojego życia, być może z dzieciństwa, gdy czuły się bezbronne lub zagrożone... Kościół powinien być kontenerem na ból. Niestety rzadko uczy się duchownych, że duża część ich pracy polega na pomaganiu ludziom w przepracowaniu trudnych doświadczeń.

Czego polskie parafie mogą nauczyć się od amerykańskich kongregacji działających w społecznościach, dla których strzelaniny są codziennością?

Sprawca zamachu w Krakowie był młodym człowiekiem, opowiem więc o inicjatywie jednego z Kościołów w Bostonie, który postawił na edukację młodzieży. To programy mające rozwijać odporność psychiczną, poczucie moralnej dobroci i empatii. Takie programy koncentrują się też na edukowaniu w zakresie zdrowia psychicznego – czym jest depresja i zaburzenia lękowe. Część zajęć to zajęcia artystyczne. To ważne dla rozwijania wyobraźni i kreatywności, które doświadczenia traumatyczne potrafią zblokować.

Jeśli chodzi o nasze szkolenia dla duchownych (organizowane w ramach Uniwersytetu Bostońskiego), często prowadzimy dyskusje w małych grupach i pytamy ich: jakie jest wasze własne do-

świadczenie traumy? To ważne, bo oni częstą myślą o traumie tylko jako o problemie innych ludzi.

Trudno jest ich nakłonić do mówienia o takich przeżyciach?

Trudno. Człowiek ma niestety wiele sposobów na ucieczkę od bólu. To wspaniałe, gdy ktoś decyduje się podczas takiej sesji odblokować. Niektórzy duchowni są dość otwarci. Być może jest to właśnie ta rozmowa, której potrzebowali, a której nigdy wcześniej nie mieli okazji doświadczyć.

Czytałam o kościele w San Diego, gdzie uczono ludzi technik regulacji układu nerwowego. Zna Pani jeszcze jakieś inne inspirujące przykłady?

Ten program w San Diego, o którym pani mówi, skierowany jest w dużej mierze do osób bezdomnych, należących do Living Water Church of the Nazarene. Zajęcia trwają 12 tygodni. To nie tylko nauka technik oddechowych, ale także warsztaty oparte na arteterapii. Tzw. Flow Groups są odpowiedzią na problem bezdomności, która również bywa źródłem traumy.

Mieszkałam w San Diego. Częsty jest tam widok bezdomnych koczujących w centrum miasta.

Niestety bezdomność w tym mieście to chroniczny problem. Jeśli chodzi o przemoc z użyciem broni palnej, to modelową odpowiedzią na ten problem jest program Can We Talk. Stworzyła go Liz Walker, która była pastorką w kościele położonym w tej części Bostonu, gdzie wielu młodych ginęło w strzelaninach [mowa o Roxbury Presbyterian Church – red.]. Gdy zginął jeden z członków parafii, Cory Johnson, Liz Walker wraz z terapeutką opracowała program spotkań zaczynających się zawsze od wspólnej kolacji. Po posiłku uczestnicy mogą dzielić się swoimi trudnymi historiami. Spotkanie odbywa się na terenie parafii, w obecności specjalisty ds. zdrowia psychicznego. Bywa, że zaprasza się na te sesje artystów, muzyków i poetów, by urozmaicić wieczór. Spotkania Can We Talk pokazują, że Kościół potrafi zmierzyć się z trudnymi historiami ludzkimi i je przyjąć. Liz Walker powtarza, że pastorzy nie muszą naprawiać ludzi. Bo ci potrzebują tylko, by ich wysłuchać. Program Can We Talk okazał się sukcesem i jest wprowadzany w innych wspólnotach. To bardzo potrzebne, bo w Stanach mamy kulturę traumy.



MICHAEL D. SPENCER

DR SHELLY RAMBO jest teolożką, wykładowczynią w Boston University School of Theology i kierowniczką Trauma Responsive Congregations Project. Autorka książek „Spirit and Trauma: A Theology of Remaining" oraz „Resurrecting Wounds". Ukończyła seminarium teologiczne Princeton.

Na łamach „The Christian Century" pisze Pani, że czasem Kościoły zamiast być bezpieczną przestrzenią dla wychodzenia z traumy, są wręcz przeciwnie – źródłem przemocy. Czy może Pani podać przykład?

W swojej pracy mam do czynienia także z seminarzystami. Wielu kandydatów do seminariów [protestanckich – red.] zostało kiedyś skrzywdzonych w Kościele jako osoby transpłciowe, lesbijki lub geje. Słyszeli nieraz na kazaniach, że zachowanie osób LGBT jest grzeszne i zasługuje na karę. Doznali więc religijnej traumy. Przestrzeń kościelna jest środowiskiem o wysokim stopniu kontroli, gdzie osoby mające autorytet wypowiadają się na istotne tematy dotyczące Boga. Ich słowa mają dla wiernych ogromne znaczenie i mogą wyrządzić im krzywdę. Czasem zdarza się, że tak negatywne doświadczenia sprawiają, że niektórzy chcą zostać duchownymi, by to zmienić. Nie pracuję ze studentami katolickich seminariów duchownych, ale domyślam się, że również tam niektórych do wstąpienia skłonił gniew na przypadki wykorzystywania seksualnego w Kościele.

Podobny mechanizm występuje wśród pracowników socjalnych i psychologów – po tym, co przeżyli, chcą pomagać innym i stawać w ich obronie.

Czy w teologii traumy chodzi o nową treść, czy tylko o formę? O zmianę języka, komunikację, o to, by nie popadać we frazesy i łatwe pocieszanie?

Moja praca teologiczna opiera się głównie na nowej interpretacji tradycji chrześcijańskiej. Jednak w przypadku pracy z wieloma wspólnotami zaczynam od przyjrzenia się ich komunikacji z wiernymi. Ich język jest przyjazny czy wykluczający? Czy ludzie czują się w tej wspólnocie bezpiecznie? Czasem wystarczy zmienić pewne sformułowania albo po prostu używać mniej słów. To problem tradycji protestanckich opartych na ciągłym gadaniu. W katolicyzmie kładzie się za to duży nacisk na rytuały, sakramenty i symbolikę podczas liturgii. ↦

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KOMPUTER I INTERNET = LEPSZE ŻYCIE

Internet ułatwia życie i napędza gospodarkę, ale wciąż połowa dorosłych Polaków nie potrafi korzystać z komputera, sieci i smartfonu. To bariera w pracy, w urzędzie i w codziennych sprawach. **Jak nadrobić zaległości? Dlaczego to takie ważne?** Sprawdź, co możesz zyskać i gdzie bezpłatnie zdobędziesz przydatne umiejętności. Na naukę nigdy nie jest za późno.

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego

↦ To bardzo pomocne, bo wierni potrzebują przestrzeni do refleksji.

Co to znaczy – w języku religii i duchowości – wyjść z traumy?

Uzdrowienie łączy się z koncepcją odkupienia. Choć trzeba pamiętać, że większość psychologów w kontekście traumy nie mówi już o całkowitym „powrocie do zdrowia", bo trauma pozostawia trwałe ślady. Człowiek może się tylko nauczyć, jak sobie z nią radzić. To tak, jak ze wspomnieniem z przeszłości. Nie ma już nad tobą władzy, ale to nie znaczy, że wyparowało z twojej pamięci.

Dlaczego zainteresowała się Pani badaniami nad traumą? Czy miały na to wpływ Pani własne doświadczenia?

Często w takich sprawach decydują kwestie osobiste. Rozmawiałyśmy przed chwilą o studentach, którzy poszli do seminarium, bo doznali krzywdy we własnej wspólnocie. Ja poszłam do seminarium, bo Kościół, do którego należę, nie dopuszcza święceń kapłańskich kobiet. Chciałam zrozumieć, dlaczego. Byłam zdezorientowana. Ta sama wspólnota, która rozbudziła we mnie miłość do Biblii, blokowała mi drogę do kapłaństwa. Pójście do seminarium było więc dla mnie formą buntu [w USA kobiety mogą studiować w protestanckim seminarium teologicznym, które kształci nie tylko przyszłych duchownych, ale także np. teologów – red.]. Natomiast jeśli chodzi o badania nad traumą, to pytania dotyczące cierpienia ludzkiego towarzyszyły mi od najmłodszych lat. Widziałam wiele cierpienia, bo moi rodzice byli misjonarzami.

Kiedy zaczęłam zajmować się tym tematem, traktowano go jako bardzo marginalny. Dziś wszyscy mówią o traumie. Ludzie są dziś tak bardzo pogrążeni w traumie, że trudno im dostrzec pełen obraz sytuacji. A on obejmuje smutek i radość, żal i miłość. Samotność i więź z innymi.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Marta Zdzieborska jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".



BRUNA CASAS / REUTERS / FORUM

Wierni podczas koncertu przed czuwaniem modlitewnym z papieżem Leonem XIV na Stadionie Olimpijskim im. Lluísa Companysa w Barcelonie, 9 czerwca 2026 r.

Kościół i bar

MATTEO MATZUZZI

EWANGELIZACJA | Wiara zaczyna się od spotkania, a nie od diagnoz i programów. Jak w Grenoble, gdzie droga do chrztu ma początek w barze.

Do Rimini zostałem wysłany przez moją macierzystą redakcję. Miałem relacjonować Meeting dla Przyjaźni między Narodami. Jedno ze spotkań poświęcone było wierze ludzi młodych. Zastanawiano się, jak dotrzeć do nich dziś ze słowem Jezusa. Dzielą ich przecież lata świetlne. Oni za jednym kliknięciem w smartfonie łączą się z drugim końcem świata, by pogadać ze znajomymi albo skorzystać z porad na każdą okazję – od tych, jak ugotować kurczaka z warzywami w woku, po te, które proponują (niemal nigdy za darmo) ścieżki odnajdywania własnej duchowości. Jak z tą ofertą ma konkurować Ewangelia? Słuchałem z zaciekawieniem.

Na scenie siedziała dziewczyna i młody ksiądz. Przyjechali z Grenoble, niewielkiego, ale uniwersyteckiego miasta w południowo-wschodniej Francji. Opowiadali o tym, co wydarzyło się tam w ostatniej dekadzie. Ich miasto zmaga się ze spadkiem zainteresowania religią wśród ludzi młodych. Kościoły odwiedzane są głównie przez starszych, życie sakramentalne zanika, spada liczba powołań kapłańskich i zakonnych. Wszystko to wiemy i znamy z innych miast w Europie. Potwierdzają to setki analiz socjologicznych i sondażowych, od lat słychać też lamenty nad światem, który się zmienił, i nad młodym pokoleniem, które nie chce iść śladami swych ojców i dziadków.

Bar wzięty

W Grenoble stało się jednak inaczej. Zaczęło się od niewielkiej grupy młodych

katolików, która „chciała coś zrobić". Poszli do biskupa. „Czego chcielibyście konkretnie?" – zapytał. „Dobrego miejsca. Kościoła i baru" – odpowiedzieli.

W ten sposób położona w sercu miasta Bazylika Saint-Joseph stała się centrum ich aktywności. Biskup zgodził się, by stworzyć tam „parafię personalną", obejmującą nie konkretne terytorium, ale wspólnotę młodych ludzi w wieku 18-35 lat, głównie studentów. Działający przy niej bar przyciąga ludzi. Spotykają się w nim starzy znajomi i tacy, którzy przychodzą po raz pierwszy, przypadkowo. Nagle okazuje się, że twarz, która umyka uwadze na uniwersyteckich salach wykładowych, staje się znajoma, a z czasem nawet przyjacielska. Rodzi się wspólnota.

Tworzą ją zwyczajni ludzie. Studiują, uprawiają sporty, mają narzeczonych i narzeczone, chodzą na zakupy i do kina. Ale też poświęcają swój czas na pomoc potrzebującym. Pomagają osobom starszym, chorym i samotnym. Ale i tym, którym w życiu nie poszło. Prowadzą świetlicę dla dzieci, pomagają im w odrabianiu lekcji. W niedzielne wieczory idą razem na mszę.

W dziesięć lat „klub przy barze" urósł, sieć się umocniła. Jedni po skończeniu studiów poszli własną drogą, inni zostali, ciągle też dochodzą nowi. Efekty? „Da Bóg, a w najbliższą Wielkanoc ochrzcimy 41 osób" – mówił ze sceny proboszcz.

Nietzsche się mylił

Czy to znaczy, że po latach użalania się na zmierzch Zachodu i jego religijności, coś się ruszyło? A może ruszało się zawsze, tylko nie potrafiliśmy tego dostrzec? O tym, co dzieje się we Francji, mówią już wszyscy. Wrześniowa podróż Leona XIV zwróciła uwagę całego świata na młodych Francuzów, którzy działają i ożywiają Kościół – wyczerpany i biernie przyglądający się triumfowi sekularyzacji. Tymczasem 70 tysięcy biletów na czuwanie z papieżem na Stade de France rozeszło się w 15 minut. 800 tysięcy osób przyszło na papieską mszę w centrum Paryża, odprawianą w miejscu, gdzie pod koniec XVIII w. gilotynowano nie tylko królewską parę, ale i wielu księży – w imię nowych czasów i królestwa Rozumu. Potem Lourdes – procesja z pochodniami i pieśniami maryjnymi.

Potrzeba religii nie umiera. Nietzsche się mylił. Świat może się zmieniać, zmieniają się punkty odniesienia, ale odwieczna skłonność człowieka do spoglądania w górę jest nieusuwalna. Zmienia się jedynie sposób, w jaki tę potrzebę wyrażamy.

Krzyż i sztandar

Można tę potrzebę religijności wykorzystywać ideologicznie. Scena, która najlepiej to ilustruje, rozegrała się nieco ponad rok wcześniej w Arizonie. Na nabożeństwie za Charliego Kirka, młodego aktywistę MAGA i ewangelikalnego influencera, zamordowanego na kampusie uniwersyteckim, byli wszyscy: politycy wymachujący różańcem, mężczyźni dźwigający ogromne krzyże, prezydent Donald Trump i wiceprezydent J.D. Vance. Nie był to pogrzeb (ciało Kirka pochowano już wcześniej), tylko zorganizowane na stadionie State Farm święto zbiorowego mitu: nowa religia deklarowała wolę pokonania wszystkich wrogów zmarłego i ostateczne zwycięstwo w pojedynku ze Złem.

Krzyż był sztandarem do powiewania, emblematem wykluczającym: kto z nami, a kto przeciwko nam. Celebransem głównym był prezydent Trump, który już wielokrotnie – choć chaotycznie – flirtował z myślą, by uczynić z religii prawdziwe *instrumentum regni* (narzędzie władzy). Nie tak dawne zaproszenie dwunastu katolickich biskupów, by modlili się nad nim w Gabinecie Owalnym Białego Domu, jest tego dowodem (choć jeszcze bardziej uwiecznienie tego faktu na zdjęciach i filmach, potem wykorzystywanych propagandowo bez zgody uczestników).

To jest Ameryka

Sceny, które widzieliśmy na arizońskim stadionie, są doskonałym obrazem dzisiejszej Ameryki. Wszyscy mamy w pamięci, że to kraj zbudowany na micie „miasta na wzgórzu", które przyjmuje każdego, zwłaszcza tych, którzy uciekają z własnej ziemi przed niebezpieczeństwem, biedą albo prześladowaniem. Kraj, którego spoiwem są słowa „*In God We Trust*" (w Bogu pokładamy nadzieję) drukowane na banknotach, wypisywane na ścianach sądów i szkół.

Dzisiejsza Ameryka z trudem rozumie, co te słowa znaczą. Kiedy przed dekadami Martin Luther King przemawiał z ambon i na ulicach, cytując Stary i Nowy Testament, mógł być kochany albo znienawidzony, ale wszyscy rozumieli jego przesłanie. Wszyscy rozumieli, dlaczego z wiarą i dumą obchodzi się Dzień Dziękczynienia. Albo dlaczego ich przodkowie postanowili, że nigdy nie będą głosować w niedzielę, bo to dzień poświęcony Panu. Fundamenty Ameryki zakotwione są w Biblii.

Dziś obraz jest inny. Ale w całym zamęcie wciąż obecna jest świadomość, że wartości, których koniec Nietzsche zbyt pochopnie ogłosił, są w rzeczywistości żywsze niż kiedykolwiek. I mogą się przydać sprawie, nawet mrocznej.

Peter Thiel, jeden z ideologów Doliny Krzemowej, wygłasza konferencje o Antychryście. Dociera z nimi do Rzymu, głosi je – na zamkniętych, niemal tajnych spotkaniach – dwa kroki od Watykanu. Dostarczając argumentów tym, którzy mocno wierzą, że w laboratoriach Doliny Krzemowej opracowywany jest od lat przepis na nową religię, która rzuci wyzwanie tej „oficjalnej". Przepis zresztą dość prosty: wystarczy zmieszać kilka wersetów z Ewangelii, dodać cytat z Sołowjowa i kilka wypowiedzi na temat wiary przygotowane przez sztuczną inteligencję. Wyznanie wiary w Boga, który mieszka w chatbocie.

Małe oazy

To jeden ze skutków załamania się międzypokoleniowego przekazu wiary. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych, czego dowodzi niedawny dokument „Venite ad me", opublikowany przez Dykasterię Nauki Wiary, a zrodzony z potrzeby uchwycenia na nowo tej wątłej nici, która – od Wschodu po Zachód – zaczęła się rwać. I to nie w niedawnej przeszłości, jak łatwo powiedzieć, nie w sporach posoborowych, ale w epoce wielkich przeprowadzek ze wsi do miast, w czasach upadku „społeczeństwa dzwonnicy", wyznaczającej przez wieki rytm dni.

Oczywiste jest, że to, co „robiło się zawsze", już nie działa. Nostalgia za dawnymi, dobrymi czasami jest bezużyteczna. Zwłaszcza że ta przeszłość też jest zazwyczaj mocno idealizowana. Dzisiejsze społeczeństwo wymaga nowych narzędzi i nowych dróg, może nawet ryzykownych. Wymaga odwagi.

Widać to na przykładzie Grenoble, gdzie wszystko zrodziło się z prośby ↦

↦ o bar. Można tworzyć projekty duszpasterskie, zwoływać wielkie zgromadzenia, opracowywać studia i analizy. Ale ostatecznie wiara staje się widzialna właśnie w takich małych oazach. Nawet tam, gdzie wydawała się zaginiona. To one pokazują, że wszystko zaczyna się od spotkania – nie tylko pomiędzy młodymi – spontanicznie i bez zbyt wielu z góry ustalanych planów.

Oznaki podobnego jak we Francji odrodzenia widać też było w Hiszpanii – w upalną czerwcową niedzielę w papieskiej mszy na Boże Ciało uczestniczyło ponad milion osób – a także w Szwecji i Norwegii, gdzie katolicy są jedynie niewielką mniejszością. Nawet w laickiej i zsekularyzowanej Wielkiej Brytanii młodych katolików może być w ciągu kilku lat więcej niż anglikanów, jak podało ubiegłej wiosny Bible Society, donosząc o przebudzeniu wiary wśród młodych.

Mniej znaczy lepiej

Wszystkie te przykłady mają wspólny rys: by tchnąć życie w wiarę, nie wystarczą katechezy na temat kolejnych prawd ani przestrogi przed tym, co jest sprzeczne z nauczaniem Kościoła. To już nie działa. We Włoszech większość młodych ludzi kończy swoją przygodę z Kościołem zaraz po bierzmowaniu. Jak kraj długi i szeroki, nie zobaczymy ich już w kościele – ani na niedzielnej mszy, ani na zajęciach w ciągu tygodnia. Problem wszystkim znany, ale nikt nie wie, jak utrzymać nastolatków przy parafii. Próbowano na różne sposoby: organizowano zabawy w oratorium, mecze piłki nożnej i ligę siatkówki. Wszystko na nic.

Peryferie wiary, zgodnie z intuicją papieża Franciszka, są tutaj

– za naszymi drzwiami, na naszym osiedlu, w miejscach pracy, na siłowniach, które odwiedzamy.

Joseph Ratzinger pisał już pod koniec lat 60., że przyszłością katolicyzmu będą „twórcze mniejszości", co można ująć w formułę „mniej, ale lepiej". Przyszły papież przewidział, że wraz z postępem sekularyzacji i zanikiem zdolności starszych pokoleń do przekazywania wiary dawne modele, znane od wieków, przestaną działać. Rewolucje XX w. wystawiły rachunek, który spłacić będzie musiał już nowy, inny świat.

Nie popadajmy jednak w pesymizm. Chrześcijanie – a zwłaszcza katolicy – nie znikną. Zmaleje ich liczba, ale stworzą żywe wspólnoty, w których wiara będzie przeżywana konkretnie, każdego dnia. Przyszłość, krótko mówiąc, nie będzie należeć do „katolików niedzielnych", dla których msza to tylko cotygodniowa rutyna. Tylko do tych, którzy uczestniczą w liturgii, bo wiedzą, czym jest sakrament i jego celebracja, którzy naprawdę wierzą w to, co wyznają.

Widać ten kierunek w niemal całej Europie: małe oazy rosną tam, gdzie wydawało się, że jest już tylko pustynia. Tworzą je katolicy, którzy nie uciekają od świata, zamykając się w odizolowanych wspólnotach i czekając na niemożliwy powrót *Christianitas*. Wręcz przeciwnie – są w pełni zanurzeni w świecie, w nim mieszkają i uczestniczą w jego przemianach, pozytywnych i negatywnych. Przyjmują jego wyzwania i mierzą się z nimi.

Peryferie za drzwiami

Nie trzeba wiele. Jakiś czas temu proboszcz katolickiej katedry w Sztokholmie zobaczył w swoim kościele grupę młodych ludzi, zupełnie nieobeznanych z religijnymi praktykami, którzy w skupieniu obserwowali tabernakulum. Nie wiedzieli, czym jest, ale widzieli, jak inni wierni, nieliczni co prawda, wchodząc klękają przed nim i wpatrują się weń. To wystarczyło, by zacząć rozmowę. Zaczęła się znajomość, goście dzięki proboszczowi poznali innych ludzi, w końcu, po pewnym czasie, poprosili o chrzest.

Rzeczywistość wciąż pokazuje nam znaki, które trzeba umieć dostrzec. Nawet jeśli nie jest to już czas olśnień w drodze do Damaszku.

Potraktujmy to jak wyzwanie dla wszystkich. W pierwszym rzędzie dla Kościoła, którego powołaniem jest misyjność. Rozumiana nie jako wyprawa do dalekich, egzotycznych krajów, gdzie trzeba zanieść słowo Jezusa Chrystusa. Peryferie wiary, zgodnie z intuicją papieża Franciszka, są tutaj – za naszymi drzwiami, na naszym osiedlu, w miejscach pracy, na siłowniach, które regularnie odwiedzamy. Ale też, coraz częściej, jest nimi nasz parafialny kościół. Na tym polega problem chrześcijańskiego i katolickiego Zachodu: nie rozumiemy, że miejsce, do którego dawniej chodziło się tłumnie na niedzielną mszę, a dziś coraz częściej puste, to także peryferie – przestrzeń nowej ewangelizacji, przełamującej stare schematy i otwierającej się na nowe pomysły.

© MATTEO MATZUZZI

Tłumaczył: EDWARD AUGUSTYN

Autor jest włoskim dziennikarzem, redaktorem naczelnym dziennika „Il Foglio", w maju tego roku wydał książkę „Dio non è morto. Perché la religione è tornata a dominare il presente" (Bóg nie umarł. Dlaczego religia wróciła, by dominować nad teraźniejszością).

POŻEGNANIE

W czternastą rocznicę śmierci

Prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji i w intencji spraw Jemu bliskich
w Kościele św. Marka w Krakowie
w piątek, 27 listopada podczas mszy św. o godzinie 16.00.

Po mszy zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową zapalimy świece.
W imieniu Rodziny i Wydawnictwa Znak:

Róża Thun, Henryk Woźniakowski, Dominika Kozłowska



SHWE PAW MYA TIN/ NURPHOTO / GETTY IMAGES

Buddyjscy nowicjusze w pagodzie Ananda, Bagan, 9 stycznia 2020 r.

Siedmioletni mnich tęskni za mamą

MARTA ZABŁOCKA Z AZJI POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ

BUDDYZM | Modlitwa, post, jałmużna, ale też piłka nożna, lody i smartfon – codzienność dzieci-mnichów w jednym z buddyjskich klasztorów w Birmie. Skąd wzięli się tam najmłodsi?

Purpurowe podeszwy stóp to pierwsze, co widać po wejściu do świątyni Chaukhtatgyi w Rangunie, największym mieście Birmy (oficj. Mjanmy). Mają ponad sześć metrów długości i wyryto na nich 108 symboli związanych z buddyjską kosmologią. Pośrodku widnieje Koło Dharmy – symbol cyklu życia i śmierci. Wszystkie znaki wskazują jedno: oto święty, który zrezygnował ze świata doczesnego i panuje nad kosmosem. Przy 66-metrowym posągu leżącego Buddy nie sposób nie poczuć się małym. Złota szata, choć z betonu i tynku, ma realistyczne marszczenia, co nadaje konstrukcji lekkości.

Budda o słodkim spojrzeniu

Kolumny w świątyni wyłożono odłamkami szkła, w których odbija się twarz monumentalnego posągu. Na bladym licu odznaczają się karminowe, wąskie usta, a ciemne, szklane oczy sprawiają, że oblicze Buddy jest łagodne, a samo spojrzenie wierni nazywają „słodkim".

W pobliżu wznosi się kompleks drewnianych domów na wysokich palach, jakby lewitujących nad ziemią. W ich cieniu chronią się bezpańskie psy, a za uchylonymi okiennicami migoczą szafranowe szaty mnichów.

Na betonowej ławce siedzi kilku chłopców z wygolonymi głowami. Najmłodszy z nowicjuszy ma siedem lat. Zapytany, czego nie lubi w życiu mnicha, bez wahania odpowiada: „wstawania rano, gdy chce się pospać". Jego dzień zaczyna się o 5.30 śniadaniem i modlitwami, o 11 jest obiad i klasztorne nauki. ↦

↦ A co jest fajnego w byciu mnichem? – Datki wiernych – odpowiada ze szczerością brzdąc, co wywołuje śmiech nastoletnich kolegów.

Klasztorna dyscyplina porządkuje świat dzieci-mnichów, ale nie brakuje w nim elementów z codzienności ich świeckich rówieśników. Po godz. 16 grają w piłkę nożną i zośkę, uwielbiają słodycze i lody. Raz w tygodniu przez godzinę mogą używać smartfonów.

Szczyt społecznej hierarchii

Niektórzy chłopcy zostaną w klasztorze kilka tygodni, inni kilka lat. Jak tłumaczy politolog Michał Lubina z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ, rodzice wysyłają dziecko do wspólnoty, bo przynosi to rodzinie potężne zasługi duchowe. – Chłopiec, który przywdziewa mnisze szaty, automatycznie trafia na sam szczyt społecznej hierarchii. Wielokrotnie widziałem osoby starsze ustępujące miejsca dzieciom. Mnich, niezależnie od wieku, znajduje się jednocześnie w świecie i poza nim: z jednej strony dąży do nirwany, z drugiej wciąż funkcjonuje w rzeczywistości fizycznej – wyjaśnia ekspert.

Dla najmłodszych świat za murami bywa bolesnym wspomnieniem. – Wszystkie dzieci mają rodziców, ale oni są daleko. Wiele rodzin nie było stać na utrzymanie dzieci i szkołę, dlatego wysłali syna tutaj. Gdy ich sytuacja się poprawi, może wrócą do domów – tłumaczy 17-latek z klasztoru w Rangunie. A siedmiolatek? – Tak, on bardzo tęskni za mamą. Poświęcamy mu więcej uwagi, aby przyzwyczaił się do nowego otoczenia. Rodzice mogą do niego dzwonić, o ile mają telefon.

Niezbędnik mnicha

Birma nie ma oficjalnej religii, ale konstytucja z 2008 r. uznaje „szczególną pozycję buddyzmu". Według spisu z 2024 r. buddyści odłamu Therawada stanowią 91,3 proc. ludności, czyli ok. 46,8 mln osób. Ilu jest mnichów, nikt nie wie dokładnie; szacuje się ich na ok. 400 tys. Liczba ta bywa zmienna, bo zgodnie z tradycją każdy Birmańczyk powinien wstąpić do klasztoru dwa razy w życiu, pierwszy raz przed ukończeniem 20 lat.

Pierwsze założenie szat łączy się z ceremonią Shinbyu, odpowiednikiem dawnych postrzyżyn czy pierwszej komunii. Chłopcy w złotych, jedwabnych szatach, osłonięci baldachimem, wożeni są po ulicach w zaprzęgach z wołów lub koni. – Procesja ma symbolizować drogę Buddy, który był księciem, zanim porzucił doczesne dobra – wskazuje Lubina. Za dziećmi idą rodzice niosący szaty oraz miskę na jałmużnę, igłę i nić, brzytwę i sitko do filtrowania wody, by nie skrzywdzić żadnego owada. W sumie niezbędnik mnicha to osiem rzeczy; od tej pory nie będzie posiadał nic więcej.

Nowicjusz uczy się też recytować dziesięć przykazań: zakaz kradzieży, kłamstwa i zabijania istot żywych, wstrzemięźliwość od jedzenia między południem a wschodem słońca, celibat, zakaz spania w wygodnym łóżku i posługiwania się pieniędzmi.

To moment przejścia: **w jednej chwili chłopiec jest księciem, w drugiej obcinają mu włosy i staje się mnichem.** Bo życie w ułamku sekundy potrafi wywrócić się do góry nogami.

Birmańska mentalność

– To moment przejścia: w jednej chwili chłopiec jest księciem, w drugiej obcinają mu włosy i staje się mnichem. Amerykański antropolog Melford Spiro zauważył, że w wielu dzieciach rodziło to poczucie krańcowości: z codzienności przenosiły się na moment do raju, po czym ich świat się zawalał. Zdaniem naukowca ukształtowało to birmańską mentalność, opartą na przeświadczeniu, że nic nie jest na stałe, a życie w ułamku sekundy potrafi wywrócić się do góry nogami – mówi Lubina.

Według ludowych wierzeń człowiek nie jest w pełni człowiekiem, dopóki nie spędzi czasu w klasztorze. – Norman Lewis pisał, że dlatego kolonialiści nie byli uznawani za pełnowartościowych ludzi. Motyw wrócił w kontekście postkolonialnym: Aung San Suu Kyi krytykowano za to, że nie nauczyła synów mówić po birmańsku. Odpowiadała: „Ale za to wysłałam swoje dzieci na ceremonie Shinbyu" – wyjaśnia znawca Birmy.

Bezpieczna wyspa

Siedemnastolatek z Rangunu jest w klasztorze od 2021 r. Data nie jest przypadkowa – w lutym tamtego roku armia dokonała zamachu stanu, brutalnie przerywając dekadę demokratyzacji. Przewrót wywołał krwawo tłumione protesty i zaostrzył trwającą od 1948 r. wojnę domową. Według raportu ACLED z lipca 2026 r. od początku rządów junty zginęło ponad 100 tys. osób.

Z raportu ONZ wynika, że od połowy 2020 r. do końca 2023 r. odnotowano 5141 drastycznych przypadków łamania praw wobec 4089 dzieci. Za niemal 80 proc. odpowiadała armia i powiązane z nią bojówki. Najczęstszym przestępstwem – aż 40 proc. – było wcielanie nieletnich do wojska, kolejne 30 proc. dotyczyło zabójstw i okaleczania, istotną część stanowiły też porwania. Jednocześnie, jak odnotowała Międzynarodowa Organizacja Pracy, z powodu ubóstwa i kryzysu gospodarczego drastycznie wzrosła skala pracy dzieci, które zaczynają pracować już w wieku ośmiu lat. Dlatego klasztorne mury stały się bezpieczną wyspą: miejscem, gdzie dzieci mogą schronić się przed przemocą, dostać ciepły posiłek oraz podstawową i średnią edukację.

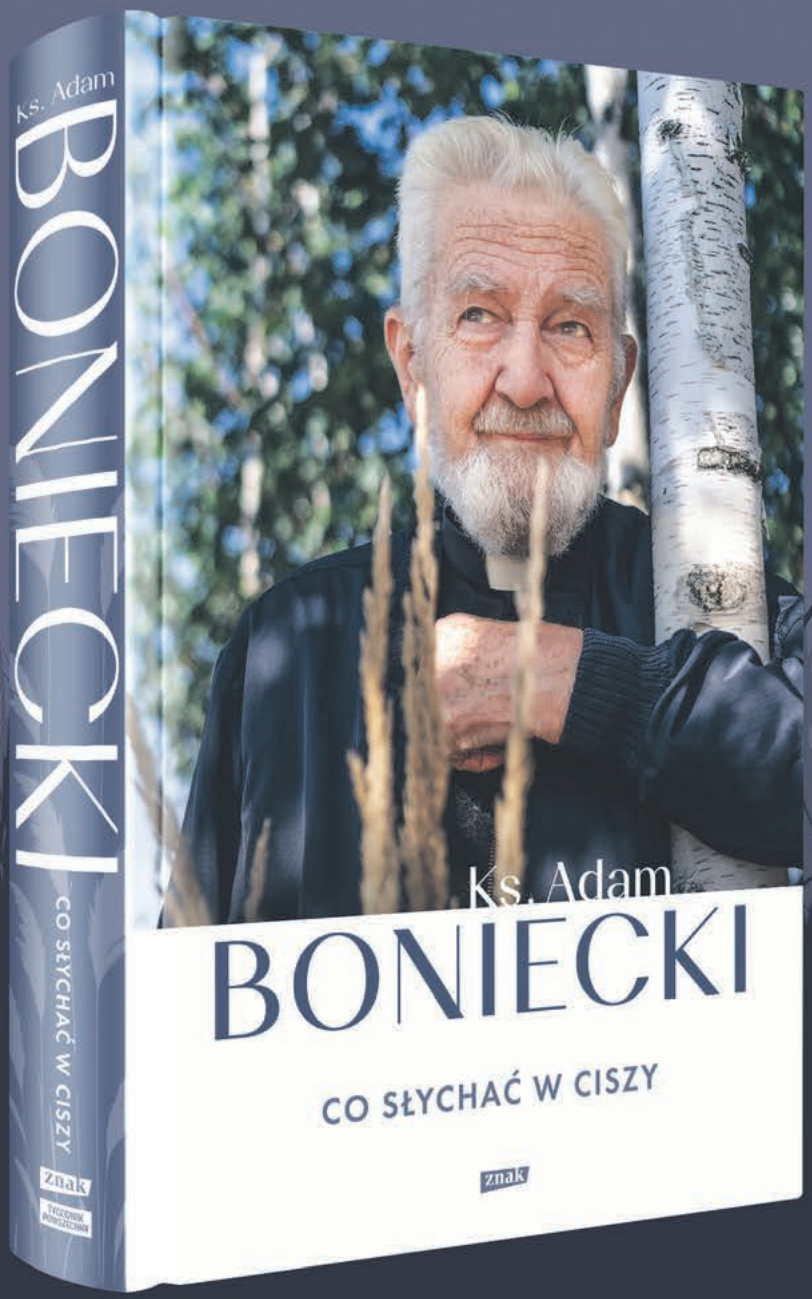
Lekcja panowania nad gniewem

Czy mnisi nie czują na plecach oddechu junty? Lubina przypomniał, że *sangha* nie ma sztywnej hierarchii, co utrudnia władzy kontrolę. – O poglądach politycznych decydują osobiste preferencje mnichów. Radykalni nacjonaliści religijni twierdzili, że mordowanie muzułmańskich Rohingja było obroną buddyzmu. Istnieje jednak drugie, demokratyczne skrzydło: to mnisi wzięli udział w Szafranowej Rewolucji w 2007 r., a w 2021 r. wyszli na ulice przeciw puczowi. Większość stoi jednak z boku polityki, starając się po prostu przeżyć – podkreśla birmanista.

Tę postawę potwierdza nastoletni mnich z Rangunu. Zapytany, czego najbardziej nauczyło go życie w klasztorze, odpowiedział krótko: „Kontrolować gniew i panować nad sobą".

© MARTA ZABŁOCKA

Potrzebujesz oddechu, dystansu i mądrego przewodnictwa w codziennej gonitwie myśli?



Dla wierzących, wątpiących i pragnących zachować nadzieję

znak TYGODNIK POWSZECHNY

REKLAMA

O. WACŁAW

Oszajca:
Ewangelia i żółtaczka



W Ewangelii Mateusza Jezus mówi: „»Byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; byłem spragniony, a nie daliście Mi pić; byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie; byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie; byłem chory i w więzieniu, a nie zatroszczyliście się o Mnie«. Wtedy oni zapytają: »Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym lub spragnionym, przybyszem lub nagim, chorym lub w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?«. Wtedy im odpowie: »Zapewniam was: czego nie zrobiliście dla jednego z tych najmniejszych, tego nie zrobiliście dla Mnie«. I pójdą oni na wieczną mękę, a sprawiedliwi do życia wiecznego". Jak widać, krzywdząc ludzi, krzywdzimy Boga, uszczęśliwiając ludzi, uszczęśliwiamy Boga. Nie można Boga rozradować, zasmucając ludzi.

Inny ewangelista, Jan, podaje inną wersję powyższej wypowiedzi Jezusa. Opis kończy zdanie: „Ci, którzy czynili dobro, zmartwychwstaną do życia, ci natomiast, którzy czynili zło, zmartwychwstaną na sąd". Jaki wyrok na tej rozprawie zapadnie, nie nam przesądzać. Nie przystoi człowiekowi zaglądać Panu Bogu przez ramię. Co innego powinno nas interesować. Zostawmy Pana Boga w spokoju. Przestańmy nieustannie jęczeć: „przemień, o Jezu, smutny ten czas". To nie Bóg się na nas zagniewał, ale my na Niego. Nie On demoluje świat, ale my, Jego dzieci. Nie On przestał w nas wierzyć, ale my w Niego. Tak więc to nie Bóg ma zmienić swoje nastawienie do nas, ale my do Niego.

Gdyby naprawdę Bóg był zdolny do gniewu i odrzucenia kogokolwiek, z całą pewnością nikt z nas nigdy by nie zaistniał. A jednak istniejemy i czasami bywamy aż szczęśliwi. Do nieba się jednak nie śpieszmy, mamy tu jeszcze sporo do zrobienia. Źródłem naszego szczęścia jest wysiłek, jaki podejmujemy, by „zło zwyciężać dobrem". I nie chodzi o żadne cuda, czasami o przypomnienie np. o obowiązku używania rozumu. Gdy niegdyś jeden z polskich biskupów z powodu panującej w jego diecezji epidemii żółtaczki prosił proboszczów, aby powiadomili diecezjan o możliwości przyjmowania Hostii na rękę, niektórzy z nich na tę prośbę pozostali głusi. Czyżby nie wiedzieli, że „wiara i rozum są jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy" – przede wszystkim prawdy o królestwie Bożym, które jest ciągle w budowie? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Personalizm Jezusowy



Niedawno Liturgia skonfrontowała nas z dwiema bliźniaczymi przypowieściami Jezusa – o zagubionej owcy i o zgubionej drachmie. Obie zamyka ten sam refren: „w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia (...) Tak samo, radość powstaje u aniołów Bożych z powodu jednego grzesznika, który się nawraca" (zob. Łk 15, 1-10).

W tych dwóch przypowieściach otrzymujemy mocno skondensowaną lekcję Jezusowego personalizmu. Jezus pokazuje nam najpierw, że dla „nieba" (to znaczy po prostu dla Boga) i Jego aniołów liczy się zawsze jednostka, osoba; liczy się jeden człowiek, a nie „stado", tłum (99 owiec); liczy się jeden człowiek, a nie liczba, numer, statystyka (99 procent)!

„To by już nam wystarczyło..." – śpiewają bracia w Neokatechumenacie. Na tym jednak Jezusowa lekcja się nie kończy; ona się dopiero teraz tak naprawdę rozpoczyna. Bo ten „jeden", o którego Chrystus się upomina – o którego zabiega z największą miłością i szacunkiem – to osoba zagubiona. Jezus pokazuje nam, że personalizm mierzy się ostatecznie stosunkiem do tego, który „zginął", nie do tych, „którzy nie potrzebują nawrócenia". Kim jest i ile znaczy dla ciebie człowiek, pokazujesz w spotkaniu nie ze świętymi i pobożnymi, ale z tymi, którzy swoimi decyzjami sami wykluczają się ze społeczeństwa. G.K. Chesterton napisał kiedyś, że św. Franciszek swoją miłość do człowieka (i do ukrytego w nim Jezusa) pokazał nie wtedy, kiedy klękał przed papieżem, ale wtedy, kiedy klękał przed trędowatym i całował go w usta.

Jezus nie mówi w tych przypowieściach o trędowatych. Mówi o tych, którzy właśnie go otoczyli, aby Go słuchać (zob. Łk 15, 1): o celnikach i grzesznikach. To tych „przyjmuje" i „z nimi jada" – ku zgorszeniu faryzeuszy i uczonych w Piśmie.

Oto personalizm Jezusa: uwaga skupiona na jednym oraz głęboki szacunek dla grzesznika! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Szmaty*



Śpicie spokojnie, a tymczasem wielka kupa szmat krąży po Europie. Oczywiście nie jest to dokładnie ta wielka kupa, którą na strychu rodzinnego domu opisuje w intymnej, rodzinnej opowieści „Szmaty" Karolina Lewestam. Jej książka mówi o ważnych w jej życiu kobietach i o stawaniu się kobietą, a kupa szmat staje się przestrzenią, przy której one wszystkie się spotykają, tworzą kobiecą wspólnotę, która obejmuje także ich niespełnione marzenia, problemy, impulsywność, pragnienia, pomysły na siebie. Tak kupa szmat, wyławianych umiejętnie (lub nie) z przygranicznego lumpeksu, tworzy nowe światy i możliwości okresu ustrojowej transformacji.

Moja kupa szmat, krążąca w paczkach i szmacianych workach trzy dekady później, jest niby nie ta sama, ale cechy ma podobne. I może najbardziej jest o byciu i stawaniu się matką. Też łączy kobiety, choć szmaty są głównie dziecięce, a w najlepszym przypadku ciążowe lub do karmienia. Też jest w niej jakaś czułość, przyjaźń, trochę aspiracji, żeby dobrze ubrać potomka lub dać świetny ciuch na ten specjalny czas kuzynce, przyjaciółce, wreszcie nawet koleżance koleżanki.

Jak u matek Lewestam, które wyciągały z kupy ciuch, by idealnie dopasować go którejś ze zgromadzonych, tak ja sortuję ubranka, z których wyrosła moja córka, i dzielę na dwie, a czasem trzy młodsze dziewczynki, szacując, jaki rozmiar będą nosić w danej porze roku, co kiedy się przyda. Chwilę później przebieram ciuchy po córce koleżanki, które dostałyśmy my. W tym samym czasie gdzieś daleko córka mojego chrzestnego pakuje noworodkowe ciuszki po swoim synu, by wysłać je dla mojego jeszcze nienarodzonego (a jej mama dodaje własne przetwory). Ten już ma zresztą pełną komodę, po starszej siostrze, po synu sąsiadki i po kuzynie oraz synku przyjaciółki z podstawówki, który donaszał nasze rzeczy. Jego mama odesłała nam je z „procentem", czyli tym, co sama dostała.

Jaka więc była moja radość, gdy okazało się, że współpracownik mojej przyjaciółki gdzieś na Podhalu też spodziewa się chłopca w lutym! Doskonale. Wielka kupa szmat zyskuje nową destynację.

Możecie się śmiać albo ziewać z nudów, ale dystrybucja szmat pochłania w ostatnich dwóch latach sporo mojej uwagi i czasu. I choć wokół mamy zaangażowanych ojców, piorących, składających pranie i ubierających dzieci, to jakoś dystrybucja szmat wciąż jest zajęciem kobiet. A może i sposobem na budowanie więzi, bo nie dalej jak tydzień temu wyjaśniałyśmy z Kasią jej przyjaciółce z liceum, że my znamy się właśnie z tego, że kaskada rzeczy po niej i jej córce została przekierowana na mnie i moją. A po szmatach przyszła relacja.

Czy zatem krążenie kupy szmat to tylko gałąź domowej ekonomii? Nie, bo coś ważnego, ale też zwyczajnego i ludzkiego odbywa się między nami wszystkimi, zarówno na kawach i lunchach, na które przychodzimy objuczone szmatami, jak i wtedy, gdy pakujemy te paczki.

Czasem w nasze relacje, budowane na szmatach, zaplącze się ślad czyjejś czułości do jakiegoś obcego dziecka. Moja mama ma niebywałą umiejętność wynajdywania w lumpeksie dzierganych ręcznie z najdelikatniejszej wełny skandynawskich sweterków. Za każdym razem mówi: „Jakaś skandynawska babcia robiła ten sweter z wielką miłością". I owszem, widać to po nich. A potem moja uśmiechnięta mała dziewczynka gładzi z zadowoleniem delikatny sweter, który wygrzebała sobie z szuflady. Codziennie zagląda do niej, przebierając i układając pierwsze zdania. „Nie ten. Ten" – mówi z satysfakcją i uporem, wyławiając kolejne cudo.

Zatem szmaty są o relacjach, ale ekonomia też jednak ma tu znaczenie, choć wszystkich nas byłoby pewnie stać na kupienie tego wszystkiego od nowa. Tylko po co, skoro po trzech miesiącach rozmiar się zmienia albo dziecko czegoś po prostu nie nosi. Przyzwyczajona do obiegu szmat wychodzę chora ze sklepów, gdy czegoś mi brakuje. Zdumiewają mnie ceny, niewiele mniejsze od tych dla dorosłych, choć materiału zużyto zdecydowanie mniej, ale też męczy nadmiar połączony z tym, że ostatecznie nie znajduję tego, czego mi potrzeba.

Najgorzej, gdy w gorącym sklepie nawigujesz w wózku zimowo ubranego niemowlaka tak, by szybko coś załatwić, a w kluczowym miejscu ryczy na niego z głośnika inwazyjna muzyka. Zatem od bycia matką, która stara się przetrwać w dużym mieście, wolę ograniczony wybór szmat po cudzych dzieciach. Niektóre z nich krążą od dawna, co sprawia, że mają więcej bawełny niż te nowe. A już ciążowy piętnastoletni płaszczyk, który ma 70 proc. wełny i zero recyklingowanego poliestru, uważam za skarb, który trzeba z troską posyłać dalej. Czekam właśnie na dwie paczki dla noworodka, spakowałam dwa worki ciuchów, z których wyrosła prawie dwulatka. I idę zaraz na strych, by wspomniany płaszczyk wysłać z innymi rzeczami do ciężarnej gdzieś na południu Polski. Adresatki i nadawczynie tych worków i paczek pewnie nigdy się nie spotkają, ale i tak stanowią dla siebie w tym nuklearnym świecie matek ciepły krąg wsparcia. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

NAUKA

SPERMAGEDON

W ciągu kilku dekad znacząco spadła liczba i jakość produkowanych przez mężczyzn plemników. Czy to oznacza, że czeka nas kryzys reprodukcyjny?

KASPER KALINOWSKI



W 1677 r. holenderski student medycyny Johan Ham dostrzegł pod mikroskopem coś, czego nikt wcześniej nie opisał z podobną dokładnością. W próbce wydzieliny zawierającej ropę i ludzkie nasienie zobaczył maleńkie, poruszające się stworzenia. Miały ogony i, jak twierdził, nie przeżywały dłużej niż dobę. Podejrzewał, że mogą mieć związek z chorobą mężczyzny, od którego pochodziła próbka. Ten cierpiał prawdopodobnie na rzeżączkę.

Ham zaniósł próbkę Antoniemu van Leeuwenhoekowi, kupcowi, wynalazcy i przyrodnikowi samoukowi, twórcy najdoskonalszych w tamtym czasie mikroskopów. Ten postanowił sprawdzić, czy podobne stworzonka znajdują się również w nasieniu zdrowego człowieka. Przeanalizował więc własne, pobrane natychmiast po stosunku małżeńskim. Również dostrzegł olbrzymią liczbę ruchliwych struktur przypominających kijanki.

Odkrycie było tak osobliwe, że Leeuwenhoek napisał o nim do władz Towarzystwa Królewskiego w Londynie z wyraźnym zakłopotaniem. „Jeśli Wasza Lordowska Mość uzna, że obserwacje te mogą obrzydzić uczonych lub wywołać skandal, szczerze błagam Waszą Lordowską Mość, aby uznał je za prywatne i opublikował lub zniszczył je według własnego uznania" – zastrzegał w liście. Na szczęście dla nauki jego obserwacje opublikowano w „Philosophical Transactions", oficjalnym czasopiśmie Towarzystwa.

Długo jeszcze nie rozumiano, czym są te stworzenia i jaką rolę odgrywają w powstawaniu życia. W 1694 r. Nicolaas Hartsoeker narysował plemnik z maleń-

kim człowiekiem w główce. Nie twierdził, że go widział – zilustrował jedną z ówczesnych hipotez, zgodnie z którą rola kobiety w rozmnażaniu sprowadzała się wyłącznie do zapewnienia nowemu życiu odpowiednich warunków rozwoju (podobnie jak żyzna gleba umożliwia zasianemu ziarnu wzrost). Komórkę jajową ssaka odkryto dopiero półtora wieku po obserwacjach Leeuwenhoeka.

Van Leeuwenhoek i Johan Ham, o czym nie mogli wiedzieć, odkryli jedną z najmniejszych komórek ludzkiego ciała. W sprzyjających warunkach plemniki potrafią przetrwać w drogach rodnych kobiety nawet pięć dni. Natura produkuje je z zadziwiającą rozrzutnością. Mężczyzna wytwarza każdego dnia dziesiątki milionów maleńkich plemników, podczas gdy kobieta w ciągu całego życia uwalnia zazwyczaj zaledwie 400–500 komórek jajowych (stworzenie każdej z nich wymaga znacznie większych inwestycji zasobów). Nawiasem mówiąc, w tej fundamentalnej asymetrii, powszechnej w świecie zwierząt, biolodzy ewolucyjni upatrują źródeł wielu różnic w zachowaniu samców i samic – także naszego gatunku – które kultura może dodatkowo uwydatniać.



BURGER / PHANIE / EAST NEWS

Przechowywane w ciekłym azocie ludzkie zarodki i próbki nasienia, Laboratorium Medycznie Wspomaganej Prokreacji, Szpital Uniwersytecki w Bordeaux.

Nie wiemy, jakie nasienie mieli mężczyźni w XVII w. Wiemy natomiast, że w ostatnich kilkudziesięciu latach naukowcy zaczęli obserwować niepokojące zmiany jego jakości. Niektóre badania sugerują, że współczesny mężczyzna produkuje o połowę mniej plemników niż jego dziadek.

Kryzys nasienia

Pierwszy alarm rozległ się w 1992 r. Zespół duńskich naukowców kierowany przez Elisabeth Carlsen przeanalizował 61 publikacji z lat 1938-1991, obejmujących dane na temat nasienia niemal 15 tys. mężczyzn. Oszacowali oni, że średnia koncentracja plemników spadła ze 113 milionów na mililitr w 1940 r. do 66 milionów pół wieku później. Wyniki ogłoszone w „British Medical Journal" wywołały debaty, które trwają do dziś.

Kolejny wstrząs przyszedł w 2017 r. Zespół Hagai Levine'a, w którego skład wchodziła epidemiolożka Shanna Swan, przejrzał dane ze 185 badań obejmujących blisko 43 tys. mężczyzn. Ich analiza pokazała, że w latach 1973-2011 średnia koncentracja plemników (standardowo podawana na mililitr nasienia) u mężczyzn z krajów zachodnich spadła o ponad 52 proc., a całkowita liczba plemników w ejakulacie – o ponad 59 proc.

W 2023 r. ci sami autorzy opublikowali zresztą kolejną analizę. Objęła 223 badania, z próbkami pobranymi w latach 1973-2018. Tym razem obserwowany spadek koncentracji plemników wyniósł ponad 51 proc., a ich całkowita liczba spadła o ponad 62 proc. Sugerowano przyspieszenie spadku po 2000 r., a niepokojący trend odnotowano również poza krajami zachodnimi.

Zjawisko doczekało się chwytliwej medialnie nazwy: „spermagedon".

– „Spermagedon" brzmi jak tytuł filmu katastroficznego. Powody do niepokoju rzeczywiście są. Trzeba jednak pamiętać, że w tych alarmujących badaniach przeglądowych zestawiono wyniki różnych grup osób, badanych w różnych krajach ↦

↦ i dekadach, a nie kolejnych pokoleń tych samych rodzin. Z takich danych nie da się wyznaczyć terminu, kiedy ludzkość przestanie się rozmnażać – wyjaśnia dr n. med. Andrzej Jaworowski, ginekolog z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Niepokój podsycały dane z banków nasienia. W chińskiej prowincji Hunan w latach 2001-2015 przebadano ponad 30 tys. kandydatów na dawców. Odsetek zakwalifikowanych spadł z 55,8 do 17,8 proc. Zmniejszyła się obserwowana średnia koncentracja plemników. Kandydaci na dawców nie są jednak reprezentatywną próbą wszystkich mężczyzn, a wymagania banków bywają bardziej rygorystyczne niż kliniczne wartości referencyjne. W chińskich mediach zaczęły się jednak pojawiać nagłówki o „kryzysie nasienia".

Wspomniana Shanna Swan to także autorka niewydanej po polsku książki „Count Down", w której porównała plemniki do kanarka zabieranego kiedyś przez górników pod ziemię. Ptak reagował na trujące gazy, zanim człowiek zdążył je wyczuć. Czy plemniki również ostrzegają przed zagrożeniem, którego jeszcze nie dostrzegamy?

Jak czytać dane

Gdyby w tej historii nie było więcej wątków, wniosek wydawałby się oczywisty.

Trzeba jednak pamiętać, jak zaznaczył już dr Jaworowski, że metaanalizy łączą wyniki badań prowadzonych w różnych krajach i przez wiele dekad. Zmieniają się laboratoria, sposoby pobierania próbek i liczenia plemników oraz dobór uczestników. Znaczenie może mieć nawet długość abstynencji seksualnej.

Dlatego interesująca jest duńska publikacja z 2026 r. W latach 1996-2022 zbadano w Kopenhadze 8320 młodych mężczyzn rekrutowanych w związku z kwalifikacją do wojska. Nie stwierdzono systematycznego pogarszania się parametrów nasienia, a wręcz niewielki wzrost jego jakości. Mediana koncentracji plemników wzrosła z 44 do 49 milionów na mililitr między pierwszym a ostatnim analizowanym okresem. Autorzy zastrzegają jednak, że poprawa może wynikać z przypadkowych wahań. Zaś u 36 proc. uczestników przynajmniej jeden parametr nasienia pozostawał poniżej wartości sugerowanej przez WHO. Zaobserwowana stabilność niekoniecznie więc oznacza dobry stan zdrowia reprodukcyjnego.

– Również amerykańska metaanaliza opublikowana w „Fertility and Sterility" w 2025 r. nie potwierdziła równie gwałtownego spadku stężenia plemników, chociaż w jednym z modeli statystycznych wykazano niewielki jego spadek. Te wyniki nie podważają jednak wcześniejszych obserwacji. Pokazują natomiast, że wiele zależy od badanej populacji i sposobu analizy, a opowieść o jednakowym, nieuchronnym pogarszaniu się płodności wszystkich mężczyzn jest zbyt uproszczona – mówi dr Jaworowski.

Co zabija plemniki

Jeżeli liczba plemników rzeczywiście maleje w wielu populacjach, pozostaje pytanie o przyczyny. Jądra są wrażliwe na temperaturę, infekcje, zaburzenia hormonalne i niektóre leki. Znaczenie mogą mieć też otyłość, palenie tytoniu, aktywność fizyczna i ekspozycja na związki chemiczne. W dodatku zaburzenie widoczne dziś mogło zacząć się już w życiu płodowym.

– Nie potrafimy wskazać jednej przyczyny obserwowanych zmian. Wiemy natomiast, że otyłość, palenie tytoniu, mała aktywność fizyczna i duże spożycie

REKLANA



alkoholu wiążą się z gorszą jakością nasienia. Badamy także wpływ zanieczyszczeń i substancji zaburzających działanie hormonów. Nie sprowadzałbym więc problemu do rady „proszę zdrowiej żyć". Styl życia ma znaczenie, ale nie każda przyczyna niepłodności zależy od pacjenta – zastrzega dr Jaworowski.

Być może kluczowy wniosek jest ten: jakość nasienia jest nie tylko wskaźnikiem zdrowia reprodukcyjnego, lecz także barometrem ogólnego stanu zdrowia i warunków środowiskowych. Dotyczy to nie tylko nas.

W 1980 r. do jeziora Apopka na Florydzie przedostały się pestycydy. W kolejnych latach u tamtejszych aligatorów obserwowano poważne problemy z reprodukcją. U młodych samców stwierdzano zaburzenia hormonalne i nieprawidłowy rozwój narządów płciowych, a liczba młodych zwierząt gwałtownie spadła. Podejrzewano działanie substancji zaburzających gospodarkę hormonalną. Nie dowiedziono jednak, że za wszystkie zmiany odpowiadał jeden związek.

Jeszcze bardziej osobliwe wyniki uzyskał biolog Tyrone Hayes badający atrazynę – herbicyd wykorzystywany w rolnictwie. W eksperymencie opisanym w 2010 r. około 10 proc. genetycznych samców afrykańskiej żaby szponiastej narażonych na tę substancję rozwinęło się w funkcjonalne samice, zdolne do składania jaj.

Nie oznacza to oczywiście, że to samo dzieje się u ludzi. Liczą się gatunek, dawka i moment narażenia. Badania epidemiologiczne wiążą ekspozycję na niektóre ftalany, pestycydy i zanieczyszczenia powietrza z gorszymi parametrami nasienia. Wiele zależności pozostaje jednak nieznanych. Poza tym badania tego typu nie pozwalają na wnioskowanie przyczynowo-skutkowe.

Być może zaobserwowany problem wykracza poza samo zapłodnienie. W 2025 r. duńscy naukowcy opublikowali w „Human Reproduction" wyniki badania ponad 78 tys. mężczyzn, którzy trafili na analizę nasienia w związku z trudnościami par w uzyskaniu ciąży. Dzięki rejestrom obserwowano ich losy nawet przez pół wieku.

Mężczyźni z największą liczbą ruchliwych plemników mieli przewidywaną długość życia o 2,7 roku większą niż ci z bardzo małą ich liczbą. Zależność utrzymywała się po uwzględnieniu w analizie niektórych czynników zdrowotnych i społecznych.



BURGER / PHANIE / EAST NEWS

Jakość nasienia jest nie tylko wskaźnikiem zdrowia reprodukcyjnego, lecz także barometrem ogólnego stanu zdrowia osobnika i warunków środowiskowych. **Dotyczy to nie tylko ludzi.**

Nie znaczy to, że plemniki przedłużają życie. Mogą natomiast sygnalizować procesy, które równocześnie pogarszają funkcjonowanie układu rozrodczego i zwiększają ryzyko chorób.

Kto będzie miał dzieci

Shanna Swan ostrzega we wspomnianej książce „Count Down" przed przyszłością, w której poczęcie dziecka będzie coraz trudniejsze. Obraz gatunku tracącego zdolność rozmnażania działa na wyobraźnię. Na podstawie obecnie dostępnych danych nie da się jednak obliczyć daty, w której plemniki *Homo sapiens* stracą datę ważności. Wymagałoby to założenia, że dotychczasowy trend będzie trwał niezmiennie. W biologii jednak tak proste prawidłowości są rzadkością.

– Przede wszystkim o połowę mniej plemników nie oznacza o połowę mniejszych szans na dziecko. Liczą się również ich ruchliwość, budowa oraz zdrowie obojga partnerów. Wynik badania nasienia nie jest prostym testem z odpowiedzią „płodny" albo „niepłodny". Obniżone wartości nie muszą przekreślać naturalnego poczęcia, a prawidłowe nie gwarantują ciąży – wyjaśnia dr Jaworowski.

Według WHO około jedna na sześć dorosłych osób doświadcza niepłodności na pewnym etapie życia (definiowanej jako niemożliwość uzyskania ciąży po 12 miesiącach regularnego współżycia bez stosowania antykoncepcji). To zatem poważny problem zdrowia publicznego. Nie znaczy to jednak, że co szósta osoba jest trwale bezpłodna, ani że spadająca liczba urodzeń wynika głównie z biologii. Znaczenie mają również czynniki społeczne – takie jak późniejsze decydowanie się na rodzicielstwo czy sytuacja ekonomiczna.

Trzeba też rozumieć, czym są wartości referencyjne sugerowane przez WHO. Według wytycznych tej organizacji z 2021 r. dolna granica normy dla koncentracji plemników wynosi 16 milionów na mililitr. To nie jest jednak granica, poniżej której zapłodnienie staje się niemożliwe. Wyznaczono ją na podstawie wyników mężczyzn, których partnerki zaszły w ciążę. Sama liczba nie zastąpi pełnej diagnozy.

Plemniki stale produkowane są na nowo, dlatego po usunięciu niektórych szkodliwych czynników ich parametry mogą się poprawić. Nie każde zaburzenie jest jednak odwracalne.

– Najważniejszy praktyczny wniosek? Gdy para ma trudności z zajściem w ciążę, od początku badamy oboje partnerów. Nie ma uzasadnienia, by miesiącami diagnozować wyłącznie kobietę, a badanie nasienia zostawiać na koniec. Nieprawidłowy wynik warto powtórzyć i omówić ze specjalistą. Badanie nasienia nie jest egzaminem z męskości. Ma pomóc znaleźć przyczynę problemu, a nie wskazać winnego – podkreśla dr Jaworowski.

Leeuwenhoek nie wiedział, że obserwuje jeden z warunków istnienia naszego gatunku. Dziś znamy budowę i rolę plemników, ale wciąż spieramy się, co mówią nam o zdrowiu współczesnego człowieka.

Określenie „spermagedon" jest nośne, ale niekoniecznie wskazuje na najważniejszy problem. Sugeruje katastroficzną wizję, zachęcając do snucia refleksji nad tym, czy czeka nas zagłada. Nauka musi zacząć od innego pytania: dlaczego tak wielu ludziom trudno doczekać się dziecka i co możemy z tym zrobić?

© KASPER KALINOWSKI

Zakochani w wizji

MONIKA A. KOPERSKA

TECHNOLOGIE | Często słyszymy o przełomowych wynalazkach, ale znacznie rzadziej spotykamy je w rzeczywistym świecie. Nieudane rewolucje mogą być jednak równie pouczające jak te dokonane.

Przez lata pracowałam jako konsultantka naukowa przy produkcjach popularnonaukowych. Miałam okazję przyglądać się od kuchni nie tylko temu, jak opowiada się o nauce, ale również temu, jak nauka opowiada o sobie. Przez moje ręce przechodziły historie polskich start-upów, laureatów konkursów i spółek debiutujących na giełdzie. Często wszystko wyglądało pięknie, dopóki nie próbowaliśmy sfilmować efektów wdrożenia.

O technologii można było znaleźć artykuły, wywiady i zdjęcia z wręczenia nagród. Znacznie trudniej było znaleźć kogoś, kto z niej korzystał.

Przyszłość z fusów

Weźmy polski autonomiczny autobus firmy Blees. Jeździ, rozpoznaje otoczenie za pomocą kamer, radarów i lidarów, przewozi pasażerów. Jesienią 2025 r. na wrocławskim cmentarzu przewiózł ponad 1200 osób. Na pokładzie czuwał wprawdzie operator bezpieczeństwa, ale testy przebiegły bez niebezpiecznych incydentów wymagających nagłej interwencji. Sukces? Niewątpliwie. Tyle że miasto ostatecznie zaczęło poszukiwać innego rozwiązania. Autobus okazał się zbyt duży i ciężki na wąskie, częściowo żwirowe alejki. Technologia zadziałała, lecz produkt nie spełnił wszystkich oczekiwań konkretnego odbiorcy. Trudność, której nie sposób było dostrzec na efektownej prezentacji wynalazku, ujawniła się w codziennym użytkowaniu.

Albo inny start-up, EcoBean (wybrany start-upem roku przez Money.pl w 2024 r.), który postanowił zrobić biznes na fusach po kawie. Początkowo opracowano technologię pozwalającą wytwarzać z nich brykiety opałowe. Przeprowadzono udany pilotaż i przygotowywano wejście na rynek. Jednak ograniczona opłacalność rozwiązania, wątpliwości związane ze spalaniem oraz pandemia, która w kluczowym momencie odcięła dostęp do surowca z kawiarni, sprawiły, że twórcy wrócili do laboratorium. Zamiast spalać fusy, postanowili odzyskiwać z nich wartościowe substancje dla przemysłu kosmetycznego i chemicznego. Pomysł wykorzystania odpadu nie przestał istnieć, zmieniła się jedynie wizja jego wykorzystania. Dawne artykuły w sieci pozostały, choć opowiadały już o innej przyszłości niż ta, nad którą obecnie pracowali wynalazcy.

Bywa jednak i tak, że technologia rozwija się w laboratorium, podczas gdy jej medialny odpowiednik zdążył już dokonać rewolucji. W Polsce od kilku lat słyszymy również o bionicznej trzustce drukowanej w technologii 3D. W doniesieniach prasowych pojawiały się sformułowania o trzustce gotowej do przeszczepu i zapowiedzi pierwszych zabiegów u ludzi.

Projekt firmy Polbionica rzeczywiście przyniósł ważne rezultaty naukowe, ale kiedy przyjrzymy się publikacji zespołu z czerwca 2026 r., okaże się, że opisuje ona znacznie bardziej ograniczony etap prac. Naukowcy wszczepili czternastu świniom biodrukowane konstrukcje tkanki trzustkowej, badając ich unaczynienie i zdolność utrzymywania przepływu krwi. U trzech zwierząt udało się udokumentować przepływ utrzymujący się przez cztery tygodnie. Badanie nie obejmowało natomiast oceny funkcji hormonalnej ani tego, czy mogłaby ona zastąpić działającą trzustkę. Autorzy sami wskazują takie eksperymenty jako zadanie na przyszłość.

To rzeczywiste osiągnięcie przedkliniczne. Tylko czy odbiorca czytający nagłówki o przeszczepieniu bionicznej trzustki wyobraża sobie taki właśnie eksperyment? Medialna opowieść o gotowym narzędzie może znacznie wyprzedzać wyniki przedstawione w konkretnej publikacji naukowej. I czyja to właściwie wina? Mediów, które potrzebują sensacyjnych nagłówków? Naukowców, którzy chcą zainteresować świat swoją technologią? A może nas wszystkich, bo chętniej czytamy o wydrukowanej trzustce niż o kolejnych doświadczeniach nad unaczynieniem modelu tkankowego? W tej różnicy między tym, co już istnieje, a tym, co dopiero obiecujemy, kryje się cały dramat narodzin wynalazku.

Jedna kropla krwi

Elizabeth Holmes obiecała światu rewolucję w diagnostyce medycznej. Zamiast strzykawek i laboratoriów – kilka kropli krwi pobranych z palca. Zamiast kosztownych badań – niewielkie urządzenie pozwalające oznaczyć dziesiątki, a docelowo setki parametrów. Idea wydawała się genialna i właśnie dlatego łatwo było się w niej zakochać. Holmes przekonała do niej media, polityków i inwestorów, od których zebrała setki milionów dolarów, choć technologia nie działała tak, jak obiecywała. Według ustaleń amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd (SEC) własne urządzenie założonej przez Holmes firmy Theranos (w swoim szczycie wycenianej na 9 mld dolarów) wykorzystywano do wykonywania zaledwie dwunastu oferowanych pacjentom testów, a znaczną część pozostałych badań realizowano na aparaturze innych producentów.

W 2022 r. Holmes została skazana za oszukiwanie inwestorów i odbywa karę przeszło 11 lat więzienia. Można by uznać, że sprawa jest zamknięta: znamy winnego, wyrok i morał. Tymczasem w listopadzie do kin trafił dokument Nathana Fieldera i Lance'a Oppenheima „Zobaczysz wszystko" („You Can See Everything"), który zamiast ponownie udowodnić jej winę, prowokuje do przyjrzenia się człowiekowi kryjącemu się za oszustwem. Reżyserzy z komicznym wręcz uporem śledczych wracają do wypowiedzi Holmes, badają ich kontekst i sprawdzają najdrobniejsze szczegóły. Przecież wiemy, że kłamała. Po co jeszcze raz wszystko sprawdzać?

A jednak zaczynamy wątpić. Nie w ustalenia sądu, lecz we własne rozumienie tej



ŁUKASZ KALINOWSKI / EAST NEWS

Testy autonomicznego minibusa firmy Blees na kampusie Politechniki Śląskiej. Gliwice, 24 listopada 2023 r.

historii. Czy część obietnic Holmes wynikała z przekonania, że technologia w końcu dogoni wizję? Czy ludzie z jej otoczenia również nie próbowali wykorzystać tej wizji dla własnych korzyści? Film daje nam niemal trzy godziny na samodzielny osąd i pozornie nieograniczony dostęp do prywatnego życia bohaterki. Oglądamy ją jako matkę karmiącą dziecko, partnerkę, kobietę, która płacze, śmieje się i flirtuje. Kamera towarzyszy jej pod prysznicem, wskakuje z nią do oceanu. Jesteśmy znacznie bliżej, niż wydaje się to konieczne do oceny działania analizatora krwi. Ale właśnie ta bliskość sprawia, że symbol start-upowego oszustwa zaczyna budzić naszą sympatię. Im więcej o Holmes wiemy, tym trudniej zachować wobec niej obojętność.

W fizyce zasada nieoznaczoności Heisenberga opisuje fundamentalne ograniczenie jednoczesnej precyzji, z jaką można określić pewne pary wielkości fizycznych, na przykład położenie i pęd cząstki. Ludzkie emocje nie podlegają oczywiście równaniom mechaniki kwantowej, ale metafora jest kusząca. W filmie Fieldera i Oppenheima próbujemy jednocześnie uchwycić prawdę o działaniach Holmes i prawdę o niej samej. Im więcej dowiadujemy się o jej życiu, tym bardziej angażujemy się emocjonalnie, a kiedy zaczyna nam na kimś zależeć, coraz trudniej oceniać go wyłącznie na podstawie faktów. Otrzymujemy coraz więcej informacji, a mamy coraz więcej wątpliwości.

Ta prawidłowość dotyczy nie tylko przypadku Holmes, ale wielu potencjalnie rewolucyjnych wynalazków i doniesień na ich temat. Im mocniej skupiamy uwagę na sensacyjności odkrycia, tym łatwiej tracimy z pola widzenia rzetelność dowodów. Kiedy zaś zaczynamy je analizować, okazuje się często, że przed nami nie stoi gotowa rewolucja, lecz fascynujący, choć niedoskonały prototyp. To nie prawo fizyki, lecz nasza skłonność do kierowania uwagi tam, gdzie czeka nas największa emocjonalna nagroda. Czasem zamiast dowodów wybieramy zachwyt.

Theranos po polsku

Kiedy Holmes budowała swoje imperium diagnostyki z kropli krwi, w Polsce dojrzewała podobna obietnica. Spółka PZ Cormay pracowała nad urządzeniem BlueBox, które miało umożliwiać szybkie wykonywanie wielu badań z jednej kropli krwi, bez centralnego laboratorium. Brzmi znajomo? W 2013 r. ówczesny prezes Tomasz Tuora przedstawiał perspektywę miliardowych przychodów, a urządzenia miały w ciągu pięciu lat trafić nawet do 750 tysięcy gabinetów lekarskich. Terminy wejścia na rynek jednak się przesuwały, a technologia coraz wyraźniej nie nadążała za obietnicą.

W 2014 r. firma Cormay zaprosiła inwestorów i dziennikarzy do laboratorium w Lublinie, żeby pokazać działający prototyp. Na zrobionych wówczas zdjęciach widniało eleganckie urządzenie, do którego laborant wkładał próbki. Jak pięć lat później opisał „Puls Biznesu", aparat pozujący do fotografii był atrapą. Rzeczywisty prototyp również istniał, ↦

↦ ale przypominał metalowy prostopadłościan, ważył około 20 kilogramów i nie pozwolono go fotografować. Mieliśmy więc prawdziwy wynalazek i jego atrakcyjniejszą wersję stworzoną dla mediów. Czy była to już próba wprowadzenia odbiorców w błąd, czy tylko marketingowa inscenizacja przyszłości? W 2019 r. spółka przyznawała, że BlueBox nie będzie przełomem na wcześniej zapowiadaną skalę. Zwróciła też około 3,25 miliona złotych dofinansowania projektu wdrożeniowego. W maju 2021 r. ostatecznie zakończono prace nad urządzeniem, uznając, że koszty jego wprowadzenia na rynek mogą przewyższyć przyszłe przychody.

Czy polscy inwestorzy zostali oszukani? Tego nie da się wywnioskować z samej porażki projektu. Cormay był rzeczywistym producentem aparatury diagnostycznej, a BlueBox miał działający prototyp. Nie jest to zatem historia tożsama z prawomocnie stwierdzonym oszustwem Theranosa. A jednak podobieństwo trudno przeoczyć: dwie niemal bliźniacze wizje diagnostyki, dwie obietnice przyszłości i dwie technologie, które nie spełniły oczekiwań. Jak więc rozpoznać moment, w którym ambitna wizja przestaje być uczciwą obietnicą? Być może warto spojrzeć na to z nieco szerszej perspektywy.

Jak dojrzewają marzenia

Na przełomie XIX i XX w. wynalazcy byli gwiazdami, rozbudzającymi wyobraźnię równie skutecznie jak dzisiejsi twórcy start-upów. Jednym z nich był Jan Szczepanik, którego działalność badam od lat. W 1897 r. w Wiedniu opatentował między innymi telektroskop – koncepcję urządzenia pozwalającego przesyłać na odległość obraz rozkładany na pojedyncze punkty i przetwarzany na sygnały elektryczne. Pomysł przypominał koncepcję współczesnej telewizji, choć nie był jej technicznym pierwowzorem. Pisała o nim międzynarodowa prasa, a Szczepanik doskonale rozumiał siłę widowiskowej promocji. Reklamujące telektroskop ulotki zrzucano z balonu przelatującego nad Wiedniem.

Na urzeczywistnienie podobnej wizji trzeba było jednak poczekać ponad pół wieku, kiedy telewizja zaczęła zadomawiać się w naszych salonach. Szczepanik tego nie doczekał. Czy obiecywał zbyt wiele? Być może. Historia wynalazczości pełna jest pomysłów zbyt wczesnych, zbyt kosztownych albo zbyt trudnych do wykonania za życia ich twórców. Nie wszystkie jednak okazują się ślepą uliczką. Niektóre muszą po prostu poczekać, aż technologia dojrzeje do marzenia.

Historia wynalazczości pełna jest pomysłów zbyt wczesnych, zbyt kosztownych albo zbyt trudnych do wykonania za życia ich twórców. **Nie wszystkie jednak okazują się ślepą uliczką.**

Nauka dobrze zna takie historie, które też zresztą układają się w filmowe opowieści. Duński genetyk Eske Willerslev jeszcze jako młody badacz postanowił szukać pradawnego DNA bezpośrednio w glebie. Skoro zwierzęta pozostawiają odchody, a rośliny gubią liście, dlaczego ich materiał genetyczny nie miałby przetrwać w środowisku przez tysiące, a nawet miliony lat? Problem polega na tym, że DNA ulega degradacji, a w glebie mieszają się jego fragmenty pochodzące od niezliczonych organizmów. Samo przekonanie, że poszukiwane cząsteczki gdzieś tam są, nie oznacza jeszcze, że potrafimy je wydobyć i odczytać.

Willerslev jednak nie odpuścił. Przez lata jego zespół wracał do osadów z północnej Grenlandii, bezskutecznie próbując odzyskać z nich materiał genetyczny. W dokumencie „Hunt for the Oldest DNA" (Nagroda Emmy z 2025 r. w kategorii filmów naukowych) jedna z jego doktorantek wspomina, że w 2013 r. porzuciła karierę naukową, ponieważ nie miała wyników, na których mogłaby ją oprzeć. Willerslev nie dawał za wygraną, a w grudniu 2022 r. w „Nature" przedstawił wyniki badań DNA liczącego około dwóch milionów lat. Pozwoliły zrekonstruować ekosystem dawnej Grenlandii, w którym żyły między innymi mastodonty.

Przełom nastąpił dzięki rozwojowi metod izolowania, sekwencjonowania i analizowania silnie zdegradowanego DNA. Technologia dogoniła marzenie, choć nie wszyscy uczestnicy badań mogli pozwolić sobie na równie długie oczekiwanie. Czy ktoś, kto finansował te prace wcześniej, miał prawo uznać, że pieniądze zostały zmarnowane? Środowisko akademickie potrafi wykazać się cierpliwością wobec odkryć dojrzewających przez dekady. Biznes, który oczekuje zwrotu z inwestycji, bywa znacznie mniej wyrozumiały.

Zasada nieoznaczoności

Może więc istnieje coś w rodzaju start-upowej zasady nieoznaczoności? Próbujemy jednocześnie uchwycić potencjał wynalazku i jego rzeczywistą wartość ekonomiczną. Im bardziej koncentrujemy się na tym, czym technologia może kiedyś się stać, tym trudniej ocenić, ile naprawdę jest dziś warta. Im mocniej sprowadzamy ją do kosztów, przychodów i terminów zwrotu inwestycji, tym łatwiej przeoczyć jej potencjał. Wynalazca wyprzedza teraźniejszość, inwestor próbuje przyszłość wycenić, media zamieniają ją w historię, a odbiorcy zaczynają wierzyć, że ta historia już się wydarzyła.

Czy powinniśmy zabronić wynalazcom przesadzania? Nie dać im opowiadać o paliwie z odpadów, organach drukowanych na zamówienie czy laboratoriach mieszczących się w kieszeni? Żeby balon wielkiej idei wzbił się w powietrze, trzeba wypełnić go helem marzeń, a nie dwutlenkiem węgla przyziemnych ograniczeń. Wynalazca, który mówi wyłącznie o trudnościach swojej technologii, może odnaleźć się w świecie akademickim, ale znacznie trudniej będzie mu przekonać inwestorów do finansowania komercyjnego rozwoju.

Nie chciałabym żyć w świecie, w którym naukowcy boją się snuć wielkie wizje z obawy, że zostaną nazwani oszustami. Nie chciałabym jednak również świata, w którym wynalazcy, media i my sami bezrefleksyjnie zakochujemy się w przyszłości, zapominając zapytać, ile z niej już naprawdę istnieje.

© MONIKA A. KOPERSKA

Autorka jest doktorem nauk chemicznych i popularyzatorką nauki. Założycielka stowarzyszenia Rzecznicy Nauki i wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego.



MATERIAŁY PRASOWE CENTRUM NAUKI KOPERNIK

ZBADAI – projekt stworzony dla nauczycieli

Polscy nauczyciele chcą wykorzystywać sztuczną inteligencję w swojej pracy i robić to w sposób odpowiedzialny oraz bezpieczny.

Nowe technologie chcieliby pokazywać także swoim uczniom – tak aby korzystali z AI mądrze, twórczo i etycznie. Co stoi na przeszkodzie? Brak pogłębionej wiedzy i rozbudowanych umiejętności. Sztuczna inteligencja coraz śmielej wkracza do szkolnej rzeczywistości, jednak nauczyciele często nie posiadają „instrukcji obsługi", która pozwoliłaby im się odnaleźć w gąszczu nowych rozwiązań.

W odpowiedzi na to wyzwanie, Centrum Nauki Kopernik stworzyło unikatowy, dostosowany do potrzeb nauczycieli, bezpłatny kurs AI. Powstał on w ramach projektu edukacyjnego ZBADAI, który ma na celu uczenie krytycznego myślenia, analizy danych i pracy zespołowej poprzez wykorzystanie narzędzi sztucznej inteligencji.

Kiedy we wrześniu uruchomiono zapisy na kurs, na nauczycieli czekało 500 miejsc. Zgłoszeń przyszło dziesięć razy więcej. Ze względu na to ogromne zainteresowanie zwiększono pulę miejsc i do udziału zaproszono 795 osób. To grupa, która weźmie udział w moderowanej edycji kursu: z cyklicznymi spotkaniami na żywo, w czasie których trenerzy odpowiadają na pytania uczestników. Nie zapomniano jednak o pozostałych zgłaszających się – oni również będą mogli ukończyć kurs, jednak już bez moderacji. Kurs trwa sześć tygodni i prowadzony jest za pośrednictwem Zintegrowanej Platformy Edukacyjnej (ZPE). Pierwsza grupa rozpoczęła naukę pod koniec września.

Doświadczeni, otwarci, ostrożni

Kim są nauczyciele, którzy chcą się uczyć korzystania ze sztucznej inteligencji? Przed startem kursu zapytano o to 347 uczestników. Z udzielonych odpowiedzi wyłania się obraz doświadczonych nauczycieli, otwartych na narzędzia AI, a jednocześnie ostrożnych wobec ich stosowania. Badani pochodzą ze wszystkich 16 województw, znaczna część pracuje w szkole ponad 20 lat. Siedmiu na dziesięciu uczy innych przedmiotów niż informatyka, co pokazuje, że zainteresowanie AI wykracza daleko poza przedmioty techniczne. Ze sztucznej inteligencji korzystają często – 88 proc. sięga po chatbota co najmniej kilka razy w miesiącu. Sztuczna inteligencja pomaga im głównie podczas pracy przy biurku – 59 proc. regularnie korzysta z niej w codziennych obowiązkach. Jednocześnie 72 proc. z nich deklaruje, że nie zna pojęcia „bias", stosowanego do opisywania stronniczości modeli. Aż 90 proc. chciałoby uczyć uczniów etyki związanej z AI, ale do działań realizowanych z uczniami regularnie sięga po nią tylko 7-8 proc. badanych. Co ciekawe, rzadko barierą jest sam sprzęt (na to wskazało tylko 10 proc. ankietowanych), znacznie częściej problem stanowi brak czasu, środków na płatne licencje i obciążenie innymi obowiązkami.

Hackathon – przygotowania do startu kursu

Aby lepiej zrozumieć potrzeby nauczycieli, zanim ruszył kurs, w marcu przeprowadzony został Hackathon, w którym udział wzięli pedagodzy z różnych regionów Polski. Przeszli oni kurs w wersji roboczej, a potem wnieśli do niego swoje uwagi oraz przygotowali scenariusze zajęć z wykorzystaniem narzędzi AI. Trzy miesiące później sprawdzono, jaki miało to wpływ na uczestników – okazało się na przykład, że teraz nauczyciele lepiej rozumieją różne pojęcia związane z AI, takie jak „bias", „token" czy „halucynacja", a trzy czwarte osób badanych stało się w swojej szkole osobą, do której koledzy przychodzą z pytaniami o AI. Największy postęp nastąpił tam, gdzie był najbardziej potrzebny: wyraźnie wzrosło wykorzystanie AI w pracy z uczniami.

ZBADAI to z uczniami

Rok 2027 w projekcie edukacyjnym ZBADAI upłynie pod znakiem przygotowanych przez naukowców szkolnych projektów badawczych. Nauczyciele będą je prowadzili wspólnie z uczniami – od lutego w stu szkołach podstawowych, a od września – w stu szkołach ponadpodstawowych. Projekty mają być dla uczniów zachętą do wyjścia ze szkolnych ławek i aktywnego badania otaczającego ich świata. Międzyklasowe grupy zgłębią na przykład temat wysp ciepła i chłodu czy wpływ algorytmów na swoje decyzje zakupowe. Dzięki kursowi AI, a także zrealizowaniu szkolnych projektów nauczyciele zyskają umiejętności i wiedzę, która pozwoli im wykorzystywać narzędzia sztucznej inteligencji w sposób odpowiedzialny, angażujący uczniów i wzmacniający ich kompetencje.

Zadanie realizowane w ramach przedsięwzięcia pod nazwą „badAI! – projekt edukacyjny" ze środków Ministra Edukacji.

MATERIAŁ PARTNERA

ZBADAI PROJEKT EDUKACYJNY

Ministerstwo Edukacji Narodowej

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

HISTORIA

ORZECHY OD KRÓLOWEJ

DR AGNIESZKA PAWŁOWSKA-KUBIK, HISTORYCZKA:

Anna Jagiellonka realizowała ideał „matki kraju". Interweniowała w sprawie poddanych, którym odebrano las, pomagała pogorzelcom. Studiując jej listy, nie spotkałam się z odmową pomocy z jej strony.

MACIEJ MÜLLER: Niemądra, brzydka, niegotowa do roli, jaką przygotowała dla niej historia. Biografowie nie mieli litości dla Anny, ostatniej z rodu Jagiellonów. Nowe badania zadają temu kłam. Spróbujmy odczarować cechy, które przypisywali jej historycy.

AGNIESZKA PAWŁOWSKA-KUBIK: Czy była niemądra? Na pewno nie była tak dobrze wykształcona, jak najstarsze z dzieci Zygmunta Starego i Bony, czyli Izabela i Zygmunt August. Para królewska nie miała planów politycznych co do Zofii, Anny i Katarzyny, więc nie przywiązywano do ich wykształcenia aż takiego znaczenia. Anna nie znała niemieckiego. Łaciny się uczyła, ale nie poznała w stopniu wystarczającym do komunikacji. Wiadomo, że podczas spotkania z posłem Stefana Batorego na bieżąco tłumaczono jej mowę dostojnika.

Anna nie była przygotowana do tego, co się stało po śmierci Zygmunta Augusta w 1572 r. Wcześniej była izolowana od życia politycznego, najpierw przez rodziców, później przez brata. Nagle musiała szybko się nauczyć, jaki urzędnik czym się zajmuje, z kim się kontaktować, a od kogo lepiej stronić. Ale była dobrą obserwatorką. Analizowała relacje matki i brata, widziała, jak Bona zarządza majątkami, jak brat odnosi się do poddanych.

Czyli była osobą inteligentną, potrafiącą wyciągać wnioski.

Tak, ale ten kapitał długo pozostawał w ukryciu. Przed 1572 r. nie miała jak go wykorzystać, nikt nie dawał jej przestrzeni. Długo nie miała własnego dworu i pieniędzy, a bez wyznaczenia posagu nie mogła wyjść za mąż.

Jak to się stało, że Jagiellonowie zaniedbali znalezienie męża dla jednej z córek królewskich?

Problem dotyczył nie tylko Anny, Zofia i Katarzyna również wyszły za mąż późno. W ówczesnej Europie sensownych, katolickich kandydatów nie było wielu. A w tle toczył się konflikt Bony z synem, Zygmuntem Augustem: matka nie zaakceptowała jego małżeństwa z Barbarą Radziwiłłówną. Siostry opowiedziały się po stronie matki, co spowodowało ochłodzenie relacji z bratem. Nie ułatwiło to ich sytuacji po wyjeździe Bony do Włoch.

Biografowie w bezduszny sposób odnosili się do wyglądu Anny. Maria Bogucka pisała, że Zofia była najinteligentniejsza, Katarzyna najładniejsza, a Annie „los poskąpił darów urody". Czy na podstawie portretów i innych źródeł możemy coś powiedzieć o aparycji Anny?

Widział pan miniatury z pracowni Cranachów przedstawiające dynastię Jagiellonów?

Tak. Zofia, Anna i Katarzyna wyglądają jak trojaczki.

Jest pan w stanie wskazać najbrzydszą albo najładniejszą?

Zdecydowanie nie.

Jagiellonki są tam do siebie bardzo podobne, ale nie można wykluczyć, że siostry mniej więcej tak wyglądały. Anna jako młoda kobieta nie odstawała od ówczesnych kanonów urody. Co istotne, nie miała żadnych widocznych wad i schorzeń, które w tamtych czasach zdarzały się także w rodach królewskich. Umiejętnie dobierając szaty, starano się np. ukryć, że ktoś jest garbaty albo ma jedną nogę krótszą. Takich wad Anna nie miała. Warto dodać, że w kontekście małżeństw dynastycznych to wszystko i tak nie miało wielkiego znaczenia. Uroda przyszłej żony była co najwyżej miłym dodatkiem do kontraktu politycznego.

Informacje o brzydocie Anny odnoszą się na ogół do jej ostatniego portretu, namalowanego, gdy miała ponad 70 lat. Wygląda po prostu jak starsza kobieta. Wydaje mi się nie na miejscu orzekać na podstawie tego wizerunku, że to dlatego długo nie mogła wyjść za mąż, a potem Batory przed nią uciekał na wojnę.

Najbardziej realistyczny portret Anny widnieje na medaliku z połowy lat 70. XVI w. Posłużył on jako wzór dla monety okolicznościowej NBP w 2023 r. Widzimy na nim dystyngowaną postać o szczupłej, pociągłej twarzy, z lekko uniesioną lewą brwią. Z jej twarzy bije królewski majestat.

Patrzę na wspomniany portret starszej już królowej ze zbiorów wawelskich. Wydaje mi się, że autor portretu, Marcin Kober, podkreślił płynącą od królowej spokojną dobroć. Jaka Anna była dla innych ludzi?

Wspólnie z moim kolegą, doktorem Dominikiem Kadzikiem, wysunęliśmy tezę, że Anna reprezentowała koncepcję



PARAFIA ARCHIKATEDRALNA ŚW. STANISŁAWA B.M. I ŚW. WACŁAWA M. / KATEDRA NA WAWELU, FOT. ŁUKASZ MICHALAK

Portret Anny Jagiellonki w stroju koronacyjnym (fragment), artysta nierozpoznany, Kraków (?), po 1576 r., Katedra na Wawelu

tzw. *Landesmutter*, „matki kraju". Taka władczyni stara się być opiekunką dla poddanych i dba o wizerunek dynastii. Po śmierci Zygmunta Augusta Anna przejęła opiekę nad jego dworzanami, których losem nikt nie zaprzątał sobie głowy, nie wypłacono im nawet zaległych pensji.

Źródła dowodzą, że przez lata wspierała finansowo swoich byłych dworzan i udzielała wsparcia poddanym zamieszkującym w dobrach znajdujących się w jej oprawie. Interweniowała np. w sprawie mieszkańców Bielska, którym w ramach pomiary włócznej, reformy rolnej z drugiej połowy XVI w., odebrano las i nie wyrównano tej straty. Pomagała szpitalom. Wspierała pogorzelców, starając się dla nich o dodatkowe przydziały drewna na odbudowę domów. Studiując korespondencję Anny, nie spotkałam się z odmową pomocy.

Znamienne, że w przypadku nadużyć ze strony zarządców, poddani nie obawiali się zwrócić bezpośrednio do niej. W listach, które pisała do takich urzędników, można wyczuć jej gniew.

Jak wyglądał jej dwór?

Samodzielnego dworu doczekała się dopiero po wyjeździe z kraju młodszej siostry Katarzyny, w 1562 r. Utrzymywała go z początku ze środków przydzielonych przez Zygmunta Augusta. Dwór składał się z kilkudziesięciu osób. Z zachowanych rachunków wiemy, że Anna wydawała spore sumy np. na stroje dla dworzan. A także na kuchnię: gustowała w rybach i słodyczach.

Po śmierci brata sytuacja finansowa Anny ewoluowała w stronę niezależności: po koronacji wywalczyła sobie oprawę. Wprawdzie musiała zrzec się na rzecz państwa dóbr odziedziczonych po Zygmuncie i Bonie, ale ostatecznie otrzymała wszystko, na czym jej zależało. Udało jej się uregulować kwestię wypłat procentów od tzw. sum neapolitańskich, czyli pieniędzy pożyczonych przez Bonę królowi Hiszpanii Filipowi II. Królowa miała więc spore zaplecze finansowe. Jej dwór na tym zyskał: odbywały się bale, bankiety, przyjeżdżali muzycy, m.in. z Włoch. Anna bardzo dbała o los dwórek i dworzan.

W czym się to przejawiało?

W jej korespondencji odnalazłam wiele „smaczków": np. w liście do Stefana Batorego Anna informuje męża, że jej dwórka wychodzi za mąż, więc zabiega o przydzielenie jej posagu i ślubnego pierścienia.

Jej dwór pod względem funkcjonowania, wielkości, ceremoniału, nie odbiegał od standardów renesansowych. Znamiennym tego przejawem była obecność osób niskorosłych. Świadczyła o tym, że dwór jest modny, okazały, nowoczesny. Wiadomo, że na dworze Anny takie osoby przebywały, a sama Jagiellonka angażowała się w ich wyszukiwanie. Niektóre wysyłała na inne dwory, np. do księżnej toskańskiej Bianki Cappello.

Na czym polegała rola tych osób?

To zależało od osobistych umiejętności. Były uczone dworskiej etykiety. Pełniły rolę, jak byśmy dziś powiedzieli, maskotek dla arystokracji, ale i partnerów ↦

↦ rozmów, czasem osobistych. Nieraz zawiązane na dworze relacje okazywały się trwałe: Anna korespondowała z osobami niskorosłymi wysłanymi na dwory sióstr Katarzyny czy Zofii. Te kontakty służyły też wymianie informacji, których nie wypadało przekazywać osobiście.

XVI-wieczne dwory Tudorów czy Walezjuszy były kłębowiskami żmij, dochodziło na nich do intryg, zdrad i porwań. Czy takie rzeczy działy się w Rzeczypospolitej?

Oczywiście, zwłaszcza za życia Zygmunta Augusta, który słynął z romansów. Anna bardzo cierpiała z powodu niemoralnych postępków brata. Głośna stała się np. sprawa dwórki królewny, Anny Zajączkowskiej, która padła ofiarą królewskiej intrygi. Oświadczył jej się pewien szlachcic, a Jagiellonka wyraziła zgodę na małżeństwo i wyprawiła ją z dworu. Mężczyzna okazał się oszustem podstawionym przez króla, a Zajączkowską wywieziono do jednej z posiadłości Zygmunta, gdzie została jego nałożnicą. Anna była załamana i ogromnie zawstydzona tym, że pod jej okiem zdarzył się taki skandal. Bo ze względu na własną pobożność i zasady etyczne bardzo pilnowała, by jej dwórki dobrze się prowadziły.

Sama też bywała celem intryg dworskich. Kanclerz Jan Zamoyski pod koniec lat 70. XVI w. namawiał Stefana Batorego do rozwodu, a jego działania wsparli biskupi: kujawski Stanisław Karnkowski i krakowski Piotr Myszkowski. Plan nie zyskał jednak poparcia króla.

Powiedzmy więcej o momencie w jej życiu, gdy upomniała się o nią polityka. W 1572 r. umarł Zygmunt August, dynastia została bez męskiego potomka, zaczęło się bezkrólewie.

Anna znalazła się w trudnej sytuacji, bez opieki i bez pieniędzy. Dostojnicy państwowi nie chcieli dopuścić do tego, by przejęła majątki przepisane jej w testamencie przez brata czy wpłynęła na wynik elekcji, więc ściśle kontrolowali, z kim się spotyka i do kogo pisze. Jej polityczny potencjał nie został wykorzystany: kwestii małżeństwa z Jagiellonką nie powiązano z wyborem elekcyjnym. Dlatego Henryk Walezy nie zamierzał brać z nią ślubu.

Po jego ucieczce do Francji sytuacja jednak się zmieniła.



ARCHIWUM PRYWATNE

AGNIESZKA PAWŁOWSKA-KUBIK jest doktorem nauk humanistycznych w zakresie historii, autorką kilkudziesięciu publikacji, m.in. książki „Rokosz sandomierski 1606-1609. Rzeczpospolita na politycznym rozdrożu" i edycji źródeł „Korespondencja Anny Jagiellonki (1523-1596)", t. 1: „Królewna (1548-1576)".

Tak, tym razem Anna pełniła rolę kluczową dla przebiegu elekcji. Prymas Jakub Uchański ogłosił zwycięzcą cesarza Maksymiliana II Habsburga. Opozycja musiała więc wystawić kogoś o porównywalnej pozycji. Ze względów politycznych świetnym kandydatem był książę Siedmiogrodu Stefan Batory, ale trudno go było zaprezentować jako równorzędnego rywala. Powstała więc koncepcja wspólnego wyboru Anny Jagiellonki – potomkini potężnej dynastii – i Stefana. Dawało to Batoremu silną legitymizację polityczną.

Czy Annę wybrano na króla, podobnie jak w 1382 r. Jadwigę Andegaweńską?

Nie, to była inna sytuacja. Jadwiga została powołana na tron Polski na mocy układów poczynionych przez jej ojca, Ludwika Węgierskiego, z polskimi możnowładcami. Tron obejmowała jako osoba niezamężna. Gdy w 1386 r. wstępowała w związek małżeński z Jagiełłą, jej pozycja wobec męża była zupełnie inna niż Anny wobec Stefana Batorego: była przyrodzoną panią Królestwa.

Anna Jagiellonka nie została królem. Wybrano ją na tron wspólnie z Batorym, w dokumencie elekcyjnym jej imię pada wprawdzie jako pierwsze, ale z określeniem *regina* (królowa). Jako *rex* (król) opisany jest Batory.

Batory spóźniał się z przyjazdem do Rzeczypospolitej i pojawił się wtedy postulat wcześniejszej koronacji samej Anny, ale weto postawił biskup Stanisław Karnkowski, pełniący faktycznie rolę interreksa. Jagiellonkę sytuował więc niżej niż Batorego, widział ją na tronie, podobnie jak i inni dostojnicy, jedynie w tandemie. Ponadto *pacta conventa*, czyli osobiste zobowiązania monarchy wobec Rzeczypospolitej, jasno wskazywały, że gdyby Jagiellonka rozmyśliła się co do ślubu albo zmarła przed Batorym, cała królewska władza pozostałaby przy nim. Kto więc był królem? Zdecydowanie Stefan Batory.

Dowiodła tego także uroczystość koronacji: jako pierwszy koronę otrzymał Stefan, Anna musiała czekać. I ostatni argument: gdyby Anna była królem, to po śmierci Batorego nie zaistniałaby potrzeba zwoływania elekcji. Chyba że po zmuszeniu Anny do abdykacji. Tymczasem o niczym takim nie słyszymy.

Czy Anna angażowała się w rządy?

Queenship, czyli badanie sposobu sprawowania funkcji królowej, wyróżnia dwa modele. Pierwszy to *queen consort*, gdy mamy do czynienia po prostu z żoną króla. Inny to *queen regnant*: kobieta, która sprawuje samodzielnie rządy, czasem w tandemie z mężem.

W tym przypadku szybko się okazało, że żadnych współrządów nie będzie. Batory i Jagiellonka podzielili się sferami władzy. On się wziął za wielką politykę, sprawy międzynarodowe, prowadzenie wojen, a ona zajęła się sprawami dworskimi, ceremonialnymi. Współdziałali w konkretnych kwestiach związanych ze schedą po Bonie i odzyskaniem spadku po Zofii Jagiellonce.

A jak im się układało jako współmałżonkom?

Było między nimi 10 lat różnicy, Anna wychodząc za mąż miała 52 lata. Przed ślubem się nie znali, nie było wymiany listów, portrecików. 23 kwietnia 1576 r. Batory wjechał do Krakowa i po raz pierwszy spotkał Annę. Osiem dni później byli po ślubie. Oboje musieli odnaleźć się w tej trudnej sytuacji. Batory kilka pierwszych nocy spędził z żoną, dopełniając formalnie małżeństwa. Ale potem odsunął się od niej. Anna, która prawdopodobnie oczekiwała bliskości i intymnych relacji, ciężko to przeżyła.

Czyli ich drogi szybko się rozeszły?

Niektóre książki mówią nawet o permanentnym konflikcie. Ale badania nad



MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Miniatury z pracowni Lucasa Cranacha młodszego z ok. 1556 r., przedstawiające córki Zygmunta Starego i Bony; od lewej Zofia, Katarzyna i Anna.

korespondencją między małżonkami tego nie potwierdzają. Fakt, że większość czasu spędzali oddzielnie: król przede wszystkim na kampaniach wojennych albo w zamku w Grodnie, Anna zaś w Warszawie. Choć wspólne chwile pary królewskiej należały do rzadkości, to w ich korespondencji i w innych źródłach z epoki znajdziemy ślady wzajemnej troski, dbałości.

Mówi się, że w 1578 r. nastał najgorszy czas małżeństwa – to wtedy Zamoyski snuje plany rozwodowe, a nuncjusz apostolski relacjonuje, że Batory boi się otrucia z ręki małżonki. Tymczasem król wysyła żonie węgierskie pomarańcze. Czy musiał to robić? Nie, jest to niewymuszony, życzliwy upominek. Podobne gesty wobec męża wykonywała Anna. Kiedyś, gdy zjeżdżał do Warszawy, okazało się, że nie ma tam odpowiedniej liczby dostojników, by zapewnić królowi oprawę wjazdu. Anna wysłała mu wtedy własnych dworzan.

Miłości raczej tu nie było, ale widać wzajemne przywiązanie i wypracowany przez lata szacunek.

Gdy Batory zmarł, Anna zorganizowała swojemu siostrzeńcowi Zygmuntowi Wazie, synowi Katarzyny, kampanię wyborczą z prawdziwego zdarzenia.

Wystąpiła tu już w roli dojrzałej polityczki. Ale warto zwrócić uwagę na jeszcze inny aspekt tych wydarzeń. Zachodzi tu takie zjawisko, jak irradiacja macierzyństwa. To pojęcie z zakresu psychologii, które mówi o przeniesieniu pewnych niezaspokojonych uczuć w inne rejony. Anna nigdy nie była matką, więc swoje macierzyństwo realizowała w stosunku do poddanych i potomków dynastii.

Dzieci jej ukochanej siostry Katarzyny Jagiellonki, Zygmunt i Anna, były szczególnie bliskie jej sercu. W 1583 r. straciły matkę, a Anna starała się dbać o nie nawet na odległość. Szczególnie troszczyła się o ich wiarę: młodzi Wazowie zostali wychowani w katolicyzmie, dorastali pod opieką katolickiej matki, ale tej przecież właśnie zabrakło. Anna Wazówna od razu przeszła konwersję na luteranizm. Anna zrobiła wszystko, by utrzymać Zygmunta przy katolicyzmie – wysyłała mu do Szwecji katolickich księży, korespondowała z przebywającymi tam jezuitami. Nuncjusz apostolski przekazał jej wezwanie papieża, by stała się dla Zygmunta matką.

Prawdopodobnie już we wczesnych latach 80. XVI w. Anna myślała o wysunięciu kandydatury Zygmunta na tron Rzeczypospolitej. Po śmierci Batorego w 1586 r. z niesamowitą energią przystąpiła do wszelkich zabiegów mających zagwarantować Wazie koronę. Pisała do szlachty instrukcje na sejmiki, podkreślając zalety intelektualne i osobiste Zygmunta, wskazując, że jest potomkiem Jagiellonów. Sypała pieniędzmi, których miała sporo. To wszystko sprawiło, że kandydatura Zygmunta nabrała szans. Anna posunęła nawet się do rzeczy trudnej dla niej do wyobrażenia, czyli do współpracy z Janem Zamoyskim.

Po wyborze Zygmunta III Wazy na króla w 1587 r. Annę czeka wreszcie kilka lat ciepła rodzinnego.

I tak, i nie. Prymas Karnkowski uznał za stosowne pouczyć ją, by się zanadto nie narzucała młodemu władcy. Anna była tym oburzona i obrzuciła hierarchę gorzkimi słowami, ale po namyśle faktycznie usunęła się na bok. Widzę w tym mądrość płynącą z doświadczenia i wyczucie, którego brakowało Bonie.

Ale to nie oznacza braku kontaktu z siostrzeńcem. W obie strony ciągle płyną listy, Anna trzyma do chrztu dzieci Zygmunta, wysyła im owoce i orzechy ze swojego ogrodu. Nieraz gości u siebie rodzinę króla. Przekazuje Zygmuntowi prawa do procentów z sum neapolitańskich, wyznaczając go w ten sposób na kontynuatora starań o odzyskanie dynastycznego majątku.

I nie umiera w samotności.

Nie, w przeciwieństwie do Bony, która popadła w chroniczny konflikt z ukochanym synem, była znienawidzona przez sporą część szlachty i dostojników, a w końcu została otruta w dalekim Bari. Tymczasem Anna umiera otoczona rodziną, dworzanami i księżmi. Według źródeł Zygmunt III osobiście zamknął jej powieki po zgonie.

Tuż przed śmiercią Anna poleciła jego opiece wszystkich swoich dworzan. Wcześniej poczyniła w testamencie zapisy na rzecz zarówno najwyższych urzędników, jak i najmniej znaczących sług. Do ostatnich chwil pełniła wobec nich rolę troskliwej matki.

© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Wystawa **„ANNA JAGIELLONKA. WSZYSTKIE TWARZE KRÓLOWEJ”** jest dostępna dla zwiedzających na Zamku Królewskim na Wawelu do 14 lutego 2027 r. „Tygodnik” jest patronem medialnym wystawy.



PATRYK RÓŻYCKI jest artystą wizualnym, malarzem i performerem. Dwukrotny finalista Paszportów „Polityki" (2023 i 2025). Jego prace prezentowane były w najważniejszych instytucjach w Polsce. Mieszka i pracuje w Warszawie. Niedawno w kinach mogliśmy oglądać nagrodzony Srebrnymi Lwami w Gdyni film Łukasza Rondudy „Powiedz mi, co czujesz", inspirowany jego życiem i twórczością.
Na zdjęciu: Patryk Różycki w swojej pracowni. Warszawa, 6 kwietnia 2026 r.

M JAK MIŁOŚĆ

PATRYK RÓŻYCKI, ARTYSTA:

Pokazując historię swojej rodziny, opowiadam o doświadczeniach, które są udziałem wielu polskich domów.
Moje malarstwo ma działać jak model serca na lekcji biologii.

JACEK TARAN: W Twoich pracach często pojawia się rodzinny dom. Miałeś w nim swoją pracownię?

PATRYK RÓŻYCKI: Tak, najpierw malowałem w pokoju, który dostałem po babci, a później ojciec z bratem wyszykowali mi stodołę. Pod koniec liceum miałem do dyspozycji jedną jej część, z której po prostu przeniesiono rzeczy w inne miejsce. Ale na studiach przejąłem już całą stodołę. Wciąż mam w niej magazyn zagracony starymi meblami. U mnie w domu panuje przekonanie, że trzeba zbierać wszystkie rzeczy, bo mogą się Patrykowi do czegoś przydać.

Lubisz tam wracać?

To miejsce było mi bliskie szczególnie, gdy wybuchła pandemia. Pracowałem wówczas jako nauczyciel na Politechnice Gdańskiej. Zajęcia odbywały się zdalnie, więc pojechałem do domu rodzinnego i łączyłem się ze stodoły. A poza tym wychodziłem do ogrodu i robiłem tam rzeźby, których ustawienie codziennie zmieniałem. Tak spędziłem trzy miesiące.

Nazywałem to cyklem efemerycznych rzeźb i pomników. Czasami impuls pochodził ze snu, w którym kochałem i byłem kochany, a innym razem tworzyłem pomnik choroby i śmierci w mojej rodzinie. Mój brat przynosił dużo starego styropianu, ściągniętego z elewacji po remontach. Układałem te klocki styropianowe trochę jak lego, a potem nakładałem na nie tkaniny z napisami. Tworzyłem rzeźby, które istniały jeden dzień. Pokazywałem je rodzinie i robiłem kolejne.

Interesowało ich to?

Długo o nich rozmawialiśmy. Przyglądali się wszystkiemu szczegółowo. Z czasem zacząłem te prace bardziej zagęszczać – pojawiało się w nich więcej tekstu i pytań. Myślę, że byli i nadal są bardzo zaangażowanymi widzami. Czułem, że chcieli się w to głęboko zaangażować, a dla mnie ważne było, żeby opowiadać o naszym życiu. Dla nich zrozumiała była figuracja.

Mama miała wypadek, który później narysowałem. Patrzy na ten obraz i mówi, że jest smutny, że wywołuje w niej emocje, jest przejęta sytuacją. Dla mnie to jest w ogóle sens sztuki – żeby była czytelna i dostępna dla moich rodziców oraz dla innych odbiorców. Żeby działała w poprzek społecznych klas, niezależnie od tego, czy ludzie, którzy ją oglądają, posiadają kapitał kulturowy.

Klasa społeczna jest ważna w Twojej twórczości?

Dopiero na studiach zobaczyłem, w jaki sposób moje pochodzenie wpłynęło na postrzeganie świata. Moi rodzice nie podsuwali mi książek, wszystko nadrabiałem sam. Na początku czułem wstyd i przepaść między mną a rówieśnikami. Dopiero z czasem zrozumiałem, że moje doświadczenia i kod kulturowy zaczerpnięty na przykład z seriali telewizyjnych, takich jak „M jak miłość", i z mojego miejsca zamieszkania, to unikatowa wartość, której osoby z dostępem do kin, teatrów i muzeów, żyjące w większych ośrodkach miejskich, po prostu nie posiadają.

Twoje obrazy są bardzo witalne, kipią życiową energią.

To się zaczęło w liceum plastycznym. Rysowałem tam butelki, jakieś suche jabłka, a jednocześnie odczuwałem ogromny smutek. To był bardzo depresyjny okres. Czytałem o van Goghu – on narysował kiedyś kobietę na kolanach, a potem podpisał to dzieło „Smutek". Pomyślałem sobie: „tym rysunkiem opowiedział o swoich emocjach i o emocjach tej osoby, chciałbym robić tak samo".

Twoja mama powiedziała „Patryk maluje nasze życie". Zastanawiam się, czy czasami zmyślasz.

Wszystko, co namalowałem, wydarzyło się naprawdę. Niektóre sytuacje nie miały miejsca, ale zawsze są reprezentacją jakiegoś doświadczenia. Na przykład namalowałem obraz, na którym moja mama z moim rodzeństwem stoją na dworcu PKP w Kole i czekają na pociąg, którym ma przejeżdżać mój ojciec.

Mama opisywała mi to doświadczenie z czasów, kiedy mnie nie było jeszcze na świecie, a ojciec bardzo dużo pracował. Mówiła, że mogłaby tak wychodzić na peron, żeby dzieci chociaż przez chwilę zobaczyły ojca w oknie pociągu. Ta sytuacja nigdy się nie wydarzyła, ale namalowałem ją, ponieważ bardzo dużo o niej słyszałem. Ona reprezentuje część jej doświadczenia.

Niektóre sytuacje miały miejsce, ale wyglądały trochę inaczej. Najtragiczniejszy jest obraz przedstawiający moment śmierci mojego brata w kontenerze pracowniczym. Ja tego wypadku nie widziałem. To jest wyłącznie moja myśl o tym, jak to mogło wyglądać. Obraz zbudowany z tego, co słyszałem o miejscu, w którym mieszkał. Próbuję to przetworzyć, pozostając wiernym mojemu wyobrażeniu o tej sytuacji, a nie faktom. Prawda emocjonalna i wyobrażeniowa jest dla mnie znacznie ważniejsza niż prawda faktograficzna.

Często wracasz do śmierci Twojego brata Rolanda i siostry Żanety.

To jest coś, co zespala mnie z rodziną i moim pozostałym rodzeństwem – wspólne doświadczenie śmierci bliskich. Wciąż szukam połączenia z nimi. Mam taki obraz, na którym wspólnie z rodziną przytulamy się do ich grobu i płaczemy. To jest moment łączenia się w żałobie, próba zbudowania relacji.

Z drugiej strony mam poczucie, że to się wciąż nie udaje. Kiedyś myślałem, że może po prostu za mało to przeżyliśmy. Miałem nawet taką pretensję – dlaczego to wydarzenie było tak silne, a ja wciąż czuję się odrębny od rodziny? Myślę, że jako dziecko odseparowałem się od przeżywania tamtej śmierci, bo to było dla mnie zbyt wielkie. Może odsunąłem się od tych osób, żeby już kolejny raz nie musieć przeżywać bólu. To są moje osobiste próby zrozumienia tego, co się stało.

W Twojej twórczości jest bardzo dużo intymności. Czego decydujesz się nie pokazywać?

Zadaję sobie raczej pytanie, dlaczego miałbym o czymś milczeć. Zacząłem mówić o moim przeżywaniu świata, o ciele i męskości, ponieważ porządek społeczny proponuje w to miejsce milczenie, które rodzi wstyd. Dokładnie tak było z moją mamą.

Kiedy na Warsaw Gallery Weekend namalowałem obrazy o tym, jak zastawia obrączki w lombardzie, jak rodzice biorą kredyt na moje studia, mama pytała, po co to pokazywać, skoro ona się tego wstydzi. Ja natomiast uważam, że to heroiczny wyraz miłości rodzicielskiej. Chcę napełnić te doświadczenia dumą.

Mówię o tym wszystkim otwarcie, a jednocześnie staram się przedstawiać te wydarzenia w taki sposób, aby odbiorca nie szafował prostymi wyrokami. To interesuje mnie w sztuce najbardziej. Świat i relacje są tak skomplikowane, że aby je zrozumieć, trzeba przyjrzeć się każdej ↦

JACEK TARAN





DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY I FUNDACJI POLANA INSTITUTE x3

↦ z osobna. Chcę przesuwać tę granicę jak najdalej, ukazać pełnię człowieczeństwa.

A gdzie leży granica między intymnością a ekshibicjonizmem?

A dlaczego nie nazwiemy ekshibicjonizmem zachowań ludzi, którzy publicznie obnoszą się ze swoim bogactwem? Latają prywatnymi samolotami, wydają ogromne pieniądze na życie w przepychu.

Pokazanie tego, jak realnie żyją ludzie, budzi opór, podczas gdy za oczywisty przyjmujemy fakt, że najbogatsi reprezentują całkowicie niedostępny model życia. Taki model wyznacza standard, który dla większości społeczeństwa jest kompletnie nieosiągalny.

Dlaczego nie zrobić bohaterami osób ciężko pracujących za najniższą krajową, ubogich, osób w kryzysie bezdomności czy samotnych matek? To są prawdziwi bohaterowie. Może na nich trzeba skierować wzrok. Zaprośmy do telewizji kobietę, która samotnie wychowuje dzieci, niech ona opowie o swoim doświadczeniu. Tylko że to jest mało atrakcyjne, nikt nie aspiruje do bycia biedną, samotną matką.

Spotykasz się z zarzutem, że pokazujesz intymność w sposób bliski pornografii?

Po pierwsze, te obrazy to sceny większej całości. W tym przypadku to historia o moim życiu w związku, który nie wpisuje się w powszechne normy. Chodzi o związek poliamoryczny, w którym odczuwa się emocje romantyczne do więcej niż jednej osoby. Tak jest w przypadku mojej dziewczyny, która kocha zarówno mnie, jak i Michała – mojego najbliższego przyjaciela.

Można uznać za pornograficzne to, że przedstawiam siebie podczas seksu w trójkącie i – mówiąc wprost – robię dobrze mojemu przyjacielowi. Jednak ten obraz opowiada przede wszystkim o głębokiej bliskości i przyjaźni. My nie żyjemy w tym domu tak, że leżymy we trójkę w łóżku i uprawiamy seks.

Opowiadam tu także o powrocie do domu rodzinnego i obawach, czy nie wyjdzie ze mnie homofobia, którą wpajano we mnie w rodzinnej miejscowości. Potem siedzę przy rodzinnym stole. Mój ojciec rzuca jakiś homofobiczny komentarz, a ja pytam: „Co ty na to, że twój syn robił dobrze ustami innemu mężczyźnie?". To złożona opowieść, która osadza mnie w bardzo konkretnym kontekście społecznym.

Co ojciec na to?

Wtedy nie odpowiedział nic, ale moi rodzice akceptują to, że jestem w takiej relacji. Byliśmy w trójkę u mojej rodziny. Oni już wcześniej znali Michała i Martynę. Wiedzą o tym, że chcemy spędzić ze sobą życie i mieć wspólny dom. Choć myślę, że może wynika to stąd, że mam immunitet artysty.

Wizerunek mężczyzny kruchego, delikatnego, podatnego na zranienie – to jesteś Ty?

Nie wiem, czy chciałbym uchodzić za model współczesnego mężczyzny, ponieważ nie uważam, że to jedyny słuszny wzorzec. Nie chciałbym, żeby z mojego malarstwa wynikało, że mężczyzna musi być jakiś. Nie zamierzam mówić do tych wszystkich rozgniewanych facetów: „Zacznijcie mówić o emocjach, pozwólcie sobie na słabość, popłaczcie trochę i wszystko będzie fajnie". Nie chciałbym od nikogo wymagać, żeby nagle się zmienił. Bycie tradycyjnie męskim też może być fajne. Ja sam nie unikam takich tematów – namalowałem obraz, na którym skręcam łóżko dla Martyny. Czuję się wtedy męsko i seksownie.

Namalowałeś sobie nawet kaloryfer na brzuchu.

Tak! I wiesz, w tym momencie idealnie wpisuję się w ten model męskości. Warto zauważyć, co na nas wpłynęło. W dzieciństwie byłem wychowywany na bardzo delikatną osobę. Byłem szczupły, inny niż moi bracia. Przez to, że oni byli starsi, zajmowali się pracą fizyczną, a ja sobie leżałem, przeglądałem gazety z piłkarzami i nie miałem żadnych obowiązków. Ojciec mnie przed tym chronił.

Po prostu chciałbym poszerzyć figurę męskości. Moje przyjaciółki w liceum dużo opowiadały mi o swoich doświadczeniach, o tym, jak okropne rzeczy spotykały je ze strony kolegów. Męskość kojarzyła mi się z przemocą, agresją, ciągłą rywalizacją. I wtedy pomyślałem, że ja w ogóle nie chcę być mężczyzną, że się tego wstydzę. Zatem kim jestem?

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nie chcę szukać dla siebie żadnego nowego określenia. Chcę móc czuć się mężczyzną, tylko opowiadać o tym inaczej, dodawać do tego pojęcia więcej znaczeń. Chcę poszerzać to pole, a nie zawężać go do reguły, że mężczyzna musi być albo silny, albo wrażliwy. Mogę być nimi jednocześnie.

Twoje malarstwo to forma autoterapii?

Mam opory przed nazywaniem mojej twórczości autoterapią, to marginalizuje działania twórcze. Taka etykieta nie pozwala ludziom spojrzeć na moje prace jak na malarstwo o charakterze politycznym. Jeśli powiem, że to terapia, uznają, że to problem jednej osoby, która po prostu coś tam sobie w pracowni przerabia – co nas to obchodzi.

To, co robię, to terapia całego społeczeństwa. W tym sensie jest to działanie polityczne. Przecież życie społeczne jest częścią polityki. To, jak wyglądało życie





Od lewej: Z rodziną przytulamy grób mojej siostry i brata, 2025 r.

Skręcałem łóżko dla Martyny, kiedy pierwszy raz w życiu urządzała sobie własny pokój, czułem się taki męski, 2025 r.

Moment śmierci mojego brata Rolanda w kontenerze pracowniczym, 2022 r.

mojej rodziny, to, jak podchodzi się do męskości czy do związków nienormatywnych, wynika z faktu, że polityka w naszym kraju opisuje te zjawiska w konkretny sposób, albo nie wspiera określonych grup ludzi.

Chcesz powiedzieć, że Twoje malarstwo jest polityczne?

Tak, bo przez pokazywanie jednostkowych doświadczeń oraz historii mojej rodziny obnażam coś uniwersalnego, co dotyczy wielu domów w Polsce. To działa tak, jak model serca na lekcji biologii, na którym pokazuje się ogólne mechanizmy. Moje życie to model życia społecznego bardzo dużej części społeczeństwa, która funkcjonuje w podobny sposób.

W moim malarstwie podoba mi się to, że tworzy ono cały układ. Obecnie to już około 400 obrazów, z których można wybierać konkretne wątki. Połowa społeczeństwa to mężczyźni i pojawia się opowieść o nich. Ale jest tu też opowieść o kobietach, osobach pracujących fizycznie, ludziach starszych, wierzących, o relacjach nienormatywnych i przyjaźni.

Ogromna panorama społeczeństwa. Cieszę się, że moja twórczość idzie w tę stronę, a nie zamyka się w jednym, wąskim temacie. Polska rodzina pracuje, kocha, zmaga się z problemami, więc można przez jej pryzmat opowiedzieć o wielu różnych rzeczach.

Rynek sztuki to lubi?

Na szczęście nie mogę na to narzekać, bo z tego żyję. Obrazy się sprzedają. Choć gdybym nie musiał, pewnie nie sprzedałbym ani jednego, ponieważ marzy mi się posiadanie wielkiej przestrzeni, w której wszystkie mogłyby wisieć razem. Chciałbym kiedyś zrobić wystawę, która pokaże je chronologicznie: rok po roku, moment po momencie.

Komponujesz, piszesz, malujesz, nagrywasz podkasty, a w tym wszystkim są duże emocje, prywatność. Jaką cenę za to płacisz?

Przez ostatnie pół roku czułem ogromne przeciążenie i zmęczenie ciągłą widocznością. Bardzo ciężko było mi przyjąć jakąkolwiek krytykę. Czuję przytłaczającą odpowiedzialność za to, żeby moja sztuka miała znaczenie. Przed każdym rysunkiem obsesyjnie myślę o tym, co daję odbiorcom. Dopadły mnie lęki nieadekwatne do rzeczywistości, żyłem w permanentnym napięciu, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. To doświadczenie wyniosłem z domu rodzinnego – tam też było super, a potem nagle wszystko się rozpadło. Na szczęście to mija i czuję, że moja energia wraca.

Masz taki obraz „Ja uciekający od własnego pomnika". Jednak film o Tobie w reżyserii Łukasza Rondudy jest w pewnym sensie pomnikiem.

Pierwsza sprawa jest taka, że bohater na ekranie to mocno przekształcona wersja mnie. Ta postać stanowi miks moich doświadczeń z różnych momentów życia, dodatkowo przepuszczonych przez wizję artystyczną Rondudy. Może ten film to po prostu wizja tego, jak zachowywałbym się w wieku 23 lat, gdybym mieszkał w Warszawie, poznał tam konkretną osobę i tak dalej. Ale mimo wszystko ta postać to wciąż ja.

Muszę jednak przyznać, że to spełnienie dziecięcych marzeń. Podejrzewam, że do kin pójdą głównie widzowie, którzy kompletnie mnie nie znają i nigdy nie widzieli na żywo. Mam jednak ogromną nadzieję, że to doświadczenie skłoni ich do zapoznania się z moją sztuką, uwrażliwi na emocjonalne odbieranie świata.

A czego Ty sam dowiedziałeś się o sobie z tego filmu?

Mocno skonfrontował mnie z próbami budowania relacji z rodzicami oraz z procesem przepracowywania śmierci siostry. Patrząc na ekranowego Patryka, widzę, że nosi on w sobie coś głęboko ukrytego, co nieustannie szuka ujścia.

Mogłem też spojrzeć na moją sztukę jako na próbę wyciągnięcia z siebie tego, co najbardziej uwiera. Bo w twórczości chodzi mi właśnie o to, by obnażyć rzeczy najtrudniejsze, te, których najbardziej się wstydzę, których się boję i nie chcę wypowiadać na głos.

A za czym tęsknisz?

Za tą czystą ekscytacją, która towarzyszyła mi na samym początku drogi artystycznej. Dzisiaj ta ekscytacja wciąż we mnie jest, ale ma zupełnie inny charakter, ponieważ wtedy była podszyta olbrzymią nadzieją. Tęsknię też za czasami studenckimi spędzanymi z rodziną. Byłem wtedy bardzo beztroski – podobnie jak w dzieciństwie. To był czas trochę niczyj, a trochę nasz wspólny.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

Elinor O'Donovan „Metametamorphosis IV", 2026 r.

Sztuka życia

PATRYCJA BUKALSKA

REPORTAŻ | Irlandia wypłaca artystom stałe wynagrodzenia. Po pilotażowym programie przeliczono, że korzyści dla państwa wyniosły ponad sto milionów euro.

To naprawdę odmieniło moje życie i sposób, w jaki pracuję – mówi Elinor O'Donovan, irlandzka artystka wizualna, która uczestniczyła w pierwszym programie Basic Income for the Arts (BIA). Zakwalifikowani do niego artyści przez ponad trzy lata co tydzień otrzymywali od państwa wynagrodzenie w wysokości 325 euro. Choć nie jest to wygórowana kwota – mediana zarobków w Irlandii jest dwukrotnie większa – dawała im jednak poczucie bezpieczeństwa oraz możliwość większego skupienia na pracy twórczej.

– Stałe wsparcie finansowe miało ogromny wpływ na moją twórczość i ogólny dobrostan. Artyści w swojej pracy i życiu codziennym często zmagają się z brakiem stabilizacji, a otrzymywanie dochodu podstawowego pozwoliło mi, przynajmniej częściowo, złagodzić tę niepewność – wyjaśnia O'Donovan.

Pilotażowy program zakończył się w lutym, ale jego kolejna edycja rozpocznie się jeszcze w tym roku. Zgłaszające się do niego osoby muszą być zawodowymi artystami, mieszkającymi i tworzącymi w Irlandii. Po tej weryfikacji nazwiska szczęśliwców zostaną wylosowane – w ten sposób wszyscy mają mieć równe szanse, bez ryzyka stronniczości przy przyznawaniu wsparcia.

Siatka bezpieczeństwa

Do pierwszej edycji zgłosiło się ponad 8 tysięcy osób. Wsparcia udzielono 2 tysiącom. W wypełnianych ankietach artyści zgodnie mówili, że pieniądze te były dla nich siatką bezpieczeństwa, dzięki nim odzyskali spokój ducha, mogli też zadbać o zdrowie (choćby idąc do dentysty). Przede wszystkim jednak podstawowy dochód pozwalał im spędzać więcej czasu na pracy twórczej, dał szansę na niezależność oraz poczucie skuteczności przy prowadzeniu swojej ścieżki twórczej.

– BIA dało mi autonomię w kwestii tego, co mogę robić ze swoją twórczością, mogłam na przykład opłacić współpracowników – mówi O'Donovan, która w swojej twórczości czerpie z popkultury, sprawdza, jak wpływa ona na pamięć, jak zaciera granice między faktem a fikcją. Podczas pilotażu BIA artystka zrobiła dwa filmy: „The Immeasurable Grief of the Prawn" (2023) oraz „Metametamorphosis" (2025), nawiązujący do „Przemiany" Franza Kafki.

– Nakręcenie filmu bez tego wsparcia byłoby oczywiście możliwe, ale uzyskanie finansowania od irlandzkiej Rady ds. Sztuki (Arts Council) wiąże się ze składaniem wniosków, w których trzeba bardzo szczegółowo uzasadnić wydatki. Ponieważ nie miałam wcześniejszego doświadczenia filmowego, trudniej byłoby mi ten wniosek przygotować, ale też udowodnić, że jestem w stanie taki projekt zrealizować – wyjaśnia artystka. – Mając kontrolę nad otrzymywanymi pieniędzmi, miałam większy wpływ na to, co tworzę.

Elinor O'Donovan, którą wcześniej ograniczała praca na pół etatu, dzięki BIA zyskała swobodę skorzystania z wyjazdów na artystyczne rezydencje, mogła spędzić po kilka tygodni w Meksyku, Islandii i innych krajach.



DENIS VAHEY

Elinor O'Donovan w swojej pracowni

– Poznałam tamtejsze środowiska artystyczne, co nie byłoby możliwe, gdybym dalej pracowała na pół etatu. Dzięki temu moja kariera mogła wejść na wyższy poziom – przyznaje.

Głos artystów

Podczas trzech lat trwania pilotażowego programu jego uczestniczki i uczestnicy brali udział w wywiadach kontrolnych, mających posłużyć do oceny BIA. Na ich podstawie opublikowano oficjalny rządowy raport. Cytowane w nim zanonimizowane wypowiedzi artystów jasno pokazują, jak rewolucyjna była dla nich ta inicjatywa.

Przeczą one też stereotypowemu postrzeganiu artystów jako ludzi niezważających na finanse, żyjących tyleż beztrosko, co nieodpowiedzialnie. Przeciwnie – wielu beneficjentów BIA starało się otrzymywane pieniądze przezornie zaoszczędzić. Elinor O'Donovan też przyznaje, że dzięki BIA mogła zacząć myśleć długoterminowo – na przykład zadbać o przyszłą emeryturę.

W raporcie artyści mówią dużo o stresie i strachu, jaki im na co dzień towarzyszył, obawach o to, że nie będą mieli z czego opłacić rachunków, jeśli nie sprzedadzą obrazu. To dość ponury obraz ich życiowej sytuacji, bo okazuje się, że gdyby nie podstawowy dochód, problemem byłoby nawet kupienie prezentu urodzinowego dla siostrzeńca czy biletów do teatru na spektakl kolegi. W Irlandii ponad połowa artystów żyje w tzw. wymuszonej deprywacji, czyli nie stać ich na podstawowe dobra (w porównaniu z niespełna 16 proc. całej populacji). Jak wynika z raportu opracowanego wspólnie przez dwa stowarzyszenia: Performing Arts Forum oraz First Music Contact, co czwarty artysta czy pracownik sektora kultury zarabia mniej niż minimum wymagane do godnego życia, zaś 40 proc. nie ma ubezpieczenia zdrowotnego.

Artyści pisali w ankietach również o sytuacjach, gdy muszą pracować za darmo z nadzieją, że może ktoś im kiedyś za pracę zapłaci. Albo gdy muszą oddawać prace do galerii za bardzo małe pieniądze lub bez wynagrodzenia. W przypadku początkujących artystów otrzymywany w ramach BIA dochód umożliwiał przyjmowanie nieodpłatnych zleceń i w konsekwencji – gromadzenie portfolio. Natomiast gdy chodzi o artystów na bardziej zaawansowanym etapie kariery, BIA skłaniał ich do starannego wyboru projektów, wytyczania granic i ustalania stawek odzwierciedlających wartość ich pracy.

„Mam 56 lat, a właściwie to za chwilę już 57, i kiedy patrzę na ostatnich kilka lat, to mogę wreszcie powiedzieć, że wierzę w siebie i wierzę w to, co robię. Po raz pierwszy w życiu" – napisał w ankiecie jeden z uczestników programu. Poczucie bycia docenionym to być może jedna z najbardziej niespodziewanych korzyści, którą przyniósł pilot projektu.

Zyski dla państwa

Jednak zyski płynące z BIA są też przeliczane na euro. Według irlandzkiego rządu korzyści społeczno-gospodarcze z programu szacuje się na ponad sto milionów. Inaczej: każde euro zainwestowane w dochód podstawowy dla artystów przyniosło irlandzkiej gospodarce 1,39 euro. Zmniejszyła się też zależność beneficjentów programu od świadczeń socjalnych.

Ponadto, w przeciwieństwie do zasiłków, BIA jest opodatkowany jako dochód. Skoro artyści więcej też pracowali (średnio o 11 godzin tygodniowo), więcej tworzyli i osiągali ze swojej twórczości wyższe dochody (średnio o 500 euro miesięcznie), to więcej trafiało od nich do fiskusa.

– Spośród krajów unijnych Irlandia przeznacza najmniej środków na wsparcie artystów. Tymczasem duża część tutejszej gospodarki od nich właśnie zależy. Bądźmy szczerzy, turyści nie przyjeżdżają tu, by się opalać – mówi Michaële Cutaya, pisarka i redaktorka, kierowniczka programowa w Praxis, związku zawodowym artystów w Irlandii. – Przyjeżdżają do muzeów, na festiwale czy wydarzenia kulturalne. Za nimi zaś pieniądze trafiają też do hoteli, restauracji, pubów.

Cutaya podkreśla też inną korzyść, jaką społeczeństwo odnosi ze sztuki – pozytywny wpływ na dobrostan i zdrowie psychiczne osób, które mają z nią kontakt.

– Było to widać podczas pandemii, ludzie przetrwali dzięki czytaniu, słuchaniu muzyki. Bez pracy artystów popadlibyśmy w depresję – przekonuje. – To bardzo dobrze wykształcona, ciężko pracująca grupa ludzi. Tymczasem osiąga ona najniższe dochody i to nie jest w porządku.

– Czytanie wywiadów z beneficjentami pilotażowego programu było poruszające. Pokazywało, jak wielką różnicę w ludzkim życiu może robić niewielka stosunkowo suma pieniędzy – przyznaje Cutaya. Jej zdaniem BIA jest zwycięstwem, na którym można wiele zbudować. Musi jednak zostać rozszerzone na tyle, by stało się rzeczywiście podstawowym dochodem.

Słabe punkty

Po obiecującym pilocie irlandzki rząd zadecydował, że program będzie kontynuowany. Związek zawodowy Praxis ↦



AOIFE HERRIOTT

MICHAËLE CUTAYA:

Irlandia bardzo niewiele przeznacza na wsparcie artystów, tymczasem duża część tutejszej gospodarki od nich właśnie zależy. Turyści przyjeżdżają do naszych muzeów, nie na plaże.

↦ wskazuje na jego słabe punkty: ograniczony zasięg oraz fakt, że zapewnia on wsparcie tylko na trzy lata – po tym czasie artyści znów znajdują się w punkcie wyjścia (co więcej, nie będzie można ubiegać się o wsparcie cyklicznie co trzy lata; pomiędzy wnioskami musi być trzyletnia przerwa).

„Prawdziwy dochód podstawowy powinien funkcjonować jako długoterminowa inwestycja publiczna w cały sektor, a nie jako ograniczona czasowo nagroda dla wybranych osób" – czytamy w oświadczeniu związku. Pisarka Caelainn Hogan, która brała udział w pilotażu, ma podobne spostrzeżenia.

– Jedną z głównych korzyści stałego dochodu była dla mnie możliwość pełnego poświęcenia się pracy twórczej, pisaniu. Pozwalał mi on na większe eksperymentowanie, współpracę z artystami, angażowanie się w lokalne festiwale czy mniejsze projekty literackie, nie ze względu na wysokość wynagrodzenia, ale jakość tej pracy – opowiada autorka książki „Republic of Shame", opisującej nadużycia, jakie spotkały ze strony Kościoła katolickiego niezamężne matki. Hogan wyjaśnia, że aby było to możliwe, musiała zrezygnować z innych zajęć, wcześniej pokrywających jej rachunki.

– Taka decyzja jest trudna, gdy ma się świadomość, że wsparcie będzie trwało jedynie trzy lata – podkreśla. – Ta niepewność trzech lat nie oddaje ducha podstawowego dochodu, więc może używanie tej nazwy jest mylące.

Praxis wskazuje też na tworzenie podziałów w środowisku artystycznym – na tych, którzy mieli szczęście i zostali wylosowani, wylosowanym, i na pechowców pozostających bez wsparcia oraz na niejasności wokół zapowiadanego rocznego audytu beneficjentów (zważywszy, że praca twórcza bywa trudno mierzalna i niełatwo oceniać ją według kryterium wydajności).

Wygrana na loterii

Caelainn Hogan opisuje znalezienie się w pierwszym gronie beneficjentów jako wygraną na loterii, a z perspektywy czasu przyznaje, że BIA jest projektem zmieniającym życie.

– Uwolniło mnie od niepewności. Była to olbrzymia zmiana dla kogoś, kto większość życia pracował jako freelancerka i zmagał się z niestabilną sytuacją finansową – opowiada. W tym roku pisarka ponownie zgłosiła się do programu; czeka – jak tysiące ludzi sztuki – na publikację listy zakwalifikowanych. Objętych wsparciem będzie, podobnie jak podczas pilotażu, jedynie dwa tysiące osób.

Caelainn Hogan apeluje o rozszerzenie BIA na wszystkich artystów, ale zwraca też uwagę na potrzeby ludzi w innych zawodach.

– Uważam, że artyści znajdują się w szczególnej sytuacji, gdyż często to oni właśnie najbardziej odczuwają nierówności ekonomiczne w naszym społeczeństwie, te same, które dotykają każdego pracownika w niepewnym zatrudnieniu. Jednocześnie jednak mamy wyjątkową pozycję, by mówić o tym publicznie, rzucić wyzwanie rządzącym. Musimy to robić – podkreśla pisarka.

Wolność tworzenia

Wśród Irlandczyków, gdy chodzi o wsparcie dla sztuki, panuje zadziwiający – zwłaszcza w porównaniu z Polską – konsensus. Podczas społecznych konsultacji przeprowadzonych po zakończeniu pilotażowego programu niemal wszyscy ich uczestnicy – bo aż 97 proc. – opowiedziało się za kontynuowaniem BIA. Według połowy ankietowanych, obecna wysokość wsparcia, czyli 325 euro tygodniowo, jest wystarczająca, 44 proc. uważa, że to za mało.

– To przejaw zdrowia naszego społeczeństwa, jeśli wspiera ono sztukę z publicznych funduszy – uważa Elinor O'Donovan. – Jestem przekonana, że nie moglibyśmy żyć bez kultury. Jeśli zastanowimy się, ile artystycznej kreacji jest w ludzkim życiu, to widzimy, że sztuka jest wszędzie – wskazuje Cutaya. – Pomaga ludziom być razem, przetrwać trudne chwile.

– BIA daje wolność tworzenia znacznie większą niż granty. Pozwala zatrzymać w Irlandii artystów, którzy w przeciwnym razie by stąd wyjechali, z powodu kryzysu mieszkaniowego, kosztów życia i niepewnej sytuacji w branży – mówi Caelainn Hogan. – W czasach kryzysów sztuka to potężna siła: pozwala mówić prawdę władzy, rzucać wyzwanie nierównościom, wzmacniać społeczności i inspirować do zmian. Sztuka jednoczy ludzi. Jest przestrzenią rozmowy, odpoczynku i radości. Jest bardzo ważna.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

NA NAUKĘ NIGDY NIE JEST ZA PÓŹNO. TAKŻE W CYFROWYM ŚWIECIE

Jesień to dobry czas, by nauczyć się korzystania ze smartfona, komputera czy internetu. Wielu starszym osobom wciąż sprawia to trudność. Czasem przeszkodą jest jednak nie sama technologia, ale wstyd przed przyznaniem się, że czegoś nie wiemy. A uczyć możemy się przecież w każdym wieku.

Dla młodych internet jest czymś naturalnym. Dorastali z komputerami, smartfonami i aplikacjami. Starsze pokolenia pamiętają czasy, gdy listy wysyłało się pocztą, rachunki opłacało w okienku, a bilety kupowało w kasie. Dziś te sprawy można załatwiać przez internet. Trzeba tylko wiedzieć, jak to zrobić.

DWA POKOLENIA, DWA CYFROWE ŚWIATY

Różnice widać w statystykach. W Polsce prawie 74% osób w wieku 16-24 lata ma co najmniej podstawowe umiejętności cyfrowe. Wśród osób w wieku 55-74 lata jest to zaledwie 22%, podczas gdy średnia unijna wynosi prawie dwa razy więcej – 43%. I choć coraz więcej polskich seniorów korzysta z sieci, to niestety często tylko w ograniczony sposób. Potrafimy znaleźć połączenie kolejowe, ale o zakup biletu prosimy wnuczkę. Przeglądamy oferty sklepów, lecz nie kupujemy samodzielnie, bo trzeba zalogować się do banku i zapłacić. Czytamy posty w mediach społecznościowych albo ogłoszenia, ale sami niczego nie publikujemy. Przesyłamy obrazki z życzeniami, ale nie potrafimy zrobić kartki. Tymczasem internet pozwala płacić rachunki, załatwiać sprawy urzędowe czy korzystać z Internetowego Konta Pacjenta. Warto poznać jego możliwości i zamiast tylko przeglądać treści, nauczyć się z nim pracować.

NIE WIEM, ALE WSTYDZĘ SIĘ ZAPYTAĆ

Dlaczego obawiamy się nowych rzeczy? Po pierwsze z przyzwyczajenia. Skoro przez lata kupowaliśmy bilety do kina w kasie, po co robić to przez internet? Gdy trzeba coś załatwić online, wolimy znaleźć inny sposób lub poprosić o to młodszą osobę. Z czasem zaczynamy też ograniczać własne potrzeby – nie chcąc, co chwilę naprzykrzać się bliskim. Bywa też, że zwyczajnie wstydzimy się pytać.

Nowe rozwiązania wydają się „zbyt trudne" albo „niepotrzebne". Do tego dochodzi lęk przed pomyłką, utratą pieniędzy czy oszustwem. Obawiamy się, że klikniemy coś niewłaściwego lub udostępnimy komuś swoje dane.

MAŁE KROKI, DUŻA SAMODZIELNOŚĆ

Jeśli lęk jest duży, warto przypomnieć sobie, jak to było, gdy uczyliśmy się jeździć na rowerze. Najpierw każdy ruch wymagał uwagi, potem wszystko stawało się łatwiejsze, aż w końcu nawet przestaliśmy zastanawiać się nad kręceniem pedałami, i teraz tylko wsiadamy i jedziemy, jakbyśmy robili to naturalnie, od zawsze. Podobnie jest z komputerem i smartfonem. Dziś możemy nauczyć się wysyłać zdjęcia i mejle, jutro kupować bilety, a za tydzień korzystać z bankowości internetowej.

Możemy też uczyć się w domu, oglądając filmy instruktażowe i korzystając z kursów internetowych, czyli e-learningu. Jeśli na początku trudno nam się na nie zapisać lub uruchomić lekcję, poprośmy bliskich o pomoc. Ważne jest własne tempo, powtarzanie czynności i możliwość zadawania pytań. To normalne, że nie wszystko zapamiętamy za pierwszym razem.

MIEJSCE, W KTÓRYM MOŻNA PYTAĆ

Nie zawsze łatwo jest się uczyć z internetu czy od rodziny. Dlatego warto sprawdzić, czy w naszej okolicy działają **Kluby Rozwoju Cyfrowego (KRC)**, w których dorośli mogą bezpłatnie uczyć się obsługi smartfona, komputera i internetu, zgodnie z hasłem „Kompetencje cyfrowe dla każdego". Nie trzeba mieć doświadczenia. Można przyjść z konkretnym problemem albo po prostu z chęcią nauki. Edukatorki i edukatorzy tłumaczą wszystko od podstaw, krok po kroku, dostosowują tempo i pozwalają ćwiczyć tyle razy, ile potrzeba.

Można nauczyć się kupować bilety, wysyłać dokumenty, korzystać z przydatnych aplikacji czy bezpiecznie płacić w sieci. Dowiemy się tu również, jak rozpoznawać podejrzane wiadomości i chronić swoje dane. Im więcej zrozumiemy, tym mniej obaw później będzie budził internet.

ZRÓBMY PIERWSZY KROK

Jesień sprzyja nowym postanowieniom. Wystarczy wybrać jedną rzecz, której chcemy się nauczyć, i zacząć. Nie musimy nadążać za młodszymi ani porównywać się z innymi. Każda nowa umiejętność ma ułatwiać i umilać nam życie.

Na naukę nigdy nie jest za późno, a zdobywanie wiedzy może być przyjemnością. Sprawdź, czy w Twojej okolicy działa już Klub Rozwoju Cyfrowego, i zapisz się na zajęcia już dziś.

KLUBY ROZWOJU CYFROWEGO – PROJEKT WSPIERAJĄCY (KRC WSPARCIE) JEST REALIZOWANY ZE ŚRODKÓW PROGRAMU FUNDUSZE EUROPEJSKIE DLA ROZWOJU SPOŁECZNEGO 2021-2027.

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Świat w lustrze

MICHAŁ WALKIEWICZ

GRY | Grafika robi się lepsza, miasta przestronniejsze, a gangsterskie zajęcia bardziej wciągające. GTA wciąż ma jednak w sobie coś z tradycyjnej zabawy.

Hipokryzja, oto największa cnota naszej cywilizacji" – mądrzy się emerytowany gangster, który właśnie wywiódł w pole swoich rywali i policję. Oczywiście w poczuciu moralnej wyższości i nad jednymi, i nad drugimi. W scenie z gry „Grand Theft Auto V" to nie tylko celna analiza reguł przestępczej działalności, ale również metafora filozofii artystycznej, na gruncie której zakwitła cała opowieść.

Możemy narzekać na jej brutalność, piętnować korporacyjną chciwość i śmiać się z ludzi, którzy widzą w popularnym cyklu gangsterskich eposów najwybitniejsze dzieło kultury popularnej. Gdy jednak przychodzi co do czego, sami grzecznie opróżniamy portfele i nakręcamy marketingową karuzelę. I to 19 listopada szósta odsłona „Grand Theft Auto" stanie się największą i najdroższą premierą w historii rozrywki.

Pieniądze

Podobno globalna popkultura wchodzi w erę decentralizacji. Rozpada się na małe społeczności o własnym języku, wyjątkowych sposobach komunikacji, rytuałach i potrzebach względem sztuki.

Małe filmy zarabiają coraz większe pieniądze. Lokalne zespoły pokonują ekspresową drogę do sławy. Niezależne studia deweloperskie ucierają nosa wielkim wydawcom gier. Dawid zaskakująco często wygrywa z Goliatem, zaś w dobie kryzysu okrzepłych systemów ekonomiczno-artystycznych (takich jak Hollywood) na fali wznoszącej jest to, co niewielkie, niszowe i spersonalizowane.

I wtedy – na wypadek, gdybyśmy pomyśleli, że piekło zamarzło – na scenę wkracza GTA VI. Całe na kolorowo, w poliestrowej marynarce, przy akompaniamencie neonowego popu i z walizką pełną wysokich nominałów. Ponad 1,2 mld dolarów – tyle miał wynieść budżet produkcji (bez kosztów marketingu). I, jak donoszą analitycy rynku, tyle samo pieniędzy amerykańska gospodarka ma stracić na urlopach pracowniczych z okazji premiery.

Astronomiczny budżet zawstydza nie tylko branżę filmową – gra kosztuje tyle, co największe hity tego roku, czyli „Odyseja", „Diuna" i „Avengers: Doomsday" razem wzięte. Zamienia również we fraszkę „marne" 265 mln dolarów, które pochłonęła realizacja poprzedniej odsłony cyklu – wydanego w 2013 r. GTA V.

Tę ostatnią grę studio Rockstar Games oraz wydawca Take-Two Interactive eksploatowały przez 13 lat, wypuszczając coraz to nowsze wersje, rozbudowując tryb wieloosobowy, śmigając wokół leciwej produkcji z podkładem i tuszem do rzęs. Wycisnęli z niej – nie regulujcie internetu i nie prasujcie papieru – blisko 10 mld dolarów.

W teorii wszystko to odzwierciedla kulturalny układ sił w makroskali – roczne wpływy ze sprzedaży gier wideo już przed dekadą przekroczyły połączone siły branży filmowej, muzycznej i literackiej. W praktyce mówi to znacznie więcej o fenomenie samego GTA VI, które jeszcze przed rynkowym debiutem bije kolejne rekordy. Przekraczając 10 mln zamówień przedpremierowych, gra stała się najbardziej wyczekiwaną produkcją w historii medium. Co ciekawe – zdetronizowała w tej konkurencji polski „Cyberbunk 2077".

Muzycy śpiewają o GTA, ponieważ chcą trafić do wirtualnych stacji radiowych. Filmowcy nawiązują do konwencji „niezobowiązującego chaosu", ponieważ GTA zbudowało ich wizualną wrażliwość. Przestępcy płaczą na myśl o odsiadkach, ale nie z powodu swoich zbrodni, tylko dlatego, że „przegapią GTA". Ten ostatni obrazek, zarejestrowany w styczniu bieżącego roku, mrozi krew w żyłach. Jego bohater, 35-letni Robert Ritchens z Oxfordshire, dostał dożywocie za zamordowanie byłej dziewczyny.

Jak na ironię, podobne sytuacje są dziś błyskawicznie wyłączane z kontekstu i stają się częścią specyficznie pojmowanego kolorytu serii. Na dobre i na złe, opowieść o GTA to w końcu opowieść o medialnej nagonce na gry i o frustracji spowodowanej polityczną poprawnością; o tym jak definiujemy „swobodę" w interaktywnym medium i o wentylu bezpieczeństwa w niebezpiecznym świecie.

Historia

Kręgi na wodzie rozchodzą się od strony Edynburga. To tam mieści się siedziba firmy Rockstar North, którą od blisko trzech dekad utożsamiamy z olbrzymim sukcesem serii „Grand Theft Auto". Założono ją na gruzach i z wykorzystaniem personelu mniejszych studiów, z DMA Design – autorami pierwszego GTA – na czele.

Dziś, dzięki współpracy z holdingiem Take-Two Interactive, firma może sobie pozwolić na wszystko. Na przykład na dziesięcioletnie przerwy w cyklu wydawniczym. Albo na pominięcie tradycyjnych kanałów promocji. Ekskluzywny rzut oka na rozgrywkę obejrzało w sierpniu na Netfliksie w zaledwie cztery dni ponad 30 mln ludzi.

Opowieści o początkach GTA mają klasyczny „partyzancki" zaśpiew. Gra była bliska kasacji, przechodziła cykl mutacji z innych tytułów, jej twórcy zmagali się z przerwami w finansowej płynności i szli na noże z wydawniczymi gigantami. Kształt, w jakim GTA znamy dziś – to jest symulator przestępcy w wielkim mieście – formował się długo, a produkcja rodziła się w bólach.

Ostatecznie, gdy wydano ją w listopadzie 1997 r., zarówno media, jak i najbardziej konserwatywni gracze nie byli pod wrażeniem. Krytykowali grafikę, anachroniczną technologię oraz pretekstową fabułę. Przypomnijmy, że zaledwie rok wcześniej na poszukiwanie Atlantydy wyruszyła Lara Croft; do posiadłości Spencera pod Raccoon City wkroczyli bohaterowie „Resident Evil"; bezimienny śmiałek wyruszył na poszukiwania „Diablo", a naelektryzowany Pikachu po raz pierwszy wykrzywił ryjek w zdziwieniu.

GTA nie mogło rywalizować z tymi tytułami ani technologią, ani zamaszysto-



MATERIAŁY PRASOWE

„Grand Theft Auto VI", Rockstar Games

ścią konceptu. Miało jednak coś, o czym konkurencja mogła tylko pomarzyć. Oto gwałtownie rosnący kulturowy potencjał gier zrymował się z dojrzałością pierwszego pokolenia graczy. Naraz gra autorstwa DMA Design stała się synonimem bezpretensjonalnej zabawy dla dorosłych, metaforą całkowitej swobody w wirtualnym świecie; piaskownicą, w której bez żadnych konsekwencji mogliśmy zostać siewcami chaosu i tańczyć na granicy moralności.

Jaskrawym i groteskowym symbolem tej swobody stał się wypalony na ekranach telewizorów napis „Gouranga!", premiujący rozjeżdżanie samochodem członków ruchu Hare Kryszna. Jej ewangelistą został natomiast Max Clifford – legendarny brytyjski spec od PR-u, były współpracownik Marlona Brando i O.J. Simpsona, który zmarł w więzieniu, okryty niesławą, skazany za przestępstwa seksualne.

Clifford był głównym strategiem podczas marketingowego szturmu GTA na Wielką Brytanię. Nie chadzał na przerwy obiadowe, a telefon miał przyklejony do dłoni. Przez 24 godziny na dobę nękał dziennikarzy, polityków, komentatorów życia publicznego oraz redakcje tabloidów. Kłamał, jątrzył, podjudzał, prowokował afery. Wszystko po to, by o grze zrobiło się głośno. I jak nietrudno się domyślić, dopiął swego.

Polityka

Instytucjonalny opór wobec GTA rósł wprost proporcjonalnie do popularności serii. Jej historia odmierzana była kolejnymi zakazami, sądowymi bataliami albo przesłuchaniami na szczytach władzy.

Na przestrzeni kolejnych dwóch dekad twórcy zbierali cięgi na kilku frontach. Mieli na pieńku z brytyjską policją, która przy okazji premiery GTA 2 w 1999 r. dostrzegła w grze niebezpieczne romantyzowanie przestępczości zorganizowanej. Odpierali ataki organizacji pozarządowych, od Matek Przeciwko Pijanym Kierowcom, po Amnesty International. Parol zagiął na nich burmistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg w komitywie z „New York Timesem". Wściekł się nawet rząd Haiti, zniesmaczony cyfrowym portretem mniejszości etnicznej na Florydzie.

Epatowanie przemocą, seksualizacja kobiet, promowanie niemoralnych postaw, narkotyków i alkoholu... Te same zarzuty wracały w rozmaitych konfiguracjach. Powiększał się natomiast korowód oburzonych. Już przy okazji premiery pierwszej części gry lord Gordon Campbell, baron z Croy, weteran II wojny światowej i szkocki sekretarz stanu, grzmiał w Izbie Lordów o demoralizacji młodzieży oraz drogowym piractwie.

Kilkanaście lat później dołączyła do niego Hillary Clinton za sprawą słynnej afery „Hot Coffee". Zamieszanie dotyczyło ukrytej w grze „GTA: San Andreas" minigry o charakterze seksualnym. Choć twórcy celowo zanurzyli ją w wannie nakrytej kołdrą, a całość zalali betonem, cwani gracze znaleźli sposób, by obejść zabezpieczenia kodu.

Pod koniec 2004 r. Clinton skierowała sprawę do Kongresu, co – po raz pierwszy w historii firmy – zamroziło produkt na sklepowych półkach w liberalnych obyczajowo i ekonomicznie krajach. Ostatecznie firma dogadała się z Federalną Komisją Handlu oraz organizacją ratingową ESRB. Trudno jednak dostrzec w tym zwycięstwo rządu. Konieczność oznaczania treści seksualnych w nadchodzących produkcjach okazała się zaskakująco łagodnym wymiarem kary.

Sympatyzujący z Republikanami prawnik Jack Thompson był znacznie skuteczniejszy w ciąganiu Rockstara i Take-Two po sądach. Po nieudanych krucjatach przeciw „Mortal Kombat" i „Doomowi" niezwykle popularny „symulator zbira" stał się jego prywatnym Moby Dickiem. ↦

↦ W 2003 r. Thompson powiązał strzelaninę w Newport w Tennessee, dokonaną przez parę nastolatków, z grą GTA III. Reprezentując rodziny ofiar, wystąpił o 246 mln dolarów zadośćuczynienia. Na drodze stanęła jednak Pierwsza Poprawka do Konstytucji USA i sprawę przegrał.

Dwa lata później, ignorując materiał dowodowy zebrany przeciw Devinowi Moore'owi, zabójcy trzech policjantów z Alabamy, obwinił o zbrodnię wydawcę „GTA: Vice City". I znów poniósł sromotną porażkę. Przyczyny zbrodni dostrzeżono w patologicznej rodzinie oskarżonego. Zaś sam Thompson, podsycając narrację o szkodliwości gier w procesie cywilnym, naruszył etykę zawodową do tego stopnia, że został pozbawiony licencji w całym stanie.

Za Alabamą poszedł wkrótce Sąd Najwyższy Florydy. Pomimo ugody zawartej w 2007 r. z Take-Two Thompson był już na wylocie z palestry. Zebrano przeciw niemu całą teczkę dowodów – od fałszowania zeznań, po obrażanie sądu.

GTA było zakazywane m.in. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Chinach, Kuwejcie, Libanie oraz – z racji nałożonych sankcji – w Rosji. Grę cenzurowano w Niemczech i Japonii, zaś w Australii modyfikowano tak, by spełniała restrykcyjne wymagania sprzedaży. Była też sednem dyskusji na temat „współczesnego niewolnictwa" uprawianego przez korporacje, a także workiem treningowym dla lobbystów za wzmożoną kontrolą rządu nad branżą gier.

Ostatecznie popkulturowy triumf gry odgradzał „produkt" od „szumu". Kluczowe znaczenie miał fakt, iż produkt – wbrew całemu szumowi – był naprawdę dobry.

GTA to opowieść o swobodzie twórczej i poszukiwaniu **wentylu bezpieczeństwa w niebezpiecznym świecie.**

Satyra

Z kuferka z popkulturowymi skarbami scenarzyści wyciągali kolejne fanty. Ramówki fikcyjnych stacji radiowych zapełniały się legendami muzyki – od Michaela Jacksona, przez Toma Petty'ego i Philippa Glassa, po Kendricka Lamara. Głosu bohaterom użyczali m.in. Burt Reynolds, Ray Liotta, Peter Fonda i Samuel L. Jackson.

Zasadą organizującą fabułę był z kolei flirt z klasyką gangsterskiego kina. „Vice City" stanowiło miks „Policjantów z Miami", „Człowieka z blizną" i „Życia Carlita". „San Andreas" kokietowało graczy klimatem wschodniego wybrzeża, zaklętego w filmach Johna Singletona („Chłopaki z sąsiedztwa") i Antoine'a Fuquy („Dzień próby"). GTA IV cofało się stylistycznie do lat 70., by przypomnieć o brudnych ulicach, którymi chadzali Martin Scorsese i William Friedkin. Z kolei z okładki „GTA: London 1969" łypała nieoficjalna „wersja" młodego Michaela Caine'a – brytyjskiej legendy gangsterskich lat 60.

Orężem, którym GTA wywojowało sobie miejsce na szczycie branży rozrywkowej, była jednak satyra. Zazwyczaj na Amerykę, najczęściej – na cały świat. Bezczelna kpina z polityków chodzących na paskach korporacji, spolaryzowanego w każdym możliwym sensie społeczeństwa, skorumpowanych władz miejskich i służb porządku publicznego, albo znieczulicy w cyfrowym świecie. Do wyboru, do koloru.

To satyra przechylała szalkę w sądowych bataliach. To ostentacyjna ironia konwencji wytrącała broń wysoko postawionym przeciwnikom serii. To gatunek będący w istocie „kontrolowanym buntem" odstraszył od GTA reklamodawców. W pstrokatym świecie policjantów i złodziei nie istnieją prawdziwe marki, rzeczywiste samochody czy licencjonowane zegarki. Niemal wszystko błyszczy światłem odbitym w lustrze pastiszu lub parodii.

Wszystko jest umowne, bo i wszystko jest „umową" – firma produkująca grę daje nam wirtualny świat, w którym możemy się zanurzyć, a my, przynajmniej w teorii, nie traktujemy go zbyt poważnie. Grafika robi się coraz lepsza, miasta coraz przestronniejsze, a gangsterskie zajęcia coraz bardziej wciągające. GTA wciąż ma jednak coś z tradycyjnie definiowanej zabawy, z którą kojarzymy gry wideo.

Najnowsza część, utrzymana w konwencji uwspółcześnionej wersji „Bonnie i Clyde", otwiera nowy rozdział w tejże zabawie. O ważny fabularnie oraz „mechanicznie" związek pary bohaterów trzeba będzie dbać jak o własny. Media już tarabanią: czy randkowanie, uprawianie seksu i oglądanie Netfliksa z wirtualną partnerką (lub partnerem) to zdrada?

Zdania są podzielone. Jedno natomiast jest pewne. W tym *love story* zakochamy się na kolejną dekadę.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Niebawem również tekst Marcina Giełzaka o GTA i świecie gier.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY





▪ *Jacek Mulczyk-Skarżyński,*
OH LÀ, LÀ! FRANCJA DLA DOCIEKLIWYCH,
il. Julia Bardziejewska, Dwie Siostry

Chyba każdy emigrant, który zjeżdża do Polski, spotkał się z pytaniem: „No to jak tam jest w tym/w tej...". Krewni i znajomi oczekują Anglii, Niemiec czy USA w kapsułce. Relacji z pierwszej ręki, ale obiektywnej. Opowieści prawdziwej, ale jednak nieburzącej stereotypów. Bo te, jak wiadomo, stanowią podwaliny naszej wiedzy o świecie. A podwalinami nie należy trząść. Ponieważ mieszkam we Francji, u pytających wyczuwam głód relacji z lepszego świata, krainy elegancji i luksusu zaludnionej przez szczupłe kobiety, szarmanckich mężczyzn i dzieci, które nie grymaszą. Już dawno przestałam opowiadać o wszędobylskich szczurach i karaluchach, długich godzinach pracy i krótkich urlopach macierzyńskich. Koncentruję się na sztuce i kulinariach, malując obraz wybiórczy, ale zgodny z oczekiwaniami. Na taką łatwiznę nie poszedł Jacek Mulczyk-Skarżyński, znany jako Pan od francuskiego. A teoretycznie mógłby, bo przecież swoją książkę kieruje do dzieci od lat ośmiu. Mógłby więc stworzyć tekstową wersję albumu Mizielińskich, ograniczając się do szlagierów: croissant, beret, wieża Eiffle'a, niech jedzą ciastka, wiwat rewolucja! Tymczasem autor stworzył obraz świeży, zniuansowany i, mimo przystępnej formy, wcale nie uproszczony. Na te święta planuję zamówić kilka egzemplarzy i rozdawać je bliskim, nawet tym w wieku już mocno niedziecięcym. Są tu kulinaria i kolonializm, sport i technika, krajoznawstwo i popkultura. Nie brak historii i geografii, urbanistyki i literatury. Jest systematyka francuskich pocałunków i opis atrakcji turystycznych Heksagonu. Przeczytamy, czemu we francuskich szkołach nie ma krzyży, co jada się na podwieczorek, skąd zamiłowanie do strajków i ile ważnych wynalazków zawdzięczamy żabojadom (oraz że żab wcale nie spożywa się często, choć już ślimaki z masełkiem owszem). Za szczególnie cenne (a konkurencja jest duża, bo jest nawet rozdział „Prawa kobiety i obywatelki") uważam części poświęcone nauce i technice. Dziś bowiem Francja kojarzy nam się głównie z modą i sztuką, ale dała światu również szczepionki (Pasteur), balony (bracia Montgolfier) i segregację odpadów. Wynalazków od metra (wzorzec z Sèvres), a przeszłość – świetlana (fotografia i kino też narodziły się we Francji). Szczególne brawa należą się autorowi za zacięcie językoznawcze. Pan od francuskiego ma, jak mawiają Francuzi, kilka czapeczek, i oprócz tego, że bywa pisarzem, jest też belfrem. I to z tych charyzmatycznych, którzy potrafią rozbudzić pasję do przedmiotu. Wspaniale pokazuje więc nie tylko, ile polski zawdzięcza francuszczyźnie, lecz także jak różnorodny jest to język. Bo pewnie nie wszyscy wiedzą, że w samej Francji jest sporo języków regionalnych, a na świecie – wiele odmian francuskiego. Świetnym pomysłem jest fonetyczny zapis nazw własnych i zwrotów, które pojawiają się w tekście, oraz sprytne mnemotechniki ich zapamiętywania.

© DOROTA MALINA



▪ *Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz,*
JEDYNA POCIECHA W TYM, ŻE MOŻE BYĆ GORZEJ.
Listy zebrał, opracował i komentarzami opatrzył Emil Siwierski, Znak-Warstwy

Korespondencja zaczyna się oficjalnym listem z 1953 r., w którym młody poeta Tadeusz Różewicz pisze do redaktorki „Życia Literackiego" Wisławy Szymborskiej i załącza wiersz „Na odejście poety". Pisemną historię tej znajomości zakończy kartka urodzinowa od noblistki z 2011 r.: „Tadeuszu! Życie zaczyna się po dziewięćdziesiątce!". Pomiędzy tymi datami mieści się blisko sześć dekad przyjaźni. Nie jest to najbardziej medialna przyjaźń Szymborskiej. Nie ma w niej rozmachu tej z Herbertem (na podstawie której Stary Teatr w Krakowie wystawił sztukę „Kochana Wisełko, najdroższy Zbyszku" w reż. Mikołaja Grabowskiego – wciąż graną i lubianą). Znajomość Szymborskiej i Różewicza nie miała wielu świadków, na słynnych loteryjkach u poetki Różewicz nie bywał – a mimo to dzięki znakomitej pracy autora zbioru, Emila Siwierskiego, ta relacja nadal żyje. „Jeśli nie zechce mi pan przysłać choćby 3 małych wierszy, to zacznę chyba drukować libretto »Halki«! Nie powinien pan do tego dopuścić!" – Szymborska przez lata pozostaje jedną z najzagorzalszych kibicek twórczości Różewicza. Nie przyjmuje jego wymówek: że poezji właściwie już nie pisuje, że nie ma do tego serca. Czeka, namawia, ponagla. Jedną z najciekawszych historii opowiedzianych w książce jest ta dotycząca młodziutkiego Artura Barcisia, zwycięzcy konkursu recytatorskiego, w którego jury zasiadała Szymborska. Chłopiec deklamował długi i pełen mroku „Niejasny wiersz" Różewicza. Noblistka miała nosa do przyszłego aktora – pisała do przyjaciela: „wygląda toto na 12 lat, chuderlawe, trochę dziwne, biedne i przerażająco zdolne". Wydawnictwo Znak w kooperacji z Warstwami stworzyło nie tylko świadectwo pewnej znajomości, lecz także piękny przedmiot. Idealnie dobrana szata graficzna ze skanami pocztówek, a nawet okładek książek dołączanych do liścików, wycinanki poetki, świetne, rozjaśniające lekturę przypisy – wszystko to sprawia, że nawet czytelnicy niechętni korespondencyjnym książkom nie będą mieli na co narzekać. Warto pokibicować tym dwojgu, nawet jeśli to wszystko już się wydarzyło.

©℗ EWELINA LEBIDA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" DODATEK

Europe BEYOND. Kultura tworzy przyszłość

Unia Europejska stawia kulturę i sztukę w centrum myślenia o przyszłości naszego kontynentu. W czerwcu 2027 r. w Katowicach spotkają się artyści, intelektualiści i przedstawiciele instytucji kultury, by porozmawiać o wyobraźni, odporności i sprawczości.

Zobaczyć Neapol



ANITA PIOTROWSKA

FILM | „Gradiva” bez pośpiechu i bez cienia dydaktyzmu pokazuje, jak bardzo niedostrzegalny może być nastoletni ból bycia w świecie – zbrutalizowanym, zhierarchizowanym, odgórnie zaprogramowanym.

„Spróbujmy zrozumieć, co się stało” – zachęca pani Mercier, nauczycielka z francuskiego liceum. Jednakże w filmie „Gradiva” nie chodzi o to, by szukać motywów zdarzenia, które miało miejsce podczas szkolnej wycieczki na południe Włoch. Film Marine Atlan to przykład kina niezwykle wrażliwego, oglądanego niczym pompejański fresk: pozwala swobodnie błądzić, zatrzymywać się w nieoczekiwanych miejscach i snuć wyobrażenia, a nie stawiać twarde diagnozy. Choć jednocześnie ten rozwibrowany portret bohaterów u progu dorosłości świetnie wpisuje się w dzisiejsze debaty na temat szkoły czy w ogóle edukacji. Nie tylko francuskiej, której nabrzmiałe problemy wybuchły raptem kilka tygodni temu.

Zanim pociąg dowiezie nas do Neapolu, reżyserka wrzuca nas w sam środek wydarzeń. Oto zazdrosny Toni (Colas Quignard) podgląda Jamesa (Mitia Capellier-Audat), klasowego „sigmę” uprawiającego w przedziale seks z Angelą (Hadya Fofana). Jego zaś podpatruje kujonka Suzanne (Suzanne Gerin) – i dopiero z czasem dowiemy się, jaka jest właściwa konstelacja tych zazdrości. Nie będzie jednak typowej klasowej dramy, albowiem to zupełnie inny rodzaj kina. W kolejnej scenie Toni opowiada kolegom o swoich neapolitańskich przodkach tudzież o rodzinnej tragedii spowodowanej trzęsieniem ziemi z 1980 r. I znowu – „Gradiva” raczej pozornie, albo dość paradoksalnie, będzie filmem o powracaniu do korzeni.

Wydaje się, jakby debiutująca reżyserka, która osobiście stanęła za kamerą, podpatrywała dynamikę nastoletnich relacji, ale i czerpała z nich niespokojną energię. Wyśmienitą scenerią dla ukrytych pragnień i wewnętrznych zranień staje się samo miasto u stóp Wezuwiusza, a że trudno reżyserować Neapol, bierze go reżyserka z całym dobrodziejstwem inwentarza – z malowniczym chaosem, duchem Maradony, rozśpiewanymi trattoriami, procesjami religijnymi i staruszkami spuszczającymi z okien koszyki na zakupy. Mimo że scenariusz Atlan (napisany z Anne Brouillet) jest swobodną adaptacją powieści „Gradiva” Wilhelma Jensena z 1902 r., wnikliwie analizowanej przez Freuda, film zamiast ciężkiej symboliki proponuje wybitnie zainscenizowany strumień życia. Ale i to nie wszystko.

Podczas wycieczki do Neapolu i Pompejów ujawnia się, oprócz erotycznych tęsknot, nastoletnich kompleksów i dziedziczonych traum, jak wiele dzieli uczniów ostatniej klasy liceum. W oczekiwaniu na wyniki rekrutacji wychodzą na jaw różnice społeczne, w tym również rasowe, które już za chwilę zdeterminują życiową drogę wielu z nich.

Bohaterowie dyskutują o tym z wielkim zapałem, posiłkując się różnymi poglądami politycznymi czy lekturą Pierrèa Bourdieu. Zresztą grający uczniów bardzo przekonujący naturszczycy zostali znalezieni przez reżyserkę między innymi na... paryskich demonstracjach pierwszomajowych. Także grane przez nich postacie zdążyły dostrzec, że sławetna francuska *égalité* słabo realizuje się w państwie z niedofinansowanym sektorem publicznym i w społeczeństwie opartym na dziedziczonych przywilejach.

Ich beneficjentem jest chociażby James, klasowy casanova, który złamał serce również Toniemu. Ten z kolei żyje rodzinną historią o arystokratycznych przodkach z Campanii i dla niego zobaczyć Neapol znaczy tyle, co uwierzytelnić romantyczną legendę. A gorącym uczniowskim debatom przysłuchuje się ich nauczycielka, której rola w całej historii okaże się znacznie większa niż opowiadanie o starożytności i geologii wulkanów czy pilnowanie dyscypliny. Pani Mercier (Antonia Buresi), łacinniczka z pasją, acz nieco już zmęczona pracą w szkole, prześlepi coś, co zdoła wyłapać czujna i czuła kamera Marine Altan.

Być może dostrzegła to wcześniej Suzanne, prymuska, outsiderka i uważna obserwatorka erotycznych napięć. To bodaj najciekawsza postać – uchodząca w klasie za nieatrakcyjną i tym samym „niepopularna”, przeżywająca w skrytości własne pożądania i ambicje. Oryginalny tytuł, „La gradiva” oznacza „kroczącą” i nawiązuje do antycznej figury, która była ważną bohaterką literackiego pierwowzoru, powracającą teraz na ekranie w erotycznym śnie niespełnionej Suzanne. A w finale



GRADIVA
(La Gradiva) – reż. Marine Atlan. Prod. Francja/Włochy 2026. Dystryb. Jamnik Films. W kinach od 27 listopada.

Marine Atlan posiada wykształcenie operatorskie i przez kilkanaście lat pracowała we Francji jako uznana autorka zdjęć filmowych. Następnie zajęła się reżyserią, a po nakręceniu kilku krótkometrażówek zadebiutowała filmem „Gradiva", który znalazł się w konkursie canneńskiego Tygodnia Krytyki i zdobył tam Grand Prix.

Na zdjęciu: Mitia Capellier-Audat w scenie z filmu „Gradiva"

nieoczekiwanie to ona przejmuje rolę narratorki, komentującej z czasowego dystansu dalsze losy bohaterów.

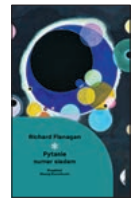
W ogóle dużo się w tym filmie rozmawia, co jest cechą wielu filmów francuskich ze szkołą publiczną w roli głównej i, chcąc nie chcąc, staje się ona soczewką skupiającą znacznie szersze problemy. Ten film daje się też czytać w zupełnie innej skali: jako historia bardzo osobista. W czołówce „Gradivy" pojawia się seria fotografii, czarno-białych i kolorowych, autentycznych widoków Neapolu i obrazów sfabrykowanych dla potrzeb filmowej fikcji – warto na nie zwrócić uwagę, bo właśnie w tych kadrach zaklęta jest rodzinna historia Toniego, jej „grzech założycielski".

I nic dziwnego, że Atlan swój pierwszy film zadedykowała „wszystkim, którzy nie są stąd", co można rozumieć na wiele sposobów. Podobnie jak główny bohater, ma dość splątane korzenie – jej ojciec, zanim przyjechał do Francji, był Żydem z Maghrebu. Lecz nie tylko o etniczne pochodzenie chodzi w tej dedykacji, ani nawet nie o pogubionych współczesnych nastolatków czy jakkolwiek rozumianą nienormatywność.

„Gradiva" bez pośpiechu (trwa prawie dwie i pół godziny) i bez cienia dydaktyzmu pokazuje, jak bardzo niedostrzegalny może być nastoletni ból bycia w świecie – zbrutalizowanym, zhierarchizowanym, odgórnie zaprogramowanym. W gipsowych odlewach ludzkich ciał, zastygłych w ruchu pod wulkaniczną lawą i oglądanych dwa tysiące lat później przez francuskie dzieciaki, znajduje reżyserka wystarczająco nośną figurę, rozpiętą między przygodnością i fatalizmem. Mówi o tym żywym dialogiem i płynnym językiem filmowym, złożonym z obrazów intensywnych i zmysłowych, dzięki czemu trzyma się możliwie najbliżej swoich młodych bohaterów.

Pozwala wyczuć, jak bardzo, pomimo towarzyskiego wyluzowania i ogólnej akceptacji dla rozmaitych odmienności, czują się niedopasowani. I jak łatwo rozbudzić tę drzemiącą pod skórą lawę. Od pierwszych minut Atlan zanurza w niej swojego widza, uwodząc go nie tyle kinowymi atrakcjami, co surową autentycznością – stąd porównania „Gradivy" do filmu wideo z wycieczki klasowej należy uznać za komplement. Pod powierzchnią jest bowiem dramat dzisiejszego dorastania, w całym jego okrucieństwie i pięknie. ©

Lektor: *Równanie*



▪ *Richard Flanagan,*
PYTANIE NUMER SIEDEM
tłum. Maciej Świerkocki, Czarne, Wołowiec 2026

W genialnej „Wojnie światów" Wells, zastanawiając się nad bezlitosną obojętnością Marsjan wobec Ziemian, pisze tak: „Zanim osądzimy ich zbyt surowo, przypomnijmy sobie, jak bezlitośnie tępił własny nasz gatunek nie tylko zwierzęta, bizony czy ptaki dodo, ale i inne rasy ludzkie, na niższym stojące szczeblu rozwoju. Choćby Tasmańczycy wytępieni doszczętnie w ciągu pięćdziesięciu lat przez przybyszów z Europy".

Skąd Wells i Tasmańczycy, i ten etnocyd, który dokonał się stosunkowo niedawno, bo w XIX stuleciu? Cytujący Wellsa Richard Flanagan urodził się w 1961 r. w Longford na Tasmanii i na tej wyspie się wychował. Poznaliśmy go dotąd z kilku powieści, pośród których znalazły się nagrodzone Bookerem „Ścieżki Północy". Teraz otrzymujemy rodzaj gatunkowej hybrydy, trochę autobiograficzny esej, trochę pisarski autokomentarz, trochę refleksję nad rolą przypadku i nad złem, które może być większe lub mniejsze, ale złem pozostaje. „Nie istnieje równanie na okropności".

Wstydliwa przeszłość rodzinnej wyspy – bo to nie tylko skuteczne ludobójstwo rdzennej ludności (choć wedle Flanagana pewna część współczesnych Tasmańczyków, może i on sam, ma wśród przodków mieszańców), ale też podział na „gorszych" potomków zesłańców i „lepszych" dobrowolnych osadników, oraz niszczenie lasu deszczowego – splata się z drugim wątkiem, w którym też pojawia się Wells wraz ze swą kochanką Rebeką West, jako autor niezbyt udanej, choć proroczej powieści „Świat wyzwolony", a także fizyk Leó Szilárd, jeden z architektów Projektu Manhattan i współtwórca bomby atomowej, który potem chciał jednak zapobiec zrzuceniu jej na Hiroszimę.

Hiroszima – kiedy bomba zrzucona przez Thomasa Ferebee zmieniła większość jej mieszkańców w chmurę, ojciec Flanagana przebywał w japońskim obozie jenieckim. Przebywał, a właściwie dogorywał. Przeżył, bo wojna wcześniej się skończyła. I znów to nieistniejące „równanie na okropności".

Pisarz niezwykle starannie układa i łączy ogniwa swoich łańcuszków przyczynowo-skutkowych. To książka wciągająca i bardzo warta lektury. No i rzadko zdarza się w literaturze, by autor opisał doświadczenie własnej śmierci – a historia wypadku na rzece Franklin taki opis zawiera. Może to Flanagan, a nie Gerald Murnane, zostanie drugim australijskim noblistą? Pierwszym był w 1973 r. Patrick White, więc sporo lat już minęło. ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Pożegnanie z architekturą



TRUDNO PRZYJDZIE SIĘ ROZSTAĆ, ALE zaczęłaś budzić we mnie strach. Zawsze miałem cię, architekturo, za szczególny dar, który potrafi wyjąć czule z samego spodu piramidy Maslowa najniższą z potrzeb człowieczych i ją zeszlifować do przeczystego klejnotu ducha. Rozpiąć dach nad głową, który nie przesłoni jednak nieba. Cóż, za dużo, dziecięciem będąc, biegałem u stóp fasad Palladia, mistrza spokojnej harmonii ani przez moment nie wiejącej nudą i długo mi zajęło zrozumienie, że już się tak nie buduje, znaczy: po ludzku. Że szukanie równowagi przestaje popłacać, być może zasób piękna możliwego do wyrażenia w materii cegieł, wapna i szkła był skończony, a biedni nowi projektanci skrobią o dno estetycznej beczki.

Josif Brodski w „Znaku wodnym" przyznawał się do uwiedzenia żony pewnego architekta jako aktu zemsty za okropną budowlę, którą tenże zeszpecił jeden z zakątków Wenecji. Nawet jeśli był to pretekst wymyślony *ex post*, pomysł mi się podobał, bo chyba wiem, o jaką paskudę chodziło, a lista szkodników zasługujących na rogi od tamtego czasu się wydłużyła. Ale pobrzmiewa w tym koncepcie uprzedmiotowienie kobiety – trochę tak, jakby wielki poeta mówił „na złość facetowi porysowałem mu samochód". No cóż, po latach z pewną przykrością się dowiadywaliśmy z dawnych nagrań, na które wcześniej nikt nie zwracał uwagi, że równie pogardliwie traktował np. ukraińską kulturę.

Ale to tylko drobne przypisy do biografii kogoś, kto poszerzał oddech mowy, zwiększał zasięg naszych słów i zdań do pięciu kresek na wyświetlaczu świadomości. Zawarte w „Znaku wodnym" krótkie porady, jak widzieć i przeżywać architekturę Wenecji, pozostają przydatne, nawet jeśli trzeba poszukać jakiegoś innego słowa na tę dziedzinę ludzkiej aktywności. Termin „architektura" przejęła bowiem już na wyłączność medialno-ekspercka świta tej bandy łobuzów, którzy nad naszymi głowami chcą sobie skroić granice, państwa i budżety wedle swoich zbójeckich zamiarów.

Proste analogie rzadko wpuszczam do rubryczki, ale ta o nowej Jałcie na pewno oddaje strach i bezradność, kiedy panowie Putin, Trump i Xi przymierzają się do rozmów o nowej architekturze, najczęściej z dodatkiem „bezpieczeństwa". Podczas Kongresu Wiedeńskiego czy innych Wersali, zdaje się, nie było aż tyle obłudy, w każdym razie nie w kwestii podziału łupów, narzucania ustrojów albo wyceny, ile który naród zapłaci za bilet na koncert mocarstw. W dalszych rzędach, ma się rozumieć, a i to bez gwarancji, że na przerwie nie zostanie wyprowadzony do bufetu jako przekąska.



WISAM HASHLAMOUN / ANADOLU / GETTY IMAGES

Mało, zbyt mało się zwraca uwagi na ten upiorny dwumian „architektura bezpieczeństwa" i co on mówi o ucieczce – nie, nie tylko od wolności, panie Fromm, ale nawet od przyzwoitości. To drugie słowo w pełni przeszło orwellowską konwersję na swoje zaprzeczenie. Czuję wręcz fizyczny ból, gdy je słyszę w kontekście, który jest mi po kucharsku szczególnie bliski. Oto przecież mało co już w listopadzie chroni nas przed uśpieniem w słoiku, poza wieściami z ciepłych krajów, gdzie trwa teraz sezon na zbiory oliwek. W 20 lat przyswoiliśmy sobie w polskiej kuchni – tej realnej, żywej, nie tej z urzędowo dekretowanej tradycji – oliwę jako podstawowy tłuszcz obok masła i to wymagałoby dłuższej opowieści, może zresztą już ktoś pisze o tym doktorat. Nam tymczasem wystarczy dziś wiedzieć, że po paru latach nieurodzaju i złych prognoz, zbiory w Hiszpanii są wielce obfite (a od jednej prowincji w Andaluzji zależy cały rynek oliwny na świecie). Dotąd rolnicy narzekali, że za mało. Teraz narzekają, że za dużo. Takie tam marudzenie, nie słyszałem jeszcze producenta rolnego, który powie, że obrodziło akurat i jest szczęśliwy.

Szkoda na nie czasu, bo radość, że oliwa raczej stanieje, psuje nam coś innego, jak co roku niestety. Gaje oliwne należące do Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu znów zagrażają bezpieczeństwu. Państwa, osiedli, sam nie wiem czyjemu, ale to jest znów pretekst dla przemocy. Wobec ludzi i wobec drzew. To jest ten moment w roku, kiedy, nie wdając się w dysputy, na które jestem za głupi, o tym, kto ile zawinił i jak z tego wyjść, muszę przypomnieć, że osadnicy (a raczej fanatyczni bojówkarze) nie tylko łomocą gospodarzy idących na zbiory, ale przede wszyst-



Jedno z najstarszych drzew oliwnych na świecie (jego wiek szacuje się na ok. 5500 lat), utrzymywane przez rodzinę Palestyńczyka Salaha Abu Alego, rośnie w Al-Walaja na Zachodnim Brzegu. Palestyna, 13 października 2026 r.

kim wycinają gaje. Zniszczonych drzew co roku są tysiące, nie mam dość rzetelnych liczb, by ocenić, jak duża jest skala tego niczym nie wytłumaczalnego zniszczenia.

Ale przemoc wobec drzew przeraża mnie nawet bardziej niż nieustanne walki ludzi. Trudno na taką odległość się wypowiadać co do win i trzeba uważać, żeby nie podpiąć się pod nienawistników. Ale tak na rozum człowieka skrobiącego warzywa na zupę: co i komu może szkodzić drzewo, sto, tysiąc drzew? Jeśli faktycznie gaj oliwny zagraża bezpieczeństwu państwa (a takie powody przywołują agendy tegoż państwa, gdy utrudniają ochronę zbiorów), to znaczy, że coś z tym państwem jest głęboko nie tak. Mimo całej empatii, jaką się odczuwa dla narodu idącego pod komendą tego państwa na manowce.

Olea europaea brzmi nazwa botaniczna. To znaczy, że jako Europejczycy może mamy prawo czuć się odpowiedzialni za każde drzewo i jego bezsensowną utratę.

Odpowiedzialność nie znaczy, że cokolwiek poradzimy. Podobnie jak nie mamy nic do gadania, kiedy nasi „architekci" będą majstrować nam zbiorowy dom. Oby tylko kuchnia nie była w nim ślepa, a spiżarnia była dość duża, byśmy się wszyscy jakoś wykarmili.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Puttanesca di mare

SKŁADNIKI:
320 g makaronu 4 fileciki anchois 400 g mrożonych pierścieni z kalmara 250 g pomidorów z puszki 300-350 g dobrych czarnych oliwek z pestką 2 łyżki kaparów z soli 100 g tuńczyka w oliwie (opcjonalnie) ▪ ząbek czosnku ▪ sól ▪ oliwa ▪ natka pietruszki ▪ białe wino

Nigdy nie pracowałem przy zbiorze oliwek i ich tłoczeniu – teraz sporo młodych jeździ do Hiszpanii, tak jak moje pokolenie wędrowało do Francji na winobranie. Oglądanie filmików niewiele daje, a chciałbym kiedyś to namacalnie poznać – bo jeśli braliście kiedyś w palce owoc (tak, owoc!) drzewa oliwnego, to wiecie, jak bardzo jest to twarda sztuka. Podobnie trudno mi pojąć, w jaki sposób zachodzi ta magiczna przemiana małego ciemnozielonego kamyczka w cudowną oliwkę ze słoja... Oto jeden z klasycznych przepisów, gdzie jakość oliwek ma wielkie znaczenie, nie wolno na nich oszczędzać – to znaczy: nie należy kupować „czarnych" oliwek z supermarketu, a już zwłaszcza takich pokrojonych, bo to jest wyprana ze smaku guma. Na polskim rynku najłatwiej znaleźć dobre greckie oliwki kalamata (także w obu sieciach dyskontów).
Podgrzewamy na wolnym ogniu na paru łyżkach oliwy rozgnieciony czosnek i fileciki anchois, uważając, żeby nie przypalić. Po pięciu minutach wrzucamy kalmary, nieco zwiększamy ogień, obsmażamy przez pięć minut, gdyby robiło się za suche, możemy wlać parę łyżek białego wina. Dodajemy pomidory z puszki, rozgniatamy je drewnianą łyżką, oraz oliwki, które pracowicie wypestkowaliśmy i pokroiliśmy na kawałki, a także kapary. Dusimy na wolnym ogniu 10 minut, co jakiś czas mieszając, potem możemy (ale nie musimy) dodać tuńczyka i dusimy jeszcze 5 minut. Dopiero pod koniec smakujemy i solimy – bo zarówno anchois, jak i kapary są dość słone, więc trzeba uważać. Gotujemy spaghetti lub inny „długi" makaron, przerzucamy na patelnię z sosem i łączymy na gorąco. Na wydaniu możemy posypać drobno posiekaną natką. Jeśli macie dostęp do malutkich kalmarów – takich, które się je w całości bez patroszenia – to danie wyjdzie jeszcze bardziej aromatyczne, wtedy oczywiście nie trzeba ich kroić na talarki. ©℗



MARTINEDEE / ADOBE STOCK

PSYCHE

CHCEMY DOBRZE

DR HAB. MARIOLA PARUZEL-CZACHURA, PSYCHOLOŻKA:

Jeśli ktoś był dobry, a teraz jest zły, to dla otoczenia stał się niemal inną osobą. Tak dużego efektu nie widać w przypadku zmiany wyglądu czy inteligencji.

EWA PĄGOWSKA: Pani się uważa za osobę moralną?

MARIOLA PARUZEL-CZACHURA: Odpowiedziałabym, myślę, tak samo jak większość ludzi, że raczej tak.

No właśnie, ja też uważam siebie za moralną. A gdzie są ci, którzy uważają się za niemoralnych? Czy oni w ogóle istnieją?

To dobre pytanie. Z tego, co wiem, naukowcy nie szukali na nie konkretnie odpowiedzi, ale w różnych badaniach zadawano wiele innych pytań dotyczących moralności i zawsze wychodziło, że ludzie pod tym względem oceniają siebie pozytywnie. Więźniowie, których badałam, w tym także ci skazani za ciężkie przestępstwa, też nie uważali siebie za złych czy niemoralnych.

Ale w ogóle dopuszcza Pani myśl, że ktoś może tak o sobie myśleć?

Tak. Podejrzewam, ale nie mam na to dowodów, że być może niektóre spośród osób będących w głębokiej depresji czy zmagających się z innymi zaburzeniami psychicznymi mogą tak o sobie myśleć. Być może też gdybyśmy badanych więźniów prosili o ocenę siebie tuż po tym, jak dopuścili się jakiegoś strasznego czynu, ich odpowiedź byłaby inna. Ale oni mieli czas przetrawić tę sytuację i wrócić do pozytywnej lub przynajmniej neutralnej opinii na swój temat. Kiedy więc pytaliśmy ich o moralną autopercepcję, to znaczy m.in. o to, czy można im ufać, czy są lojalni, uczciwi, przestrzegający prawa, ocenili siebie tylko trochę gorzej, niż zrobiły to osoby z grupy kontrolnej.

Kiedy czytałam o tych badaniach, najbardziej zaskoczyło mnie to, że w swojej opinii więźniowie byli bliżsi moralnego ideału niż grupa kontrolna.

Tyle że my nie definiowaliśmy tego ideału. I jedni, i drudzy sami sobie go ustalali i szacowali, jak daleko im do niego. Zaznaczali wyniki na skali. Być może więźniowie po prostu zawiesili sobie niżej poprzeczkę. Ale są też badania psychologa Constantine'a Sedikidesa, w których więźniowie mieli porównać się z innymi: z „przeciętnym więźniem" i z „przeciętnym mieszkańcem miejscowości, w której było więzienie". W obu przypadkach uważali się za lepszych.

Proszę to wytłumaczyć.

W psychologii dobrze znane jest zjawisko „better-than-average", czyli „lepszy niż średnia". Chodzi o to, że wszyscy mamy tendencję do postrzegania siebie jako lepszych od przeciętnej osoby, i to w różnych dziedzinach.

Ale to, że więźniowie czuli się lepsi w dziedzinie moralności?

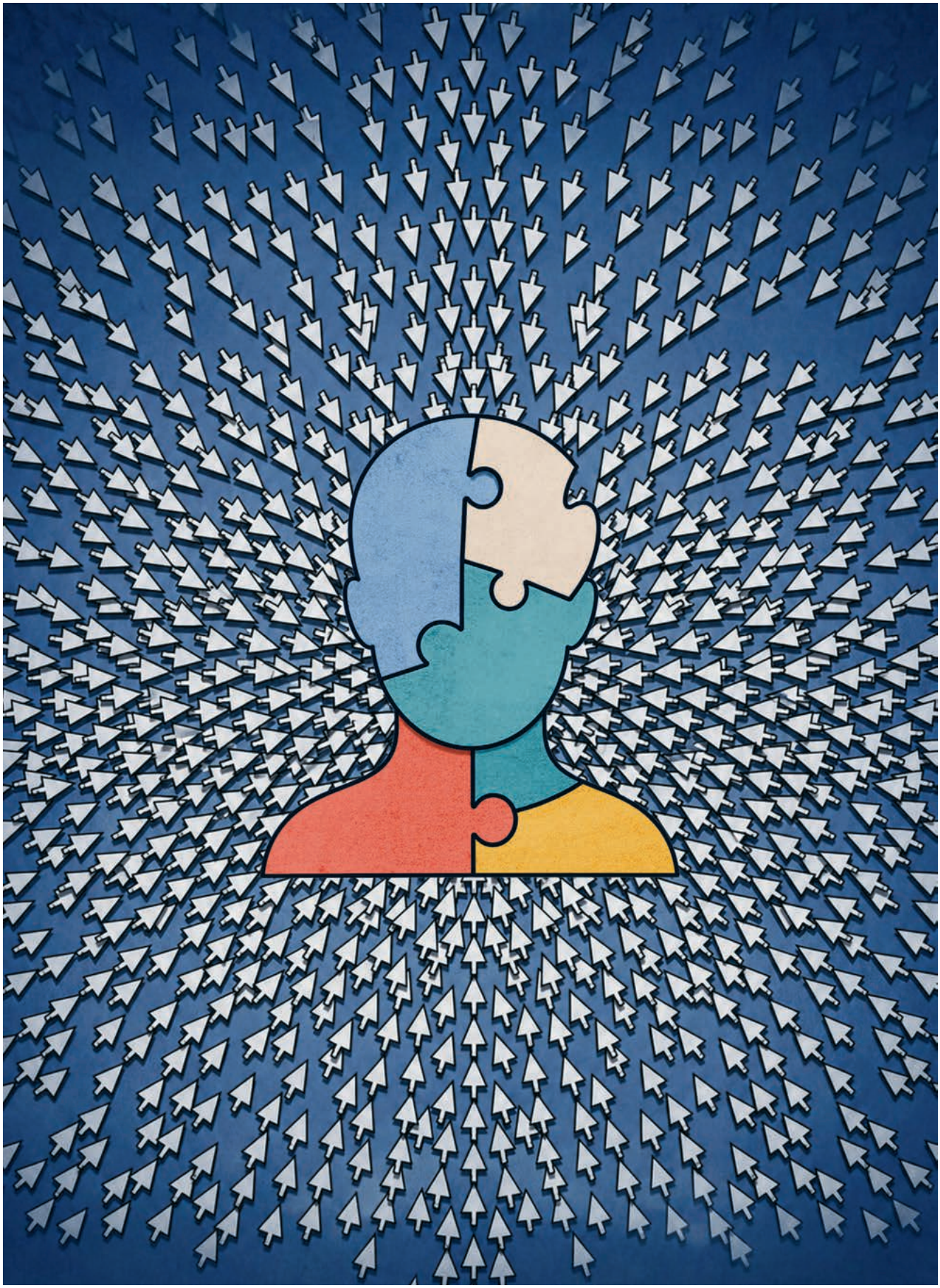
Jedną z podstawowych potrzeb człowieka jest myślenie o sobie dobrze. O sobie, czyli w dużej mierze o swojej moralności, bo ona jest wyjątkowo ważna dla naszej tożsamości. Pokazała to seria pięciu eksperymentów Niny Strohminger i Shauna Nicholsa. Można powiedzieć, że jeśli ktoś był dobrym człowiekiem, a teraz jest złym, kiedyś był uczciwy, a teraz jest nieuczciwy, to dla otoczenia stał się niemal inną osobą. Tak dużego efektu nie widać w przypadku zmiany wyglądu, inteligencji czy cech osobowości niezwiązanych z moralnością, takich jak np. pracowitość czy nieśmiałość.

Jeśli się rozleniwię, otoczenie nie zacznie mówić „to już nie ta sama Ewa", ale gdybym zaczęła kraść, to mogłoby tak pomyśleć?

Tak.

Jeśli tak ważne dla nas jest to, by uważać się za moralnych, to dlaczego postępujemy niemoralnie?

O, to jest już bardzo trudne pytanie, ale możemy sobie trochę pofilozofować. Pewnie jest to też podstawowe pytanie, które jako badacze powinniśmy sobie zadawać, ale ma zbyt duży kaliber, więc próbujemy je rozbić na mniejsze. I tak np. psycholodzy osobowości sprawdzają, jakie cechy osobowości ↦



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ sprzyjają temu, że ludzie robią złe rzeczy. Dzisiaj mówią przede wszystkim o wysokim natężeniu cech tzw. ciemnej tetrady. Należą do niej narcyzm, makiawelizm, psychopatia i sadyzm, w tym tzw. sadyzm codzienny.

Czym różni się sadyzm od sadyzmu codziennego?

Sadyzm jest często związany z zadawaniem bólu fizycznego i czerpaniem z tego przyjemności, z maltretowaniem zwierząt, z zachowaniami przestępczymi, natomiast jego odmiana – sadyzm codzienny – jest mniej ekstremalny. To np. odczuwanie satysfakcji z upokarzania kogoś, docinania mu, doprowadzenia go do płaczu.

Oprócz osobowości badane jest oczywiście także wychowanie. Mamy psychologów, którzy analizują dzieciństwo, np. biorą pod lupę grupę młodzieży z problemami z tzw. poprawczaków i sprawdzają, jak wyglądał ich dom. Są badania analizujące związki między strukturą rodziny i doświadczeniami z dzieciństwa a późniejszym funkcjonowaniem.

Mamy też naukowców, którzy sprawdzają wpływ cech kognitywnych, np. poziomu inteligencji na moralność. Jeśli chodzi o wpływ religijności, to mamy tu duży bałagan, bo ona była bardzo różnie definiowana w różnych badaniach. Są różne systemy religijne i różne poziomy religijności. Czym innym jest bycie wierzącym i codzienne praktykowanie, a czym innym fanatyzm religijny.

Jest też psychologia społeczna, która wkłada człowieka w różne sytuacje i obserwuje, jak on się w nich zachowa. My na Uniwersytecie Śląskim właśnie dostaliśmy grant OPUS Narodowego Centrum Nauki na serię badań dotyczących konformizmu moralnego. Do tej pory zrobiłam z zespołem jedno badanie w tym obszarze i zobaczyłam na własne oczy, jak ludzie podejmują niemoralne wybory, dlatego że inni mówią, że je podejmą. Spodziewaliśmy się, że tak będzie, ale chyba do końca w to nie wierzyłam.

Jak wyglądało badanie?

Przedstawialiśmy badanym różne dylematy moralne. Najpierw mieli okazję posłuchać, jak rozwiązują je inni ludzie – w rzeczywistości podstawieni aktorzy – a potem sami podejmowali decyzję. Najpierw aktorzy odpowiadali w taki sposób, w jaki ludzie zwykle odpowiadają, np. mówili, że zabicie babci za to, że nie chciała pożyczyć kilku dolarów, jest niemoralne. Potem zaczynali odpowiadać zaskakująco – postawieni przed dylematem, czy gdyby pojawiła się groźba niemożności wykarmienia rodziny, oddaliby córkę do pracy w przemyśle pornograficznym, mówili: „tak". Była też grupa kontrolna, w której badani nie słyszeli wcześniej niczyich odpowiedzi. W pierwszej grupie więcej osób zdecydowało się poświęcić córkę dla dobra rodziny niż w grupie kontrolnej.

Duża była ta różnica?

Nie. Ten efekt w postaci konformizmu moralnego był niewielki, ale jednak był. Na dodatek badanie robiliśmy na Zoomie. To było w covidzie, więc nie mieliśmy innych możliwości. Ja najpierw ubolewałam nad tym, że nie możemy zrobić badania w laboratorium, i dopiero recenzenci mi uświadomili, że te niecodzienne warunki jeszcze dobitniej pokazały istnienie konformizmu moralnego. Kiedy siedzimy przed komputerem i inne osoby widzimy tylko na ekranie, to łatwiej jest zachować się inaczej niż one, sprzeciwić się, niż gdyby siedziały w tym samym pokoju.

Jak się otwierać na własne niewiedzenie? Po pierwsze – warto zacząć **od ćwiczenia się we własnej giętkości poznawczej.**

My sobie często nie zdajemy sprawy z tego, jak wiele czynników może mieć wpływ na naszą moralność. Nawet pogoda albo to, czy się wyspaliśmy. Jest linia badań prowadzona na lekarzach, która pokazuje, że niedobór snu jest skorelowany z niższym poziomem empatii, czyli im mniej ktoś spał, tym mniejszą miał empatię, a ona jest przecież ważna dla moralności.

No dobrze, po jednej stronie mamy różne ciemne siły, które nas pchają w kierunku niemoralnych zachowań, po drugiej potrzebę myślenia o sobie jako o dobrym człowieku.

Jeśli wygrają te tzw. ciemne siły, to potem, by nadal myśleć o sobie dobrze, szybko moralnie się od tego dystansujemy, czyli racjonalizujemy swoje zachowanie. To dzieje się niemal automatycznie. Jesteśmy w tym bardzo kreatywni. Znajdujemy różne usprawiedliwienia. Ukradliśmy komuś portfel? Mówimy: „Sam się o to prosił, bo zostawił go na wierzchu". Krzyczę na studentów? Mówię: „Wszyscy tak robią".

Czy my w tym momencie wierzymy w te racjonalizacje, że np. mieliśmy prawo zabrać portfel i to z nas nie czyni złodzieja?

Raczej tak. Zakłada się, że wierzymy. Moralne dystansowanie się jest bardzo popularne. Robią tak nawet dzieci.

Ale jednak nie wszyscy robią to w równym stopniu, równie często.

Nie, i to też się bada. Wiemy już, że częściej robią to m.in. osoby, które mają duże natężenie cech ciemnej tetrady.

Od lat prowadzone jest śledztwo w sprawie zbrodni nazywanej Sarajevo Safari. Podobno byli bogacze, którzy przylatywali do Bośni, żeby za opłatą strzelać do cywilnej ludności oblężonego Sarajewa. Nie umiem wymyślić, w jaki sposób mogli to racjonalizować. Tu nie było żadnego dylematu typu: albo ja ich zabiję, albo oni zabiją bliską mi osobę.

Mnie też się to w głowie nie mieści. Przyczyny takich zachowań mogą być bardzo różne – mogą wiązać się z niską empatią, wcześniejszymi doświadczeniami czy wpływem sytuacji i otoczenia społecznego. Być może ludność Sarajewa znalazła się poza kręgiem osób, wobec których sprawcy stosowali zasady moralne.



JULIA AGNIESZKA SZYMALA

DR HAB. MARIOLA PARUZEL-CZACHURA, prof. Uniwersytetu Śląskiego, jest absolwentką filozofii i psychologii. Specjalizuje się w psychologii moralności i filozofii eksperymentalnej.

Co to znaczy?

Istnieje teoria kręgów moralnych. Według niej każdy ma wokół siebie kręgi, w których znajdują się różne istoty. Im bliższy krąg, tym większa troska moralna o tych, którzy się w nim znajdują. Ktoś może mieć w najbliższym kręgu męża, dzieci i rodziców; w drugim kręgu – mieszkańców tego samego miasta; w trzecim – rodaków itd. Inna osoba w drugim kręgu będzie miała zwierzęta, a dopiero w kolejnym mieszkańców tego samego miasta. Jeszcze inni w najbliższym kręgu będą mieli przyjaciół. Ostatni – najbardziej zewnętrzny – krąg ma gdzieś swoje granice. Poza nimi są istoty, które otaczamy niewielką albo żadną troską moralną.

Wyobrażam sobie, że za tymi granicami dla kogoś mogą być np. muchy.

Ale dla tamtych zbrodniarzy być może była to ludność Sarajewa. Być może oni w domu zachowywali się jak troskliwi rodzice i partnerzy.

Moralność może być też różnie definiowana.

Oczywiście. Począwszy od tego, że można ją rozumieć wąsko lub szeroko. W badaniach, które prowadzę, składają się na nią poglądy dotyczące dobra i zła, emocje z nimi związane, np. odczuwanie empatii i poczucie winy oraz czyny. Ale ktoś inny to zawęzi, powie: nie interesuje mnie, co myślisz i czujesz, dla mnie liczy się tylko to, co robisz. Inną kwestią jest to, co uważamy za moralne. Większość ludzi na świecie zgadza się z tym, że przede wszystkim chodzi o to, żeby nie krzywdzić. Wielu uważa, że chodzi też o to, by być sprawiedliwym.

W tym przypadku różnice kulturowe są już bardzo duże. Kultura w ogóle ma bardzo duży wpływ na to, jak rozumiemy moralność. Można wyobrazić sobie miejsce, gdzie np. są święte krowy, a rozlanie ich mleka jest źle oceniane. W Polsce ściąganie na teście nie jest traktowane przez studentów jak poważne wykroczenie. Ktoś, kto ściągał, może nawet uważać się za lepszą osobę od tego, kto samodzielnie napisał pracę, bo zamiast się uczyć pomagał zwierzętom. Surowiej ściąganie ocenia się w Stanach Zjednoczonych.

Poczucie winy też bywa różnie traktowane. W kulturze Zachodu jest ostatnio często prezentowane jako coś, od czego trzeba się uwolnić. Być może częściowo dlatego, że bardzo duże, nieadekwatne poczucie winy jest objawem depresji.

Być może. Natomiast z perspektywy psychologa i naukowca powiem, że adekwatne poczucie winy może pełnić pozytywną, adaptacyjną funkcję. Liczne badania pokazują, że ono sprzyja poprawie zachowania. Jeśli ktoś czuje się winny, może to oznaczać, że dostrzegł swój błąd i uznał, że zrobił coś złego. Bez tego zrozumienia trudno o zmianę. Niestety nie wiemy zbyt wiele o tym, w jaki sposób można u ludzi rozwijać skłonność do takiej refleksji nad swoim postępowaniem. To jest badawczo zaniedbane pole.

Ale coś jednak wiadomo.

Z pewnością kiedy zaczynamy się moralnie dystansować od jakiegoś swojego zachowania, warto zatrzymać się i dokonać refleksji. Pomocna może być próba wyobrażenia sobie sytuacji z punktu widzenia osoby, którą skrzywdziliśmy. Wtedy jest szansa, że poczujemy ciężar tego czynu.

No tak, to, że ktoś nas potraktował w sposób niemoralny, jest dla nas jednak bolesne.

Bardzo! Proszę zauważyć, że niezależnie od tego, czy szukamy życiowego partnera, czy pracownika, przede wszystkim chcemy, żeby to był dobry człowiek, żeby nas nie oszukał. Wyjątkiem jest sytuacja, kiedy bardzo szybko potrzebujemy jakiegoś specjalisty, np. wyjeżdżamy na wakacje i samochód, którym mieliśmy jechać, się zepsuł. Wtedy szukamy przede wszystkim kogoś kompetentnego. To, czy policzy nam drożej, niż powinien, jest dla nas w tym momencie drugorzędne.

Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam.

W Filadelfii jest laboratorium, które zajmuje się neuroestetyką. W trakcie stażu podoktorskiego brałam tam udział w bardzo ciekawych badaniach. Pokazywaliśmy ludziom obrazy i mówiliśmy, że zostały namalowane w czasie wolnym przez różnych sławnych ludzi. Wybraliśmy postacie bardzo dobre i bardzo złe. Przy każdym nazwisku pisaliśmy, z czego ktoś zasłynął, np. z wynalezienia szczepionki albo zbrodni wojennych. Potem prosiliśmy, by badani oceniali, czy obrazy są piękne, czy brzydkie. Jeśli mówiliśmy, że obraz został namalowany przez moralną osobę, uznawano go za piękny, jeśli mówiliśmy, że namalowała go osoba niemoralna, uznawano go za brzydki. A przecież to był ten sam obraz! To, czy ktoś jest moralny, czy nie, ma czasem dla nas większe znaczenie, niż sobie to uświadamiamy.

© Rozmawiała EWA PĄGOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Sugestia doskonała*



W książce pewnego speca od działań wywiadowczych przeczytałem kiedyś, na czym polega najdoskonalsza odmiana manipulacji. Otóż na tym, że poddawany jej człowiek nawet przez moment nie uświadamia sobie cudzej perswazji. Przeciwnie: jest przekonany, że robiąc to, na co się go z premedytacją naprowadza, realizuje po prostu swoje najszczersze pragnienia. Spece od działań wywiadowczych mają na to stosowne metody, które – najkrócej rzecz ujmując – opierają się nie na bezpośrednim urabianiu delikwenta, lecz na subtelnym kierunkowaniu jego procesów myślowych tak, żeby sam dotarł do odpowiednich wniosków.

Powyższe rozważania snuł weteran żelaznej kurtyny. Dinozaur epoki analogowej, który w czasach swojej „zawodowej aktywności" nie znał ani mediów społecznościowych, ani tym bardziej botów napędzanych sztuczną inteligencją, dostępnych dzisiejszym siewcom chaosu. A nie mam najmniejszych wątpliwości, że rzeczywistość wirtualna jest środowiskiem dla tego typu rozgrywek wprost idealnym. Z kilku co najmniej powodów. Poczynając od naszej wiary, że jesteśmy tych mediów „użytkownikami" – choć w istocie to one nas używają – a skończywszy na poczuciu, że oburzając się tam, oceniając, udostępniając i lajkując, korzystamy z wolności słowa i myślenia, gdy tymczasem to z nas się wówczas korzysta. Dołóżmy do tego realia wojny kognitywnej – mającej wielu uczestników, jawnych i niejawnych, od chciwych korporacji, przez służby różnych państw, jak również dezinformatorów, którzy sami wierzą w kolportowane przez siebie kłamstwa – i uzyskamy krajobraz niepokojący, którego najważniejsze składowe w ostatnich latach wyłącznie się intensyfikują.

Najmocniej widać to, kiedy wydarza się jakaś tragedia. Przykładem tego była straszna sobota, 7 listopada w Krakowie, kiedy to uzbrojony po zęby młody mężczyzna otworzył ogień do przypadkowych ludzi, a wcześniej zabił matkę, ojca i siostrę. W sieci natychmiast zaroiło się od zmodyfikowanych przez sztuczną inteligencję zdjęć i nagrań oraz domorosłych analiz, rzekomych sensacji i „stuprocentowych" tropów. Posty, w których przypisywano zamachowcowi takie czy inne afiliacje ideologiczne, narodowe albo polityczne, propagowały się – i wciąż propagują – z niebywałą prędkością (w czym niestety miał udział także minister spraw wewnętrznych). Całe gąszcze półprawd, nieprawd, deformacji i kłamstw, rozrastały się – i wciąż rozrastają – w sposób całkowicie niekontrolowany. Do dziś, także w poważnych zagranicznych mediach, znaleźć można jej ślady. Co nie zmienia faktu, że nawet gdyby od początku „poważne media" podawały wyłącznie wiadomości rzetelne i sprawdzone – i tak rzesza ludzi uznałaby kłamstwa i dezinterpretacje za adekwatny opis świata. To, co mają do powiedzenia „poważne media", mało kogo już bowiem tak naprawdę interesuje.

Mam wrażenie, że wciąż nie doceniamy powagi tej sytuacji. I nie wyciągamy z niej wniosków. Tymczasem już od dawna jesteśmy obiektami takiej właśnie sugestii, o której mówił wspomniany na początku spec. Sami ochoczo siejemy chaos – nawigowani zza kadru przez jego emisariuszy – przekonani wszakże, że pozostajemy na służbie prawdy i porządku. Wiadomo, w ferworze, który wytwarza się w sieci, nikt nie ma zamiaru niczego sprawdzać. Dajmy na to – czy zdjęcie z rzekomym emblematem tego czy owego na mundurze zamachowca jest fałszywe, czy nie. Wystarczy, jeśli emblemat da się przypisać tym, których identyfikujemy jako przeciwników. A zatem to wasz zamachowiec, to wasza wina! Jeśli ktokolwiek w takim momencie stara się cokolwiek weryfikować, to są to... właśnie owi przeciwnicy, oskarżeni o alians ze sprawcą. W swoim własnym interesie sprawdzają, czy ktoś przypadkiem nie przypisał złoczyńcy ich afiliacji ideowych lub środowiskowych.

Jednak chwilę później ci sami ludzie, którzy, kiedy chodziło o ich stronnictwo lub obóz, zachowywali się niczym wytrawni fact-checkerzy – porzucają ten etos, skoro tylko pojawia się analogiczna fałszywka, tyle że wymierzona w obóz przeciwnika. Wtedy ochoczo udostępniają ją bez sprawdzania, triumfalnie dekretują swoje moralne zwycięstwo. Przy czym wszystkim wydaje się, że przyczyniają się do lepszego zrozumienia i rozpoznania sprawy. Że w słusznym gniewie, oburzeniu lub z potrzeby serca dzielą się po prostu tym, co się właśnie „okazało" lub czego ponad wszelką wątpliwość „dowiedziono". Powstaje w ten sposób koszmarny wir, zwłaszcza odkąd w tej grze biorą udział coraz doskonalsze narzędzia oparte na AI. Kto na tym zyskuje? Pytanie jest oczywiście retoryczne.

Nie wiem, jak i czy w ogóle jest to jeszcze możliwe, ale należałoby, myślę, zastanowić się nad jakimiś zasadami bezpieczeństwa i higieny kognitywnej w tym wysoce niebezpiecznym i toksycznym środowisku, w jakim na co dzień funkcjonujemy. Od czego zacząć? Może od uświadomienia sobie, że nasza szczera potrzeba udostępnienia czegoś lub skomentowania, podobnie jak odczuwane przemożnie oburzenie, wściekłość albo triumfalizm – to wcale nie są, w sensie ścisłym, nasze prawdziwe potrzeby i nasze prawdziwe emocje. Ba, samo to, że się nam tak wydaje, jest właśnie efektem sprytnej manipulacji, której nieustannie podlegamy, choć wcale o tym nie wiemy.

I właśnie o to chodzi – im bardziej o tym nie wiemy, tym bardziej jej podlegamy. Dokładnie tak, jak to tłumaczył wspomniany na początku spec od działań wywiadowczych. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

#PodzielSięŚwiętami

Ufunduj świąteczną paczkę



WPŁAĆ

online **pck.pl**

przelew **90 1160 2202 0000 0007 1244 5366**

BLIK **794 33 22 11**

REKLAMA

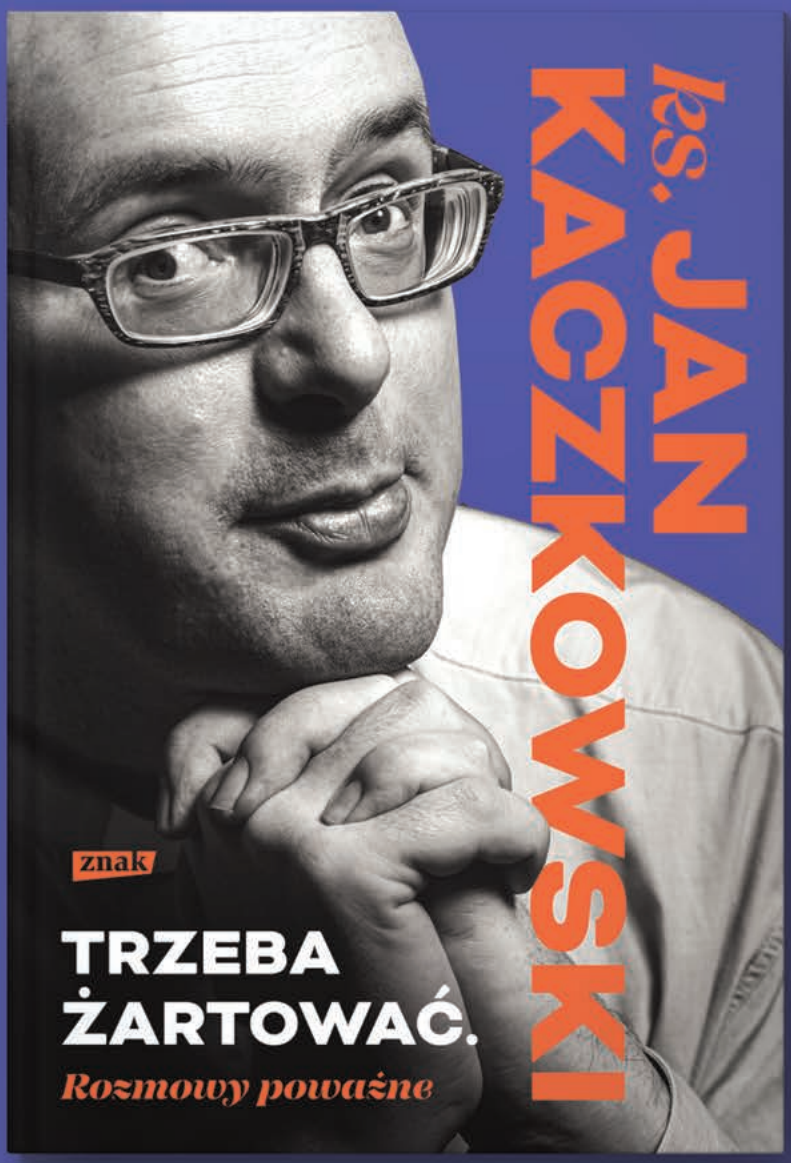
Unikalny zbiór najważniejszych

ROZMÓW

z księdzem Janem Kaczkowskim

z wstępem Dawida Ogrodnika

znak



”

Jan nie dawał gotowych rozwiązań. Motywował, wspierał i przytulał. Jego inteligencja i błyskotliwość okraszone poczuciem humoru, to, co zwiemy charyzmą, rozsadzały nawet najbardziej skamieniałe serca. Przywracał wiarę w wartości i moralność nawet tym, którzy stracili nadzieję.

Fragment wstępu do książki *Trzeba żartować. Rozmowy poważne*